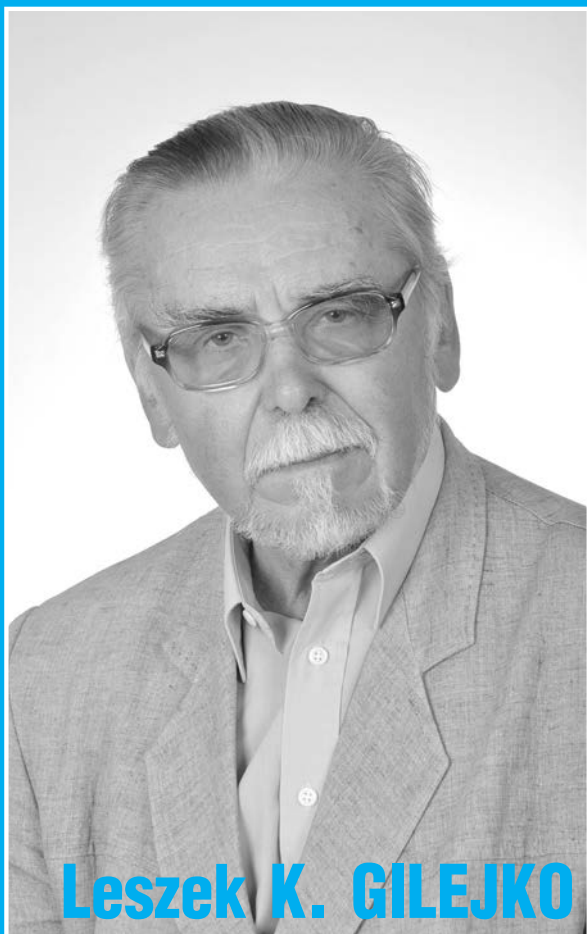


RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

3 / 112
2011 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 3 (112) 2011 Rok wyd. XX • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



Leszek K. GILEJKO

**W obronie ludzkich
spraw**

Suplement, s. VII

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

- Dobitny głos Prezydenta Rzeczypospolitej
- Prezydent Obama w Polsce
- Po beatyfikacji Jana Pawła II
- Fundamentalisci w aptekach

Jan DĘBOWSKI: Czy żyjemy na krawędzi zagłady?

Józef KABAJ o kłopotach z etyką

Andrzej BIERNACKI o internetowej „mowie nienawiści”

Uri HUPPERT, Roman FREUND i Daniel ZBYTEK o najważniejszych sprawach współczesnego świata

Maria SZYSZKOWSKA, Eugeniusz KABATC i Waław SADKOWSKI w FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIM

SUPLEMENT

O NIERÓWNOŚCIACH SPOŁECZNYCH I DEMOKARCI W POLSCE

Dyskusja panelowa, w której udział wzięli: Henryk DOMAŃSKI, Leszek K. GILEJKO, Tadeusz KOWALIK, Maria SZYSZKOWSKA.

Ponadto w numerze o wybranych książkach i czasopismach, kronika oraz przypomnienie myśli Sokratesa.



Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Zdzisław SŁOWIK
Dobitny głos Prezydenta Rzeczypospolitej/ 1
Jerzy J. WIATR
Prezydent Obama w Polsce/ 2
Wacława MIELEWCZYK
Po beatyfikacji Jana Pawła II/ 3
Radosław S. CZARNECKI
Fundamentaliści w aptekach/ 5

ETYKA I ŻYCIE CODZIENNE

Jan DEBOWSKI
Czy żyjemy na krawędzi zagłady?/ 7
Józef KABAJ
Kodeksowa kreatywność bez refleksji
etycznej/ 12
Barbara KRUPA-WOJCIECHOWSKA
Obserwacje codzienności/ 14
Andrzej BIERNACKI
Mowa nienawiści/ 16

PROBLEMY WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Daniel ZBYTEK
Wybory Obamy i obawy wyborców/ 17
Roman FREUND
O „państwach przymiotnikowych”/ 20
Uri HUPPERT
Jeszcze o „kłopotach
z multikulturalizmem”/ 21

Niniejszy numer ukazuje się dzięki wsparciu Fundacji im. Róży Luksemburg w Polsce, za które najserdeczniej dziękujemy.

Redakcja RES HUMANA

MYŚLI HUMANISTYCZNE

Wacław SADKOWSKI
Oplątywani czarną nicią/ 23
Janusz TERMER
Im memoriam. Marian Pankowski/ 25

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Zawstydzające ubóstwo/ 28
Eugeniusz KABATC
Łęki śródziemnomorskie/ 30
Wacław SADKOWSKI
Przyczynek do genealogii naszej
teraźniejszości/ 31

WŚRÓD KSIĄŻEK

Eugeniusz KABATC
Nieoczekiwany dramat pogranicza/ 35
Zdzisław SŁOWIK
Myśli o edukacji i kulturze/ 37
Wacława MIELEWCZYK
Myśli o ludzkich rzeczach/ 38
Władysław LORANC
O urodzie świata/ 40

W CZASOPISMACH

Ksawery S. PIWOCKI (wybór)/ 41

KRONIKA VARIA/ III i IV str. okł.

Suplement O NIERÓWNOŚCIACH SPOŁECZNYCH I DEMOKRACJI W POLSCE

- Henryk DOMAŃSKI
 - Leszek GILEJKO
 - Tadeusz KOWALIK
 - Maria SZYSZKOWSKA
- s. I–XX

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel. S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT 5%.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

DOBITNY GŁOS PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Z tłumiącego coraz bardziej rozum i ludzkie uczucia oceanu słów zalewających przestrzeń naszego życia zbiorowego, słowa prezydenta Bronisława Komorowskiego, które wypowiedział na warszawskim Placu Zamkowym w 220 rocznicę Konstytucji Trzecimajowej, zabrzmiały odważnie, dobitnie i orzeźwiająco.

Odważnie dlatego, że prezydent nie uchylił się od wypowiedzenia wprost i bez ogródek słów nie tylko ważnych dla Polski i jej racji stanu, lecz także słów wypełnionych goryczą, wskazujących na wciąż głębokie polskie podziały, hamujące nasz rozwój i wywołujące społeczny niepokój. Powiedział: „W naszym życiu zbiorowym jest ciągle zbyt dużo pesymizmu i wzajemnych pretensji. Za mało patriotyzmu utkanego z nadziei, za mało poczucia autentycznej wspólnoty, za mało doceniania sukcesów i zmian na lepsze. Taki patriotyzm narodowego optymizmu, wiary we własne siły, nie wyklucza przecież krytyki błędów czy niedociągnięć, ale nigdy nie zapomina o tym, że to od nas, od Polaków, nie od kogokolwiek innego, zależy siła i pomyślność Rzeczypospolitej”.

Ze skromnych łamów naszego czasopisma upominaliśmy się nieraz o to samo, o wyważone i uczciwe widzenie polskich spraw, o rozpraszanie a nie zagęszczanie mgły, ostatnio także „mgły smoleńskiej”, nie pozwalającej dostrzegać ważnych dni czasu przyspieszonej modernizacji naszego kraju, dni, które przybliżają nas w szybkim tempie do grona rozwiniętych i zamożnych krajów świata. Te przemiany, przeobrażając Polskę, ale i każdego z nas są oczywiście, czasem niełatwym, czasem próby naszych charakterów i cnót: powściągliwości, rozważi, odpowiedzialności i autentycznej solidarności społecznej. Dlatego tak wielkiej wagi nabiera potrzeba wzajemnego zrozumienia, współpracy i pomocy, tym zwłaszcza, którzy nie są w stanie nadążyć za tempem współczesnego czasu.

Ale też i tym większa potrzeba sprzeciwu wobec tych, którzy ten trudny czas przeobrażeń cywilizacyjno-kulturowych wykorzystują często do niegodnych celów, aby ten czas trudu jeszcze bardziej utrudnić. To o nich myślał i do nich tak apelował prezydent w swej trzecimajowej mowie. „Nie czynimy z naszych narodowych symboli, z naszych pieśni i sztandarów zakładników współczesnych sporów. Ze skarbnicy historii wydobywajmy nie stroje, nie kostiumy, nie dekoracje, lecz przestrogi, inspirację i odwagę”.

I mówił też Bronisław Komorowski o państwie jako o wartości dla nas wszystkich bezcennej, której trzeba bronić przed tymi, którzy to wspólne dobro podporządkowują swym partykularnym interesom lub często cynicznym rachubom politycznym. „Nie licuje z dumą biało-czerwonych sztandarów – mówił prezydent – wypisywanie na nich politycznych sloganów czy politycznie motywowanych fałszywych oskarżeń, co niestety się zdarza coraz częściej. Nie licuje dlatego, że takie sytuacje ranią i dzielą Polaków, zamiast ich łączyć”.

Z ust najwyższego przedstawiciela naszego państwa dobitność tych myśli i ich aktualność trzeba odbierać ze szczególną aprobatą. Oto wciąż znacząca na polskiej scenie życia publicznego formacja polityczna, niosąca na swych sztandarach szczerze hasła „prawa” i „sprawiedliwości”, w swej prak-

tycznej działalności hasłem tym notorycznie zaprzecza, stawiając na porządku dnia pytanie o granice odpowiedzialności liderów tej formacji za państwo jako wspólne narodowe dobro. Oto związek zawodowy „Solidarność”, o którego historycznych zasługach nikt nie może zapominać, tym bardziej rani tę pamięć organizując niedawno antyrządowe wiece protestu pod hasłami dalekimi od idei solidarności, a wyrażającymi dziś jedynie partykularne interesy grupowe, godzące w interes państwa jako całości i wszystkich jego obywateli.

Dlatego słuchając słów prezydenta, słów istotnie ważnych, obok których nie można przejść obojętnie, powiemy też, że usłyszeliśmy głos orzeźwiający, głos Rzeczypospolitej, zachęcający – wszystkich dobrze jej życzącym – do uczciwego o niej myślenia i dodających odwagi wobec jej współczesnych i nadchodzących wyzwań.

Zdzisław SŁOWIK

Prezydent Obama w Polsce

Niespełna dwudniowa wizyta prezydenta Baracka Obamy w Polsce (27–28 maja br.) oczekiwana była z dużym zainteresowaniem. Obecny prezydent USA po raz pierwszy odwiedził Europę Środkowo-wschodnią, a fakt, że wizytę tę złożył w Polsce (nie zaś na Węgrzech sprawujących w pierwszym półroczu 2011 prezydencję Unii Europejskiej) dawał politykom polskim powód do dumy. Dodatkowo, ale bardzo istotnym, elementem tej wizyty było spotkanie prezydenta Obamy ze zgromadzonymi w Warszawie prezydentami dwudziestu państw Europy Środkowej.

Znaczenie wizyt głów państw jest bardziej symboliczne niż realne. Istotne porozumienia między państwami negocjuje się w zaciszu gabinetów dyplomatycznych, co najwyżej wykorzystując wizytę głowy państwa dla publicznego zakomunikowania wcześniej zawartych uzgodnień. Nie inaczej było i tym razem. Porozumienie o stacjonowaniu w Polsce niewielkiego kontyngentu amerykańskich specjalistów wojskowych ma bardziej symboliczne niż realne znaczenie. W uporczywie podnoszonej przez stronę polską sprawie wizjazdowych do USA prezydent niewiele mógł zrobić, gdyż zniesienie wiz wymaga zmiany ustawy, co zresztą ma w niedalekim czasie nastąpić.

Prawdziwe znaczenie tej wizyty jest symboliczne. Nie jest tajemnicą, że Obama nie był faworytem polskiej elity politycznej, dla której – a raczej dla jej większości – jest on zbyt lewicowy. Polska elita polityczna zachwycała się poprzednim prezydentem, którego prawicowe poglądy i kowbojskie podejście do konfliktów międzynarodowych odpowiadało klimatowi polskiej polityki ostatniego dziesięciolecia. Obama postrzegany jest jako przeciwieństwo George’a W. Busha, co dawało mu od początku wielką popularność w Europie Zachodniej – niekoniecznie jednak w Polsce. Dochodziły do tego pretensje niektórych polityków i publicystów o to, że prezydent Obama rzekomo w niewystarczający sposób odniósł się do katastrofy smoleńskiej.

Wizyta w Polsce miała zmienić ten stan rzeczy. Obama ma wiele osobistego uroku i spotykający się z nim politycy nie mogli tego nie zauważyć. Mówił gospodarzom to, co chcieli usłyszeć, gdyż bardzo silnie podkreślał istotną rolę Polski w polityce europejskiej, zwłaszcza w promowaniu demokracji. Z naciskiem mówił o znaczeniu sojuszniczych stosunków łączących oba nasze państwa.

Z punktu widzenia publicznego wizerunku tej wizyty były jednak dwa potknięcia.

Pierwszym było nadmierne wyczulenie organizatorów (zapewne tak polskich jak amerykańskich) na sprawy bezpieczeństwa, czego efektem było izolowanie dostojnego gościa od ludności stolicy. Obama oglądał puste ulice i spotykał się jedynie z niewielkimi, starannie dobranymi gronami. Dawniej było inaczej, co nie do końca można tłumaczyć tym, że po wrześniu 2001 roku lęk przed zamachami terrorystycznymi stał się wręcz obsesyjny. W końcu parę dni wcześniej w Londynie Obama nie był aż do tego stopnia izolowany od mieszkańców brytyjskiej stolicy.

Drugim – i poważniejszym – było spotkanie z „ojcami polskiej demokracji”. Sama formuła tego spotkania była dziwaczna. Ponad dwadzieścia lat po zmianie ustroju na spotkanie z prezydentem zaproszeni zostali zasłużeni działacze dawnej opozycji demokratycznej, a pominięci zostali politycy, których wkład w budowę polskiej demokracji jest powszechnie uznawany, mimo że nie wywodzą się oni z tej opozycji. Nieobecność byłych prezydentów – Wojciecha Jaruzelskiego i Aleksandra Kwaśniewskiego – czy byłych premierów z lewicy pozbawiła prezydenta USA możliwości spotkania się z wszystkimi ważnymi odcieniami polskiej sceny politycznej. Zaproszenie Grzegorza Napieralskiego (jako szefa partii opozycyjnej) tylko częściowo mogło wypełnić tę lukę. Myślę, że w takiej koncepcji spotkania ujawnił się anachroniczny charakter myślenia o polityce w kategoriach bardziej historycznych niż politycznych.

Doszło do tego zadrażnienie wywołane odmową Lecha Wałęsy wzięcia udziału w spotkaniu z Obamą. Były prezydent poczuł się urażony tym, że nie zaproponowano mu bardziej znaczącej roli, na przykład w formie osobnej rozmowy z amerykańskim prezydentem. Wykazał nadmierną drażliwość na własnym punkcie i naraził się na zarzut, iż stawia osobistą ambicję ponad interesem państwa. W tych zarzutach jest sporo racji, ale trudno zaprzeczyć, że historyczny przywódca „Solidarności”, były prezydent i jedyny polski laureat Pokojowej Nagrody Nobla zasługiwał na bardziej eksponowane miejsce w czasie tej wizyty. Jeśli nie rozumieli tego współpracownicy Obamy, powinni o tym pamiętać współpracownicy prezydenta Komorowskiego.

W sumie jednak dobrze się stało, że prezydent Obama odwiedził Polskę. Przyczynić się ona powinna do oparcia sojuszu polsko-amerykańskiego na lepszych niż w przeszłości podstawach. W odróżnieniu od G.W. Busha prezydent Obama chce i potrafi szanować sojuszników, nie stawiać ich przed wyborem między bezwarunkowym posłuszeństwem i konfliktem z supermocarstwem. Obama chce i potrafi być przywódcą a nie zwierzchnikiem sojuszu atlantyckiego. Wiele polskich problemów poprzedniego dziesięciolecia wynikało z tego, jak ówczesny prezydent USA pojmował rolę tego mocarstwa w polityce światowej – zwłaszcza w „wojnie z terroryzmem”. Przy Baracku Obamie sojusz Polski i USA może opierać się na innych, zdrowszych podstawach.

W przyszłym roku Obama będzie ubiegał się o drugą kadencję. Nie będzie to łatwa kampania. W warunkach kryzysu finansowego i odziedziczonych po poprzedniku wojnach w Afganistanie i Iraku prezydent Obama nie był w stanie zrealizować wielu swych obietnic, czym rozczarował część amerykańskiej lewicy. Zarazem jednak skupił na sobie nienawiść prawicy, która nie może wybaczyć mu lewicowych poglądów i koloru skóry. W zeszłym roku Demokraci przegrali wybory do Izby Reprezentantów i stracili część mandatów senatorskich. Sama w sobie ta porażka nie przesądza jednak o wyniku wyborów prezydenckich. Obama ma szansę na ich wygranie. Chciałbym, by wygrał i chciałbym by bardziej stanowczo i skutecznie realizował swój program „zuchwałej nadziei”. Leży to także w polskim interesie, gdyż silne a zarazem realizujące dobrą politykę Stany Zjednoczone są potrzebne światu.

Jerzy J. WIATR

Po beatyfikacji Jana Pawła II

Beatyfikacja Jana Pawła II, której nadano szczególnie uroczysty charakter, nie była dla nikogo zaskoczeniem, więcej – była usilnie oczekiwana, zwłaszcza od tego momentu, kiedy zgromadzeni w dniu jego pogrzebu na Placu św. Piotra zawołali dobitnie: *Sancto subito* (Święty zaraz) i kiedy to wołanie, a wszystko na to później wskazywało, zostało z uwagą dostrzeżone przez tych, w rękach których było spełnienie tego wołania.

A było to wołanie nie tylko zrodzone z emocji, ale ukształtowane z przeświadczenia, że papież z Polski, jak niewielu, godny jest wyniesienia na ołtarze, godny stać się drogowskazem dla Kościoła,

także dla wszystkich ludzi dobrej woli. Są ludźmi dobrej woli świeccy humaniści, ci wszyscy, którzy – zwłaszcza w kraju, który był ojczystym domem błogosławionego – z rosnącą uwagą śledzili ten pontyfikat od pierwszych jego dni.

Owo przeświadczenie budowały fakty i rzeczywistość świata, w którym – na progu tego pontyfikatu – zakończył się jego głęboki podział i z którego wyłoniła się do suwerennego i wolnego życia cała rodzina narodów i państw Europy Środkowowschodniej. Nie mógł tych historycznych wydarzeń nie dostrzegać nikt, kto chciał być – w zgodzie z realizmem i prawdą – świadkiem tych wydarzeń.

Ale też czas tego wielkiego przełomu nie mógł nie być zarazem wielką próbą dla nowego pontyfikatu, czasem tyle koniecznych, co oczekiwanych odpowiedzi na wyzwania tego czasu. Stał się takimi odpowiedziami dobitny głos Jana Pawła II, wypowiediany w jego kolejnych encyklikach, jego głos wyznaczający rozległy horyzont najważniejszych kwestii, które w swym orędziu chciał przekazać człowiekowi i światu. Na trzy takie kwestie zwróćmy tu uwagę.

Pierwsza z nich – to godność człowieka, potrzeba jej szczególnej ochrony, rozwoju, szacunku, potrzeba działań wszystkich, dla których dobro człowieka jest wartością najwyższą, także dla Kościoła, bo to on – w *Redemptor hominis* – uznany został za jego drogę, a nie odwrotnie. Kwestia druga – to sprawa ludzkiej pracy, jej szczególnej społecznie wagi, jej sprawiedliwej oceny i wynagradzania, pracy, którą papież – w *Laborem exercens* – nie traktował jako kary za grzech lecz jako źródło kreujące samego człowieka. Powiedzmy uczciwie: były to myśli istotnie nowe w dotychczasowym nauczaniu Kościoła, idee przybliżające Kościół do świata, budzące zainteresowanie i wyznaczające ważne z nim płaszczyzny dialogu. I jeszcze jeden doniosły wątek myśli programowej tego pontyfikatu to kwestia sprawiedliwości: nie było w jego wołaniu o sprawiedliwość niczego z banalności, lecz jej rozumienie – jak w *Sollicitudo rei socialis* – w perspektywie wolności, dążenie do eliminacji wciąż rażących obszarów niesprawiedliwości w imię wspomnianej godności osoby ludzkiej

Te trzy przypomniane tutaj idee tego pontyfikatu wsparły niemniej ważne inicjatywy, które otworzyły Kościół na świat i ku światu. Był Jan Paweł II niestrudzonym orędownikiem jedności chrześcijan, inicjatorem słynnych spotkań w Asyżu czy spotkań z reprezentantami świata judaizmu czy islamu, choć nie zdołał lub nie zdążył odwiedzić rosyjskiej cerkwi prawosławnej. Był świadom coraz większej anachroniczności podziałów chrześcijan w warunkach jednoczącego się świata. I był też tym, który podjął się trudu przeprowadzenia Kościoła z drugiego w trzecie tysiąclecie, trudu – jak nikt dotąd – odważnego wyznania win Kościoła, które go obciążają i o wybaczenie których zwrócił się do świata w przejmującym orędziu.

Już choćby wzmiankowane tutaj świadectwa tego pontyfikatu, bezstronnie patrząc na nie z każdej perspektywy, także środowisk czy osób nie doświadczających ani łaski wiary ani nie związanych z działalnością Kościoła, nie mogą nie budzić szczerego zainteresowania i szacunku. Wyrażały bowiem te świadectwa idee i wartości ogólnoludzkie, humanistyczne, a więc wartości więcej niż bliskie dla świeckich humanistów.

Jest rzeczą zarazem oczywistą, że niemniej wiele idei i działań tego pontyfikatu było i pozostaje – u samych fundamentów – odległe od idei i przekonań świata laickiego. Ale w tym momencie nie czas i miejsce, jak sądzimy, na konfrontacje, lecz czas na poszukiwanie w dziedzictwie pontyfikatu Jana Pawła II tego wszystkiego, co może i powinno stać się podstawą dialogu i porozumienia w chwili głębokiego dziś podziału Polaków, podziału, który – widać to coraz wyraźniej – jest hamulcem rozwoju społeczeństwa i kraju.

To wielkie wyzwanie: dla wszystkich sił, które dobro Polski traktują jako dobro najwyższe. Wolno w Urzędzie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej czy w osobie prymasa Polski dostrzegać tych, którzy w tej wielkiej polskiej próbie okażą zdolność powstrzymania a może i zakończenia niszczącej państwo wojny polsko-polskiej, odegrać rolę doniosłą, jeśli nie rozstrzygającą. I byłaby to rola może najlepiej odczytująca dziedzictwo myśli i czynu Jana Pawła II, najgłębszy sens jego beatyfikacji.

Wacława MIELEWCZYK



Fundamentalisci w aptekach

Grono farmaceutów z Wybrzeża Gdańskiego deklarujących się jako wierzący i praktykujący katolicy podjęło inicjatywę mającą na celu uniemożliwienie sprzedaży w aptekach środków antykoncepcyjnych. Twierdzą, iż są szykanowani (a ich sumienie jest narażone na stres, pokusy grzechu oraz głębokie frustracje natury moralnej) przez pracodawców, którzy zmuszają ich do dystrybucji „*środków farmakologicznych niszczących ludzką płodność lub zabijających zarodek ludzki w początkach jego istnienia*” pod groźbą utraty pracy.

Gdański Oddział Katolickiego Stowarzyszenia Farmaceutów wraz z Human Life International (HLI) Poland uważa, że taka sytuacja to poważna „forma dyskryminacji” z racji przekonań religijnych. Tzw. obrońcy Życia apelują o podpisywanie petycji w intencji prawa farmaceutów do odmowy sprzedaży w aptekach środków „*niszczących ludzką płodność*”. Do tej pory pod petycją w przestrzeni wirtualnej, promowaną przez media katolickie, podpisało się około 10 tysięcy osób.

W uzasadnieniach do tej inicjatywy podkreśla się, że znajomość tematyki antykoncepcji w Polsce jest znikoma. Autorzy akcji twierdzą, że środki antykoncepcyjne niszczą życie ludzkie i zakłócają naturalny, boski porządek przyporządkowany seksowi. Ewa Kowalewska z HLI Poland podkreśla: „*Perfidnie pomija się naukowo potwierdzony fakt, że życie ludzkie rozpoczyna się od zapłodnienia czyli połączenia komórek rodzicielskich*”. Próby udzielania w tej materii uwag i informacji przez katolickich farmaceutów – zdaniem Kowalewskiej – są odbierane bardzo często przez klientów aptek jako szykany. „*Beztroskie niszczenie płodności i poczętych już dzieci środkami farmakologicznymi prowadzi do dramatów osobistych i ogólnospołecznych. Ukrywanie przed społeczeństwem wiedzy na ten temat przez zamykanie ust farmaceutom jest bardzo niebezpieczne*” – kończy opublikowane w e-KAI uzasadnienie sensu całej akcji E. Kowalewska.

Zwolennicy tej inicjatywy powołują się ponadto na dramatyczny problem starzenia się społeczeństwa w naszym kraju, małą dzietność Polaków, postępująca niepłodność par etc.

Argumentacja tzw. obrońców życia oraz członków ruchów Pro Life po raz kolejny zadziwia i przeraża. Czy idąc owym tropem myślenia i interpretacji indywidualnych sądów, mniemań czy światopoglądowo-religijnych przekonań, powołując się na szkodliwość palenia (i swoje antynikotynowe poglądy) sprzedawca w kiosku bądź sklepie z takich właśnie pobudek może odmówić dystrybucji wyrobów tytoniowych? Czy z tytułu wypadków samochodowych, których powodem jest m.in. benzyna stanowiąca paliwo pojazdów mechanicznych (czyli będąca pośrednim źródłem śmierci ludzi w tychże wypadkach), a także genezą zatrucia środowiska naturalnego fanatyczny pacyfista lub ortodoksyjny ekolog pracujący na stacji benzynowej mogą A robotnik zatrudniony w fabryce, na „taśmie”, produkującej proch strzelniczy lub naboje do broni palnej? Przecież to bezpośredni „materiał zadający śmierć”. Przykłady takiego myślenia prowadzą nas nie tylko na manowce. One sprawiają, że dojść można do wniosków jakoby zrodziły się one w chorych, nierzeczywistych, bliskich dewiacjom psychicznym, umysłach.

Czy w takim razie możemy być w Polsce świadkami niebawem takich przypadków, że lekarz, członek np. Chrześcijańskiego Zboru Świadków Jehowy odmówi uczestniczenia w jakiegokolwiek operacji, gdyż towarzyszy temu transfuzja krwi, a to jest niezgodne z jego światopoglądem religijnym? Czy w niedzielę taksówkarz, bądź kierowca autobusu komunikacji miejskiej – ortodoksyjni katolicy – nie zawiozą klientów do hipermarketu, kina lub restauracji (a jedynie do kościoła) bo „dzień święty trzeba święcić”?

Fanatyczni i purytańsko nastawieni polscy katolicy najwyraźniej biorą przykład ze „swych starszych braci w wierze”, ortodoksyjnych wyznawców judaizmu z Izraela – zwanych *haredim* – chcących narzucić pozostałej części wielokulturowego, wielonarodowego i wielorasowego, pluralistycznego religijnie i światopoglądowo społeczeństwa państwa Izrael swój sposób życia, swój styl interpretacji praw, swój – religijnie uzasadniany – model funkcjonowania państwa. Świeckiego państwa.

Jak wspomina znany izraelski prawnik, współpracownik RES HUMANA Uri Huppert (IZRAEL W CIENIU FUNDAMENTALIZMÓW) pewnego właściciela kafejki „Ogród rajski” w Petach Tikwa po kilku ostrzeżeniach ze strony haredim, aby nie otwierał jej w dzień szabasu napadła bojówka religijnych ortodoksów i zniszczyła mu lokal, demolując doszczętnie sprzęty i wyposażenie. To tylko jeden z przykładów zawłaszczania świeckiej przestrzeni publicznej przez opresyjny fundamentalizm religijny. Przykład z Petach Tikwa równie dobrze – odniesiony do absolutnie różnych warunków kulturowych, politycznych, rasowych czy sytuacyjnych – mógł się wydarzyć na południu USA (w tzw. pasie biblijnym), dzielnicach francuskich miast zamieszkałych przez emigrantów z Maghrebu, Teheranie, w rosyjskich republikach kaukaskich czy ... Na początku zawsze jest Słowo.

O ile wspomniany apel farmaceutów-katolików zostanie usankcjonowany ustawodawczo – mam tylko taką oto propozycję, niech apteki, gdzie farmaceuci nie będą udostępniać konsumentom ze względu na własne sumienia środków antykoncepcyjnych będą wyraźnie i jednoznacznie oznaczone. Na pewno, pod żadnym pozorem i po jakiegokolwiek medykamenty nie zamierzam do takich aptek zachodzić. Tak będzie uczciwiej (jeśli w ogóle przy braku zdrowego rozsądku można mówić o uczciwości).

Dość – trzeba się bronić. Jutro może być za późno.

Radosław S. CZARNECKI

Do Czytelników

i wszystkich zainteresowanych czasopismem RES HUMANA

RES HUMANA jest jednym z niewielu w Polsce czasopism podejmujących złożone problemy ludzkiego życia tak, aby było ono godne naszego człowieczeństwa; krzewimy idee humanizmu i przekonanie o słuszności myślenia racjonalnego; opowiadamy się po stronie wartości świeckich i lewicowych.

Wszystkich zainteresowanych tymi treściami zachęcamy do czytania i prenumerowania naszego czasopisma. W 2011 r. koszt rocznej prenumeraty wnosi 40 zł. Radzimy, aby stosowne wpłaty realizować za pomocą przelewów na konto bankowe redakcji: nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146. Można to też czynić w drodze tradycyjnych przekazów pocztowych na adres redakcji (00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

CZYTANIE I PRENUMEROWANIE NASZEGO CZASOPISMA TO DOBRY WYBÓR.

Redakcja RES HUMANA



Rys.
Marek Chaczyk

Jan DĘBOWSKI

Czy żyjemy na krawędzi zagłady?

(Człowiek wobec środowiska naturalnego)

W centrum uwagi badaczy jak też szerokiej opinii publicznej pozostaje dziś zagadnienie kierunku dalszego rozwoju cywilizacyjnego świata. Chodzi przy tym nie tylko o wymiar materialny tego rozwoju, dający się ujmować w liczbach i wielkościach wytworzonych dóbr konsumpcyjnych, lecz przede wszystkim o uświadomienie sobie wielorakich zagrożeń, jakie niesie z sobą rozwój cywilizacji naukowo-technicznej w jej dotychczasowym kształcie.

1.

Zagadnienie to nabiera tym większego znaczenia, że konsekwencją rozwijania cywilizacji jest coraz powszechniej odczuwane niebezpieczeństwo zagłady ekologicznej. Mówi o tym m.in. raport o stanie świata w roku 1989, przygotowany przez Worldwatch Institute. Stwierdza się w nim, że „świat jako całość nigdy jeszcze nie stał przed takim wyzwaniem jak obecnie”. Natomiast dr Mustafa K. Tolba, dyrektor Programu ONZ ds. środowiska, ostrzega, że przy utrzymaniu obecnych tendencji staniemy na przełomie stuleci wobec katastrofy ekologicznej „tak całkowitej i tak nieodwracalnej, jak zagłada nuklearna”. R. Guardini zaś napisze: „Można śmiało powiedzieć, że zaczyna się obecnie nowy okres historii. Odtąd człowiek będzie żył zawsze na krawędzi nieustannie wzrasta-

jącego niebezpieczeństwa, grożącego całemu jego istnieniu”¹

Upowszechniają się więc żądania przewartościowania skrajnie optymistycznych koncepcji scjentyistycznych, które w rozwoju nauki upatrywały panaceum na trapiące ludzkość nieszczęścia. Nawiązuje się zatem do poglądów wypowiedzianych już w XIX wieku przez ówczesnych myślicieli, z których jeden wypowiedział wówczas znamienne słowa: „Nie pochlebiamy sobie zbyt z naszych zwycięstw nad przyrodą. Za każde z nich mści ona na nas. Każde zwycięstwo daje wprawdzie w pierwszej linii skutki, na które liczyliśmy, ale w drugiej i trzeciej przynosi inne, nieprzewidziane następstwa, które nader często przekreślają znaczenie pierwszych. (...) Tak więc każdy nasz krok przypomina nam, że bynajmniej nie panujemy nad przyrodą jak zdobywca nad obcym ludem, jak ktoś stojący poza przyrodą, ale że przynależymy do niej ciałem, krwią i mózgiem, że się znajdujemy wewnątrz niej i że całe nasze panowanie nad nią na tym polega, iż w odróżnieniu od wszystkich innych stworzeń możemy poznawać jej prawa i w sposób właściwy je stosować”².

Jest więc zrozumiałe, że w wytworzonej sytuacji zagrożeń cywilizacyjnych pojawiają się także wołania o nowy ład ekonomiczny, wsparty na nowej etyce, etyce środowiska naturalnego. Postuluje

ona bowiem, aby u podstaw prawidłowej współczesnej i przyszłej cywilizacji przemysłowej znalazły się „przesłanki biologiczne i społeczno-moralne, tzn. zasada racjonalnego wykorzystywania zasobów surowcowych środowiska naturalnego w kontekście aspektów ekologicznych i społeczno-moralnych jako nadrzędnych”.³

W pierwszym rzędzie jawi się zatem konieczność przeciwdziałania zjawisku, które J. Legowicz nazwał robotostazą. Polega ona na zastępowaniu człowieka przez stworzone przezeń instrumentarium, co powoduje, że przemienia się on w swoisty bioautomat. „Wszystko, co człowiekowi dostępne – pisze J. Legowicz – zostaje stopniowo «urzeczowione». Robotostaza to przestoczenie człowieka na roboto-podobieństwo automatu przepajanego wiarą zapatrzona w swoje dzieło, we wszechwładne robotoposłannictwo”.⁴ Ze wspomnianą robotostazą wiąże się niewątpliwie kryzys poczucia sensu i celu działań ludzkich, ponieważ dyktat przemysłu – zauważa J. Aleksandrowicz – „nadaje kształt naszej świadomości, blokując najcenniejszą część podświadomości, w której kryje się nasza wrażliwość na wartości”. Stąd też jedynie ponowne odkrycie przez współczesnego człowieka prawdziwych wartości może mu przywrócić poczucie sensu życia. To jednak zakłada nadanie nauce i praktyce produkcyjnej „wektoru etycznego”, będącego istotną cechą postulowanego ekologiczmu – jako naukowej metody „etyki szacunku dla życia”.⁵ M.K.Tolba sądzi, że jedynie tą drogą postępując będziemy w stanie wyeliminować przeciwieństwo między człowiekiem i jego środowiskiem naturalnym.⁶

2.

Tak więc kwestia ekologiczna staje się współcześnie kwestią globalną i wyzwaniem dla całej cywilizacji. Dlatego też należy działać także w skali globalnej, tzn. uwzględniając następujące sfery egzystencji ludzkiej: technosferę, socjosferę, biosferę i psychosferę.⁷ Dopiero takie właśnie kompleksowe ujęcie wspomnianych sfer umożliwi właściwe zaprogramowanie wychowania „nowego człowieka”, „człowieka jutra”. Za tym idzie

postulat oparcia wychowania ekologicznego na następujących zasadach:

- zasadzie „wzrostu w mądrości”; aby w należyty sposób uczestniczyć we współczesnym życiu i rozwiązywać problemy współczesnego świata, „trzeba osiągnąć dojrzałość i pełnię swojego rozwoju – mądrość”;

- zasadzie rozwoju do wolności; rozwój ten zaś winien zakładać rezygnację z oświeceniowej idei postępu cywilizacyjnego opartej na koncepcji ujarzmiania przyrody za pomocą nauki i techniki. Konieczne jest więc uzupełnienie współczesnych programów wyzwolenia o element wyzwolenia od kryzysu ekologicznego. „Trzeba koniecznie wbudować w nie- pisze A. Mazur – tezę, iż tylko ekologiczny model cywilizacji – tzn. taki, który zapewni ludzkości przetrwanie i dobrobyt – uwolni cywilizację od kryzysu ekologicznego już dzisiaj dość skutecznie krępującego naszą swobodę w rozwoju gospodarczo-społecznym i cywilizacyjnym”. Wysunięty przez A. Mazura postulat ma wyraźnie etyczny charakter. Chodzi w nim zarówno o dobro, jakim jest życie na Ziemi, jak też zapewnienie ekologicznej sprawiedliwości międzypokoleniowej (poprzez zabezpieczenie możliwości korzystania z zasobów dla przyszłych pokoleń) i sprawiedliwości regionalnej (zapewniając równe szanse wzrostu gospodarczego wszystkim regionom świata)⁹;

- zasadzie związku ładu moralnego z ekologicznym.¹⁰ Zasada ta oznacza, że świat jest częścią kosmosu jako całości uporządkowanej, która ma wartość moralną. Stąd też i nasze ludzkie zachowania w dziedzinie ekologii – łącznie z działalnością gospodarczo-przemysłową – mają również walor moralny;

- zasadzie wspólnotowej własności zasobów, co oznacza, iż są one własnością całej ludzkości. Dlatego też zawłaszczanie nimi lub też niszczyielska działalność w dziedzinie ich eksploatacji i wykorzystywania jest zamachem na dobro wspólne wszystkich ludzi. Rozpatrując tę kwestię w aspekcie etyki chrześcijańskiej można powiedzieć, iż jest to zachowanie godzące w dekalogowe przykazanie miłości bliźniego – jest to „grzech świata”. Dla ludzi wierzących – zauważa A. Mazur – najważniejszą normą moralną i podstawą ochrony środowiska jest fakt stworzenia świata przez Boga i nakaz ulepszenia świata. Dla

ludzi niewierzących i wierzących podstawową wspólną normą etyczną jest nakaz ochrony życia, nakaz ochrony Ziemi”¹¹

• zasadzie „dobrego świata”, tj. świata czystego ekologicznie. Budowanie takiego świata wymaga od ludzi odpowiedniej formacji intelektualno-moralnej „powinni to być ludzie mądrzy, zdolni do wnikliwej refleksji, rozumiejący kulturę i dziedzictwo kulturowe”¹² Mądrość ta zaś domaga się przystosowania gospodarczej działalności człowieka do kryteriów ekologicznych, co oznacza konieczność przyjęcia nowych systemów wartości, takich, w których rozwój ekonomiczny i zysk przestają być celami nadrzędnymi i najwyższymi wartościami. **Działalność materialno-produkcyjną winien człowiek oceniać przez pryzmat etyki.** Dlatego też nauka, technika, polityka, ekonomia – zauważa G. Lazzati – nie mogą być oddzielone od etyki w tym sensie, że ich celem ostatecznym „nie może być nic innego jak tylko człowiek uznawany w swojej naturze istoty rozumnej. W przeciwnym razie z sił twórczych i popierających wartości najbardziej autentycznie ludzkie zmieniają się one w siły zniszczenia”¹³

Trzeba więc ukazać współczesnemu człowiekowi nową hierarchię wartości, w której potrzeby duchowe – nie eliminując dążenia ludzi do życia w dostatku – nie są jednak zastępowane samą żądzą posiadania. Znaczy to, że kształtowaniu psychiki i sumienia wartości niematerialne winny górować nad „użytecznymi zdobyczami techniki, nawet nad specjalistyczną wiedzą, której wagi nikt nie zaprzecza, a której poziom jest zależny od jakości uniwersytetów, szkół wyższych zawodowych, akademii i politechnik”. W dziedzinie zaś ekologii ochrona środowiska naturalnego powinna być zadaniem priorytetowym, ponieważ jest ona zawsze tańsza, aniżeli naprawa popełnionych błędów.

Dotychczasowe rozważania prowadzą do konstatacji, iż warunkiem sine qua non zaradzenia wieloaspektowym zagrożeniom ze strony współczesnej cywilizacji techniczno-gospodarczej jest zmiana dotychczasowego systemu gospodarowania w taki sposób, aby funkcjonował on „zgodnie z obiektywnymi wymaganiami utrzymania powszechnej równowagi ekologicznej”, a jednocześnie zachowywał równowagę społeczną. To

zaś będzie możliwe jedynie poprzez „upowszechnianie i doskonalenie postępu przyrodniczo-technicznego, technologicznego i organizacyjnego, powiązanego z postępowym społecznym i moralnym”¹⁴ **Innymi słowy chodzi o oparcie rozwoju gospodarczego na przesłankach etycznych, a zwłaszcza na paradygmacie ewolucyjno-holistycznym, który nakazuje uwzględniać etyczne aspekty racjonalności gospodarowania, traktując człowieka jako podmiot działań gospodarczych.** Paradygmat ewolucyjno-holistyczny – podkreśla J. Stacewicz – ma istotne konsekwencje natury etycznej, ponieważ „w świetle ewolucyjnej koncepcji rzeczywistości wzrasta rola altruistycznych motywów działania ludzkiego, które okazują się także znaczące w przypadku działania gospodarczego”¹⁵ Autor ten zauważa przy tym, że znaczenie etycznych przesłanek działania gospodarczego, „czyli wiedzy ekonomicznej o charakterze uzasadniającym”, nabiera dziś znaczenia „wobec malejącej przydatności wiedzy o charakterze empiryczno-opisowym oraz wyjaśniającym”¹⁶

Uwzględnienie etycznego aspektu w myśleniu ekonomicznym nie jest wszakże zadaniem łatwym. Za Rene Roy można powiedzieć, że „Kierując się słuszną troską o zrozumiałość, ekonomiści bronią się przed odniesieniami natury moralnej”¹⁷ I nie tylko oni. Nawet wśród etyków i moralistów są tacy, którzy nie uważają za oczywistą odpowiedź twierdzącą na pytanie: czy oddziaływanie człowieka na środowisko biologiczne w ogóle ma charakter moralny? Cała wszak tradycja myśli etycznej przyznawała charakter moralny jedynie czynom człowieka skierowanym na inną jednostkę ludzką. Twierdząca odpowiedź na tak sformułowane pytanie jest wszakże warunkiem zbudowania etyki ekologicznej.

Co jest zatem przedmiotem etyki ekologicznej? Biorąc pod uwagę podmiotowość człowieka w jego relacjach z przyrodą, można powiedzieć, iż przedmiotem tej etyki jest człowiek, „rozpatrywany wszelako w aspekcie swego zachowania się względem środowiska naturalnego”¹⁸ Natomiast zachowanie się człowieka względem środowiska przyrodniczego w europejskim kręgu

kulturowym określały i nadal określają dwa „paradygmaty” (zasady moralne):

- „paradygmat dominacji” człowieka nad przyrodą i

- „paradygmat partnerstwa” z przyrodą.

Pierwszy z nich wyrósł i funkcjonował przez wieki na gruncie myśli chrześcijańskiej, nakazując traktować człowieka jako władcę przyrody, czyniącego ją sobie poddaną. Zgodnie z tym „paradygmatem” człowiek stanowi najwyższe dobro moralne w porządku doczesnym. Oznacza to, że przyroda winna być mu podporządkowana w realizacji jego potrzeb. Nie bez racji zwraca uwagę na to, iż ten właśnie „paradygmat” legł u podstaw rozwoju cywilizacji europejskiej, prowadząc tym samym do powstania zagrożeń z nią związanych. Z kolei „paradygmat” głoszący zasadę partnerstwa człowieka i przyrody zakłada, że „każde życie, nie tylko ludzkie, ale także «przyrodnicze», w jednakowy sposób przedstawia dobro moralne i z tego tytułu ma prawo do tego, aby je otoczyć szacunkiem i w maksymalnym stopniu ochraniać”.¹⁹

Wynikające ze wskazanych „paradygmatów” postawy człowieka względem przyrody można zatem nazwać odpowiednio postawą „sekularną” i „sakralną”. Pierwsza z nich charakteryzuje człowieka tworzącego cywilizację, który zmierzał konsekwentnie przez wieki do swoistej desakralizacji przyrody, „opanowywania” i tym samym jej degradacji. W dotychczasowej swej historii człowiek korzystał więc z przysługującego mu prawa do odpowiadających jego psychofizycznej naturze warunków środowiskowych. Natomiast druga postawa – „sakralna” – była typowa przede wszystkim dla człowieka pierwotnego. Człowiek pierwotny, nie dysponujący możliwościami technicznymi, aby radykalnie zmienić zastane środowisko przyrodnicze, traktował przyrodę podmiotowo, czując się jej częścią integralną. Tkwiąca w postawie „sakralnej” idea partnerstwa człowieka i przyrody jest w ostatnich dziesięcioleciach odkrywana i w coraz większym stopniu akceptowana. Dodatkowym impulsem skłaniającym do rewidowania tradycyjnego „paradygmatu dominacji” są coraz bardziej dostrzegane i odczuwane negatywne skutki gospodarczej działalności człowieka.²⁰

3.

Jak już zaznaczyliśmy, degradacja środowiska biologicznego człowieka postawiła etykę wobec konieczności poddania zaistniałej sytuacji refleksji filozoficznej i sformułowania przynajmniej najogólniejszych zasad moralnych, które obowiązywałyby człowieka w jego stosunku do przyrody.²¹ **Punktem wyjścia przy odnoszeniu etyki ekologicznej do sfery ludzkiej działalności gospodarczej jest teoria holizmu, w świetle której świat jest jeden i niepodzielny, stanowi niezbywalne dziedzictwo ludzkości. Z tej racji jest ona zobowiązana do wzięcia na siebie pełnej odpowiedzialności moralno-ideowej i społeczno-politycznej za siebie i przyszłe pokolenia.** Teorię tę uzupełnia zasada mówiąca o tym, że w integralnie wziętej naturze osoby ludzkiej jest brana pod uwagę także jej relacja do otaczającej przyrody. Za pośrednictwem tej relacji środowisko wchodzi niejako w strukturę człowieka i przyczynia się do jego wewnętrznego doskonalenia.

Podstawową kategorią tak rozumianej etyki jest „ochrona etyczna”. Należy ją rozumieć jako zabezpieczenie środowiska poprzez czynniki natury moralnej, jakie można wyprowadzić z ludzkiego sumienia i zarazem apelujące do etycznego poczucia człowieka. Z kolei naczelną zasadą teje etyki brzmi: „Osoba osobie winna jest miłość”. Skoro zaś człowiek jest istotą środowiskową, dlatego też powinien on okazywać taką samą miłość środowisku przyrodniczemu. Ochrona środowiska przyrodniczego jest więc nie tylko zadaniem czysto technicznym, lecz przede wszystkim postulatem humanistycznym i moralnym. Dlatego też M. Bates słusznie zauważył: „Jeśli jakiś myśliciel zechce nas w przyszłości zaopatrzyć w racjonalny kodeks postępowania, powinien uwzględnić nie tylko problematykę wzajemnych stosunków ludzkich, ale także stosunku człowieka do przyrody. (...) Problemy natury owych wzajemnych więzi z ptakami czy dziką zwierzyną, z drzewami leśnymi i rybami w morzach, stają się problemami roztrząsającymi nie to, co jest dobre dla samego człowieka, lecz to, co jest dobre dla całości świata żywego”.²²

Jedynie więc postawa odpowiedzialności moralnej za ekosferę może zapewnić racjo-

nalną działalność społeczno-ekonomiczną, prowadzącą do nowego ładu w świecie jako całości. Zwłaszcza świadomość nowego ładu ekonomicznego i moralnego wymagana jest obecnie od decydentów wszystkich szczebli zarządzania życiem społecznym, ekonomicznym i politycznym. Decyzje przez nich podejmowane mają bowiem przede wszystkim aspekt moralny – zarówno w odniesieniu do człowieka jak też i środowiska naturalnego. Należy więc zgodzić się z powszechną opinią, iż problematyka środowiskowa, czyli społeczno-ekonomiczna, związana z zasobami naturalnymi, „nabiera współcześnie szczególnego znaczenia i wymaga wszechstronnych badań”.³⁰

4.

Podsumowując szkicowe z natury uwagi odnośnie złożonego problemu miejsca etyki w działalności gospodarczej należy powiedzieć, iż sytuacja zagrożeń wynikających dla współczesnego człowieka i jego naturalnego środowiska ze strony wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej i rozbudowanych programów gospodarczych wymaga pilnie nowego ładu w sferze technologii wytwarzania i sposobów zarządzania systemami gospodarczymi. W pierwszej kolejności oznacza to wymóg ekologicznego uporządkowania przemysłu w taki sposób, aby nie prowadził do katastrof i klęsk ekologicznych. Podstawowym zaś instrumentem do tego celu winna być wsparta na zasadach etycznych edukacja ekologiczna. Należałoby objąć nią zwłaszcza naukowców, menagerów gospodarczych i polityków, „w celu uzdolnienia ich do spełniania przez nich ich funkcji społecznych zgodnie ze współczesnymi wymogami, jakie stawia konieczność wyzwolenia od kryzysu ekologicznego”.²³

Przypisy

¹ R. Guardini, *Koniec czasów nowożytnych*, Kraków 1969, s.73.

² F. Engels, *Dialektyka przyrody*, Warszawa 1953, s. 183–184.

³ J. Czarkowski, *O nowy ład społeczny i ekonomiczny*, Warszawa 1988, s. 171.

⁴ J. Legowicz, *Tożsamość człowieka. Między „technum” a „humanum”*, „Człowiek i Światopogląd” 1989, nr 8, s. 62.

⁵ J. Aleksandrowicz, *Sumienie ekologiczne*, Warszawa 1988, s. 127, 129, 139.

⁶ M.K. Tolba, *Bezpieczeństwo ekologiczne wymaga współpracy*, „Problemy Pokoju i Socjalizmu” 1989, nr 10, s. 47.

⁷ J. Aleksandrowicz, dz. cyt., s. 64–66.

⁸ A. Mazur, *Idea „dobrego świata” a ekologia. Aspekty moralno-etyczne edukacji na rzecz ochrony środowiska przyrodniczego*, „Życie katolickie” 1990, nr 2, s. 29.; A. Mazur, *Problemy edukacji ekologicznej w nauczaniu społecznym Kościoła o ochronie środowiska naturalnego*, w: *Edukacja ekologiczna społeczeństwa*, Warszawa 1988, s. 193–207.

⁹ A. Mazur, *Idea „dobrego świata” a ekologia. Aspekty moralno-etyczne edukacji na rzecz ochrony środowiska przyrodniczego*, wyd. cyt., s. 30.

¹⁰ A. Mazur, *Ład moralny – ład ekologiczny*, w: „O ład moralny” 1989, nr 2, s. 95–111.

¹¹ A. Mazur, *Idea „dobrego świata” a ekologia. Aspekty moralno-etyczne edukacji na rzecz ochrony środowiska przyrodniczego*, wyd. cyt., s. 32.

¹² Tamże, s. 33.

¹³ G. Lazzati, *Świeccy a chrześcijańskie zaangażowanie w sprawy doczesne*, Warszawa 1988, s. 89.

¹⁴ J. Czarkowski, *O nowy ład społeczny i ekonomiczny*, s. 175.

¹⁵ J. Stacewicz, *Racjonalność gospodarowania a współczesne wyzwania rozwojowe*, Warszawa 1988, s. 131.

¹⁶ Tamże

¹⁷ R. Roy, *Filozoficzny i moralny wymiar zjawisk ekonomicznych*, w: *Religia i ekonomia*, Warszawa 1989, s. 81.

¹⁸ T. Sipko SJ, *Podstawy etyki środowiska naturalnego*, „Chrześcijanin w Świecie” 1988, nr 4, s. 56.

¹⁹ Tamże, s. 58.

²⁰ A. Staszewska, *Próby szacunku strat z tytułu degradacji środowiska*, „Aura” 1988, nr 9, s. 5.

²¹ T. Ślipko SJ, *Zarys etyki szczegółowej*, cz. 1, Kraków 1982, s. 293.

²² M. Bates, *Człowiek i jego środowisko*, Warszawa 1967, s. 361.

²³ A. Mazur, *Problemy edukacji ekologicznej w świetle encykliki „Sollicitudo rei socialis” i adhortacji „Christifideles laici”*, „Życie Katolickie” 1990, nr 3/4, s. 39.

Autor tekstu jest profesorem filozofii, długoletnim nauczycielem akademickim, jednym z cenionych znawców problemów ekologicznych i etycznych.

Józef KABAJ

Kodeksowa kreatywność bez refleksji etycznej

Kodeks Nauczyciela z 1872 roku stanowił:

„1. Nauczyciel każdego dnia powinien zadbać o to, aby lampy były napełnione, a kominiek czysty.

2. Każdy nauczyciel winien codziennie przynosić wiadro wody i kubek węgla.

3. Pióra należy przygotowywać starannie. Końcówki piór można ostrzyć zgodnie z indywidualnymi upodobaniami wychowanków.

4. Nauczycielowi płci męskiej zezwala się na wykorzystanie jednego wieczoru w tygodniu na sprawy osobiste (bądź też dwóch wieczorów, jeśli regularnie uczęszcza do kościoła).

5. Po spędzeniu dziesięciu godzin w szkole, nauczyciele mogą oddać się czytaniu Biblii lub innych pożytecznych ksiąg.

6. Nauczycielki, które wychodzą za mąż bądź angażują się w romanse dostaną natychmiastowe wypowiedzenie.

7. Nauczyciel, który pali, używa alkoholu w jakiegokolwiek formie, uczęszcza do kasyna lub domu publicznego, lub też goli się u fryzjera dostarcza znakomitych powodów, by żywić poważne wątpliwości, co do jego wartości, zamiarów, prawości i uczciwości.

8. Nauczyciel powinien odkładać drobne sumy z każdej wypłacanej mu pensji, aby w latach starości nie stać się ciężarem dla społeczeństwa.

9. Nauczyciel wykonujący swą pracę sumiennie i wiernie przez 5 lat spodziewać się może podwyżki w wysokości dwudziestu pięciu centów tygodniowo, o ile zarząd wyrazi na to zgodę.” (Przepisane z sieci.)

A teraz parę słów komentarza na temat etyczności i nieetyczności niektórych artykułów kodeksów etyk zawodowych.

Czym mógłby być – ewentualnie – kodeks etyczny dowolnej grupy zawodowej?

1. Najpierw rzecz podstawowa, czyli rozumienie, o czym mowa. Co to ma znaczyć „kodeks etyczny”? Przymiotnik „etyczny” funkcjonuje bowiem w naszym języku głównie w dwu znaczeniach: wartościującym (etyczny znaczy wówczas tyle co „moralnie dobry” lub „moralnie właściwy”, jak np. w zwrocie „etyczne postępowanie”), albo systematycznym, czyli porządkująco-wyliczającym, tak jak np. „kodeks cywilny” jest zbiorem artykułów prawa cywilnego, tak też w danym przypadku „kodeks etyczny” byłby zbiorem artykułów prawa moralnego. Najczęściej bowiem termin „etyka” jest u nas synonimem moralności. Problem tylko w tym, że pojęcia „prawo moralne” używamy bądź jako przenośni (np. powtarzając za Kantem „akt strzelisty”: „Niebo gwiazdziste nade mną, a prawo moralne we mnie”), bądź też jako ideowego postulatu (w rodzaju wolterowskiego stwierdzenia, że „Gdyby Boga nie było, to należałoby go wymyślić”) – bo prawo moralne zdaje się potrzebne.

2. Wobec tego powstaje druga kwestia, też zasadnicza. Czy owo – jakieś – prawo moralne istnieje również w konkretnie, a nie tylko w przestrzeni wirtualnej? Niemal wszystkim wydaje się, że tak, owszem, bo przecież „musi być” jakieś prawo moralne, poczucie tego, co właściwe, poza kodeksami prawnymi, stosowanymi przez instytucje sądownictwa i poza regulaminami zakładów penitencjarnych. Czyli gdzie? Odpowiadamy sobie na to pytanie ogólnikowo, że mianowicie w ludzkim sumieniu.

3. Lecz nawet gdyby dla kogoś ta lokalizacja była wystarczająco konkretna („wiem, co to takiego sumienie, wiem też, gdzie ono się znajduje”), to i tak trudno będzie się oprzeć

kolejnej wątpliwości. Przyjmijmy bowiem roboczo, że istotnie posiadamy „wdrukowane” artykuły prawa moralnego, czyli zbiór zasad moralnych, zwany potocznie kodeksem etycznym. Wszak potężne instytucje przez wieki doskonaliły stare formy i wynajdują nowe środki indoktrynacji moralnej, stosowanej na szeroką skalę. Przykładami na to są m. in. liczne komentarze do norm objawionych i innych prorockich iluminacji, które uczniowie muszą wkuwać w odpowiednich szkołach bądź na specyficznych lekcjach (chedery, medresy czy katecheza). Po co w takim razie jeszcze jeden, dodatkowy kodeks moralności?

4. Odpowiedź, jaką na to słyszymy, brzmi: posiadamy w sobie (w duszy, w sumieniu) uniwersalne prawo moralne, niejako zarys ogólnych norm moralnych, które wymagają uszczegółowienia w rozpisaniu na poszczególne role, czyli grupy zawodowe. Niegdyś formułowano takie przepisy w podziale na stany. Przykładem stanowego uregulowania może być samurajskie busido, czy Kodeks Honorowy Bohdziewiczza. W zasadzie tendencja jest słuszna, a w każdym razie taką się wydaje: nauczyciel nie powinien przecież kłaść jak szewc, a lekarz obchodzić się z ludzkim ciałem jak rzeźnik z mięsem. Bo szewc – jeżeli klnie – to go słyszy jedynie kopyto (klienta przecież nie zrużga), a lekarz – w szczególności chirurg – operuje przeważnie na jeszcze żywym organizmie, który dysponuje zwykle zapleczem prawnym. Swoją drogą ciekawe, czy w kodeksie etycznym szewców jest zakaz używania brzydkich wyrazów? Co do nauczycielskiego nie mamy wątpliwości... Poza tym czytamy, czarno na białym, w pewnym zupełnie przyzwoicie napisanym Kodeksie Etycznym Nauczyciela:

Nauczyciel uczy zasad kultury osobistej oraz wpływa na kształtowanie postaw proro-dzinnych ucznia.” (Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 4 w Słupsku).

5. Inną kwestią jest to, że istnieją zawody „zaufania publicznego”, co do których mamy szczególne wymagania. Wprawdzie rozmiar stóp klienta(-ki) czy ich kształt też jest w pewnych przypadkach sprawą intymną, której szewc nie powinien rozgłaszać wszem i wobec, jednak skala nieszczęścia, na które jest narażony klient adwokata lub sędziego, czy też notariusza lub tłumacza przysięgłego, w przypadku ujawnienia danych, którymi oni

dysponują, jest znacznie większa i poważniejsza, wręcz nieporównywalna z tamtą u szewca. W związku z tym owe oczekiwania społeczne zdają się tłumaczyć ów pęd do kodyfikacji norm moralnych, który obserwujemy w dzisiejszych (także) czasach. W szczególności dotyczy to owych newralgicznych, nader wrażliwych czynności, które się wykonuje przy naszym ciele (pielęgnacja – lekarze), psychice (wychowywanie – nauczyciele) czy swobodach (ograniczenia – policja, wymiar sprawiedliwości, więziennictwo).

6. Lecz dotychczasowe doświadczenia z kodeksami moralności nie napawają optymizmem. Ileż to razy obserwowaliśmy zaklinanie się w sądach na Boga i Biblię, że się będzie mówiło „całą prawdę i tylko prawdę”, albo słyszeliśmy odwołanie „Tak mi dopomóż Bóg” (chodzi tu o źródło norm moralnych i gwarancję ich stosowania), po czym widzieliśmy „poświadczenia nieprawdy” i inne, nawet zupełnie pospolite łgarstwa i oszustwa, np. posłów czy ministrów przy wypełnianiu przez nich konstytucyjnych ich obowiązków.

7. Najgorsze jest jednak to, że autorzy kodeksów, zwanych etycznymi, nągminnie wykazują nieznaną podstaw etyki, będącej teorią filozoficzną o randze naukowej od 2,5 tys. lat. Ignorują na przykład kwestie sporne, pomijają co najmniej wątpliwe i przesądają, albo wyrokują o dobru i złu moralnym. W bardzo poważnym i wartościowym – w porównaniu z innymi - kodeksie etyki, przyjętym przez Naczelną Izbę Lekarską, czytamy np. taki oto artykuł: „Art. 31. Lekarzowi nie wolno stosować eutanazji, ani pomagać choremu w popełnieniu samobójstwa.”

Z kontekstu widać, że eutanazja została potraktowana jak zabijanie, czyli dokładnie wbrew znaczeniu, w jakim to pojęcie bywa używane od starożytności przez ludzi oczekujących po lekarzach pomocy również w sytuacjach terminalnych, czyli skrócenia męki nieodwracalnego procesu konania, rozciągającego się nieraz na tygodnie i miesiące. Z drugiej zaś strony tenże kodeks nie ma nic przeciwko przerywaniu tzw. uporczywej terapii. A jest to praktyka codzienna w tysiącach szpitali, w których lekarze podejmują decyzje o odłączeniu kroplówki lub respiratora. Nie wolno zatem podać zbyt silnego środka przeciwbólowego, który sprawiłby, że nastąpiłaby

śmierć bezbolesna (wszak istnieją takie anestetyki), wolno natomiast przerwać podawanie czynnika podtrzymującego życie i tym samym narazić pacjenta na długotrwałe męczarnie lub zwykłe uduszenie się. Namiastkę tego drugiego procesu znają np. ci, których usypiano do zabiegów operacyjnych eterem. Uśpienie do operacji środkiem podanym w zastrzyku następuje natomiast niezauważalnie dla pacjenta. Wiem o tym, ponieważ doświadczyłem obu tych sposobów.

Mamy więc i tu do czynienia, jak widać, z zupełnym brakiem refleksji etycznej, opartej na filozoficznym instrumentarium pojęciowym oraz logicznym.

8. Jest rzeczą jasną, że pojęcie „dobrej śmierci” jest wewnętrznie sprzeczne w powszechnym rozumieniu. Ogół bowiem boi się śmierci, nierzadko nawet panicznie. Zrozumiałe, czemu. Chodzi przecież o umieranie,

które jest procesem ze wszech miar przykrym, a co najmniej nader uciążliwym. Tak było od zawsze, że ludzie się przy tym męczyli. Obecnie jednak są możliwości po temu, aby się aż tak bardzo nie męczyć, jak to się dzieje w bardzo wielu przypadkach. W dawnych czasach dobijano nierzadko ludzi z litości, podobnie jak się to czyni ze zwierzętami („usypianie”). Istniały nawet specjalne sztylety, zwane z łacińska „miłosierdziem” (*miserocordia*). Teraz zaś jesteśmy straszeni perspektywą masowego „mordowania” staruszków i nieuleczalnie chorych, które miałyby jakoby nastąpić po przyzwoleniu na radykalne i ostateczne znieszczenie. Czyli miotamy się pomiędzy skrajnościami, jakimi są: przyzwolenie na długotrwałe męczarnie i konwulsje oraz przyzwolenie na zabijanie ludzi. A gdzie złoty środek? Nie da się pomyśleć? Przecież myślenie czasami przynosi zupełnie dobre rozwiązania.

Autor jest doktorem filozofii, etykiem, wykładowcą w wyższych uczelniach.

Barbara KRUPA-WOJCIECHOWSKA

Obserwacje codzienności

Tak, „pierdolamento” nie jest najelegantszym zwrotem, ale bardzo na czasie. Literatura polska bowiem w XXI stuleciu posługuje się językiem wcześniej nie wyobrażalnym. Zabawne, że zdolni ludzie często pochodzący z inteligenckich rodzin jak Masłowska i inni, tymi lub podobnymi słowami weszli do plejady znanych polskich autorów.

Dla ludzi starszych, którzy byli świadkami powojennego awansu społecznego jest to zjawisko zdumiewające. Po wojnie młodzież z prowincji pochodząca często z rodzin wiejskich czy proletariackich, starała się podnosić poziom. Przykładowo na egzaminach, gdy nie mieli odpowiedniego garnituru, pożyczali marynarki od kolegów, żeby okazać szacunek profesorom. Od 2–3 roku studiów wyrównywali już braki w stosowaniu odpowiednich form, o co sami się starali obserwując środowisko.

Teraz występuje zjawisko odwrotne, które datuje się od czasu rewolty solidarnościowej. Pamiętam, w 1981 r. jechaliśmy na konferencję naukową do Leningradu. Profesorowie byli ubrani normalnie, ale nasi młodzi docenci i asystenci w starych rozciągniętych swetrach. Sądzę, że na znak protestu. Wyglądało to dość komicznie, gdy zaproszono nas w czasie sympozjum na uroczystą kolację do bardzo eleganckiego tradycyjnego wnętrza.

Podobne zjawisko demonstrowano, gdy niektórzy młodzi ludzie zaczęli odbierać dyplomy podobnie ubrani, w przeciwieństwie do władz Uczelni, gdyż wtedy już prawie wszyscy nawet w małych prywatnych uczelniach mieli togi i łańcuchy, co sądzę jest przesadą w drugą stronę.

Zastanawiałam się jak sobie nasi absolwenci dawać będą radę w krajach zachodnich

do których garnęli się z zapałem. Tam obowiązuja formy ubioru, które odróżniają ludzi z różnych warstw zawodowych. Popularne dzinsy noszone są na działkach w czasie rekreacji, a nie w godzinach pracy w szpitalach, czy biurach.

Niebawem zobaczyliśmy, że to się zmienia. Nasi dysydenci trafiali do pracy w firmach zachodnich i przychodzili do nas załatwiać sprawy już w dobrze skrojonych garniturach.

Sądzę, że podobne zjawisko zaistnieje w kulturze, ale na to też trzeba czasu.

Przed Bożym Narodzeniem byłam w teatrze w Łodzi na „Poskromieniu złoŃnicy. Jak wiadomo, sztuka zabawna, ale śmieszne zjawisko polegało na porównaniu widowni z grupą, występujących aktorów. Ponieważ było to przed świętami widownię stanowiła młodzież sprawiająca wrażenie wycieczek szkolnych. Chłopcy z ogolonymi głowami, w strojach co najmniej niedbałych, dziewczęta z długimi rozpuszczonymi włosami, które cesały siedząc w łóżach bardzo ładnego teatru. Ponieważ jest moda na nowoczesność, aktorzy występowali w strojach podobnych. Nawet nie źle grali, „nowoczesność” polegała między innymi na tym, że potracali się w genitalia demonstrując zainteresowanie pćią piękną. Nic dodać nic ująć także w kontekście dyskusji o wychowaniu seksualnym w szkole, która ma u nas w kraju wielu oponentów.

Po wyjściu z teatru, zastanawiałam czy tego rodzaju spektakle zachęcą młodzież przeprowadzoną do teatru do dalszego kontaktu ze sztuką, skoro Szekspir tak mało się różni od ich rozchełstanej rzeczywistości. Może warto by było zacząć po raz kolejny dyskusję o roli sztuki w XXI wieku, gdyż współczesność nie musi znaczyć prymitywizmu.

Obchody Chopinowskie pokazały, że jeżeli dogadają się ludzie różnych pokoleń i opcji

politycznych można stworzyć coś naprawdę ważnego.

Z Zachodu przyszła moda na *stand-up*. Standuperzy jak piszą w którymś z ostatnich „Newsweeków” (w formie spolszczonej bez myślnika) to nowa forma kabaretu, czy satyry. Cytowane teksty mają formę językową bardzo dosadną. Jest to nowość.

W HBO pokazano taki program. Młodzi byli interesujący, ale Daukszewicz niezwykle zawsze interesujący, z dmuchaniem i panią Neli, chociaż starał się dostosować, nie bardzo pasował do tej bajki. O wiele bardziej jest sobą w Szkle Kontaktowym i to dobrze.

Cieszę się, że nie tylko na swoich łamach dajecie świadectwo epoce, skutecznie rozjaśniając „czarną dziurę” 45 lat PRL. Jako osiemdziesięciolatka oczywiście dużo czytam. Interesujące jest to, że w Polsce ludzie starzy próbują dokonywać syntezy minionych lat i wybiegać w przyszłość. Młodzi współcześni lewicowcy podkreślają, że urodzili się później i ich historia zaczęła się po przewrocie. Przypomina mi to zdanie mojego Profesora, który cytował powiedzenie swego ojca mówiąc: „Czy stary osioł, czy młody osioł – to zawsze osioł”.

W pokoleniu powojennym klćciliśmy się jak teraz. Może nawet brutalniej, ale przy wszystkich felerach nauczeni byliśmy klasycznego marksizmu i to teraz daje korzyści w sensie rozumienia współczesnych przemian. Po latach ciężkiej pracy zawodowej i politycznej ci, którym los i współczesna medycyna dały dożyć długiego wieku i sprawności intelektualnej mają poczucie dystansu. Młodzi mają obecnie za mało wiedzy, doświadczenia i dlatego brak rzeczowej dyskusji.

Dlatego nie do przecenienia jest wasza działalność w „Res Humana” chociażby jako dokumentowanie epoki.

Autorka jest profesorem medycyny, kardiologiem, wykładowcą w Gdańskim Uniwersytecie Medycznym; w latach Polski Ludowej uczestniczyła też aktywnie w działalności politycznej.



MOWA NIENAWIŚCI

(Z badań Fundacji WIEDZA LOKALNA)

Niedawno powstała Fundacja WIEDZA LOKALNA, współpracująca z bardzo zasłużoną dla krzewienia wartości demokratycznych w naszym kraju Fundacją Batorego oraz Collegium Civitas, wyższą uczelnią, której patronuje Polska Akademia Nauk, opublikowała „Raport mniejszości”, ukazujący wstępne dane na temat wykorzystywania Internetu przez różne osoby do siania mowy nienawiści wobec mniejszości narodowych, etnicznych, religijnych i seksualnych. Wystarczyło kilkadziesiąt godzin, by specjalistyczne programy komputerowe wykryły w polskim Internecie ponad 85 tysięcy przypadków takiej mowy.

Monitoringiem objęto 3 platformy forów internetowych, działające przy największych portalach: gazeta.pl, onet.pl, wp.pl, a liczba przeanalizowanych wpisów (postów) sięgnęła 10 milionów. „Nauczony” analizy języka program komputerowy sam rozróżniał, czy post zawiera treści wrogie wobec mniejszości.

Wśród mniejszości ofiarami negatywnych emocji padli w kolejności: Żydzi, Rosjanie, geje, lesbijki, Niemcy, muzułmanie, Afrykańczycy, Romowie.

Komentując otrzymane dane dr Marek TROSZYŃSKI, prezes Fundacji WIEDZA LOKALNA i koordynator badań stwierdza m.in.: „O tym że Internet aż kipi niechęcią do określonych grup wiadomo od dawna. Praktycznie jednak zjawisko to pozostawało niezbadane. Gigantyczna liczba wrogich wypowiedzi oraz fakt, że pochowane są one w różnych zakamarkach Sieci zniechęca do badań i sprawia, że są niezmiernie trudne”. „Warto podkreślić – czytamy dalej – że wyniki te mówią tylko i wyłącznie o częstotliwości mowy nienawiści, a nie o niechęci Polaków do poszczególnych grup narodowych czy etnicznych. Na przykład według najnowszych danych CBOS (z lutego 2011 roku) największą niechęć Polacy odczuwają w stosunku do Romów... Częstotliwość ataków w Internecie – przynajmniej badana z perspektywy całego kraju – nie wydaje się też związana z liczebnością mniejszości. I tak, spośród mniejszości najliczniejszej w Polsce reprezentowani są geje i lesbijki, a spośród mniejszości narodowych – Niemcy, Ślązacy, Białorusini i Wietnamczycy. Lecz mimo to, inne grupy częściej padają ofiarą mowy nienawiści i języka wrogości.” Koordynator raportu zwraca też uwagę, iż za wcześniej na jednoznaczne rozstrzygnięcie, dlaczego w jednych portalach internetowych wrogich ataków jest więcej, a w innych mniej. Dlatego zapowiada podjęcie aktywnej współpracy z administratorami forów.

Inicjatywa badań dla mowy nienawiści w Internecie nie może nie budzić zainteresowania i troski wszystkich, którym bliskie są ideały tolerancji, zdolności rozumienia drugiego, którzy ze wzrastającym niepokojem obserwują wysoce negatywne zjawiska społeczno-moralne, którym pole działania umożliwiają portale internetowe.

Odnosząc się z szacunkiem do inicjatywy zasygnalizowanych tu badań podjętych przez Fundację WIEDZA LOKALNA, wolno wyrazić przekonanie, że badania te będą kontynuowane i że znajdą się sposoby ograniczenia samowoli tych, którzy nadużywają wolności demokratycznych w naszym państwie. Bo wolność to odpowiedzialność, o czym zapomina wielu, także właściciele czy administratorzy różnych portali internetowych.

Opracował
Andrzej BIERNACKI

PROBLEMY WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

List z Ameryki

Daniel ZBYTEK

Wybory Obamy i obawy wyborców

Prezydent Stanów Zjednoczonych Barak Obama 4 kwietnia 2011 roku zgłosił swoją gotowość ponownego uczestniczenia w wyborach prezydenckich na drugą kadencję, w roku 2012. Oprócz niego zgłosiło się już wielu innych kandydatów, mniej lub bardziej poważnych, ale dążących do promocji własnej osoby, gdyż na wybór nie mają jakichkolwiek szans. Brak natomiast kandydata Partii Republikańskiej, który stanowiłby realną alternatywę dla demokratycznego prezydenta. Pojawiają się różne nazwiska.

Mimo faktu, że w wyborach wygranych przez republikańską Panią Murkowski Partia Demokratyczna poniosła straty, tracąc większość w Kongresie (zachowali niewielką większość w izbie wyższej, Senacie), szanse wyborcze tego samego prezydenta są dość znaczne.

Przeprowadzone analizy ośrodków badania opinii publicznej wykazują, że poparcie dla niego jest bardzo zróżnicowane i zależy, w dużym stopniu od przynależności rasowej wyborców. Wydawać by się mogło, z europejskiej perspektywy, że po wyborze czarnego prezydenta, obywatele Stanów Zjednoczonych pozbyli się uprzedzeń rasowych.

Rzeczywistość jest jednak daleka od tego obrazu. Obamę przede wszystkim popierają Afro-Amerykanie, jak to się obecnie mówi poprawnie politycznie pod adresem Murzynów

(nawet tablice pamiątkowe z przeszłości są odpowiednio aktualizowane) – 85% czarnych wyborców zgłosiło gotowość ponownego głosowania na obecnego prezydenta. To dziesięcioprocentowy spadek w porównaniu do roku 2008, ale znacznie więcej niż biali – 39% wśród nich wyraziło swoje dalsze poparcie (spadek o 4%). Pośrodku lokują się wyborcy pochodzenia latynoskiego: 54% chce znowu głosować na Obamę, ale to oznacza spadek o 13%.

Z liczb tych wynika, że Barak Obama swój wybór na prezydenta zawdzięcza przede wszystkim obywatelom USA o ciemniejszym kolorze skóry. Ich wzrost liczebny, spowodowany przede wszystkim napływem imigrantów z Ameryki Łacińskiej, ale i także wyższym przyrostem naturalnym wśród Afro-Amerykanów i Latynosów, spowodował, że po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych na czele kraju stanął Murzyn. Oczywiście istotne jest też duże poparcie wyrażone przez byłych, przede wszystkim wśród biedoty i dużej części klasy średniej, dotkliwie doświadczonych przez skutki kryzysu gospodarczego roku 2008, roku wyborczego. Kryzys dotkliwie doświadczyły rynek pracy. Ubyło ponad 8,5 miliona miejsc pracy, zniknęły oszczędności pracownicze i emeryckie ulokowane w funduszach inwestycyjnych i zabezpieczone nieprawdziwymi, jak się okazało, hipotekami.

Oczekiwania wobec Baraka Obamy okazały się więc nieco na wyrost. Wyborcy chcieli nowego Franklina D. Roosevelta, którego program ekonomiczny i socjalny zwany „Nowym porządkiem” („New Deal”) zakończył Wielki Kryzys lat trzydziestych XX wieku. Administracja rządowa Obamy, dzięki olbrzymim funduszom budżetowym uratowała sektor finansowy – głównego winowajcę kryzysu, ale z drugiej strony to kręgosłup amerykańskiej gospodarki. Od dwóch lat gospodarka USA z wolną rośnie – 2,8% wzrostu dochodu narodowego w 2010 roku, w roku 2012 przewidywany jest 2,95% (wg raportu IMF, kwiecień 2011). Ten wzrost nie przekłada się jednak na rynek pracy – w ciągu dwóch lat przybyło tylko 1,5 miliona nowych miejsc pracy, czyli, nie tylko nie odbudowano stanu przed kryzysem, ale ten wzrost jest niższy od liczby młodych ludzi, którzy kończą szkoły i rozpoczęli poszukiwanie pracy. Bezrobocie wśród ludzi młodych (16–19 lat) jest najwyższe, sięga 25%. Raport Departamentu Pracy (amerykański rządowy departament według polskiej nomenklatury odpowiada ministerstwu) z 6 maja 2011 r. potwierdza utrzymanie się tej niepokojącej perspektywy: przybyło prawie 244 tysięcy nowych miejsc pracy, ale stopa bezrobocia wzrosła do 9%.

Wskaźniki bezrobocia najwyższe są wśród ludności latynoskiej i czarnej. W marcu 2011 wśród ludności latynoskiej wyniosło ono 11,3%, dla czarnej 16,1%, gdy ten wskaźnik dla całych Stanów wynosił 8,8%. Najniższy był wśród ludności pochodzenia azjatyckiego: 6,4% (źródło: Bureau of Labor Statistics, Washington D.C., 06.05.2011). To nie jedyny czynnik, który różnicuje obywateli Stanów Zjednoczonych ze względu na kolor skóry.

Podziały rasowe w Stanach Zjednoczonych w dużym stopniu wynikają też z odmiennej perspektywy historycznej. W tym roku obchodzona jest rocznica 150-lecia od rozpoczęcia wojny domowej, tzw. secesyjnej. Pierwotnie miała ona charakter ekonomiczny. Południe Stanów Zjednoczonych, przede wszystkim rolnicze, z wielkimi latyfundiami, rozwijało się w oparciu o pracę czarnych niewolników. Północ, szybko uprzemysławiająca się dzięki napływowi milionów europejskich emigrantów, dążyła do ekspansji ekonomicznej i południe było najbliższym, rozległym rynkiem zbytu.

Abraham Lincoln, prezydent Unii, z początku nie miał zamiaru zniesienia niewolnictwa. Wprost przeciwnie, dążył do porozumienia z przywódcami Konfederacji, zachowując ich niewolnictwo czarnych. Zadufanie Konfederatów we własne siły i odnoszone pierwotnie sukcesy na polach bitew, a także przekonanie do swojej misji, „misji białego człowieka”, w ich przekonaniu będące „prawem naturalnym” świadczącym o wyższości potomków Europejczyków nad ludźmi z Afryki, doprowadziło do sytuacji, że jakkolwiek kompromis okazał się niemożliwy. Klęski unionistów w pierwszej fazie wojny przyczyniły się do zmian, które zmieniły relacje społeczne. Dla żołnierzy z północy, Murzyni byli egzotyczną ciekawostką, nieznaną w ich rodzinnych stanach. Traktowali ich jednak jak ludzi, a nie wyłącznie jak siłą roboczą. Ta postawa spowodowała, że wielu czarnych niewolników zaczęło uciekać z plantacji na obszary zajmowane przez wojska Unii. Z początku zarówno prezydent Lincoln jak i jego generałowie traktowali przybyszy z rezerwą, szybko jednak okazało się, że stanowią oni ważny element w zmaganiach z Konfederacją, osłabiają ją gospodarczo. Po prostu nie miał kto pracować na plantacjach, byli oni nieodzownym elementem obozu wrogów Północy. Tak też traktowano pierwotnie zbiegów, zgodnie z ówczesnym prawem, jako zdobycz wojenną – bardzo przydatną, samodzielnie zasilającą obóz Północy. Zatrudniano ich najpierw do prac pomocniczych, jak kopanie rowów obronnych, a dopiero później, gdy okazało się, że ich udział w walkach zadecyduje o zwycięstwie. Było ich wielu i znali ponadto tereny walk, lepiej niż ich biali panowie rezydujący w pałacach, stanowili więc nieocenione źródło wiedzy logistycznej.

W wojnie secesyjnej zginął co drugi dorosły biały mężczyzna stanów Południa i ta pamięć martyrologii w dalszym ciągu kształtuje postawy białych na południe od Waszyngtonu wobec czarnych, którzy z kolei mają odmienną pamięć historyczną. Wojna secesyjna była dla nich początkiem drogi o pełne wyzwolenie i samostanowienie, a wielu z nich uważa, że do dzisiaj jeszcze wiele zostało do zrobienia. To biali posiadali i w dalszym ciągu posiadają ziemię, wielkie przedsiębiorstwa, kontrolują system finansowy.

Odmierna jest perspektywa latynosów, grupy o szybkim przyroście liczebnym. W Ka-

lifornii, najliczebniejszym stanie USA, stanowią już ponad 33% całej ludności i ich głos będzie miał decydujące znaczenie w każdym wyborach. Stany południowego pogranicza: Nowy Meksyk, Newada, Kolorado, Teksas to stany z większością hiszpańskojęzyczną.

Nie jest jednoznaczne, że poprą oni w przyszłym roku Afroamerykanina Obamę, jak to było w roku 2008. Nie mają wspólnej tradycji historycznej ani z białymi, ani z czarnymi obywatelami Stanów. Są relatywnie nową grupą ludnościową, mocno jeszcze osadzoną w realiach swoich macierzystych krajów na południe od Rio Grande: Meksyku, krajów Przesmyku Panamskiego, Ameryki Południowej. Sentymenty Wojny Secesyjnej są im obce. Są grupą na dorobku, szybko zdobywając znaczenie gospodarcze i polityczne. Latynosi z Południa przemieszczają się na Północ. Mieszkają w większości w swoich narodowych gettach, ale coraz bardziej są widoczni i w tradycyjnie białych dzielnicach miast. Trwa swoista rekonkwista. Potomkowie Azteków i Inków – niscy, kwadratowi, o śniadej skórze i skośnych oczach, choć w większości hiszpańskojęzyczni, odyskują indiańskie tereny w XIX wieku zajęte przez białych. Nie zamykają się w swoim środowisku, jak ludność czarna. Kobiety latynoskie to fundament rynku usług: opieka nad ludźmi starszymi, dziećmi, kucharki, sprzątaczkę, pomoc domowa. To ludność konserwatywna, w większości katolicka, choć duże wpływy wśród nich mają też Kościoły protestanckie, szczególnie tzw. nowo ewangelizujące. Katolickość też ma swój latynoski koloryt – niechętnie uczestniczą w życiu białych parafii, tworząc swoje własne, eliminując księży polskiego, włoskiego czy irlandzkiego pochodzenia, eliminując także przy okazji niejako dotychczasowych wiernych, którzy z kolei przemieszczają się do tradycyjnie konserwatywnych, „białych” kościołów jak baptyści czy prezbiterianie – w Stanach konkurencja międzykościelna jest duża i rynek wyznaniowy oferuje olbrzymią gamę wyboru. Latynosi wyznają konserwatywne zasady w życiu społecznym: związków rodzinnych, dalekiej od jakiegokolwiek feminizmu roli kobiet, wielodzietności. Prawa homoseksualistów, jakiegokolwiek, eufeministycznie mówiąc, nie budzą ich entuzjazmu.

Te wartości dzielają potencjalni wyborcy Partii Republikańskiej, dla których Obama jest „socjalistycznym, kenijskim (kraj pochodzenia ojca Obamy, nie wypada mówić „czarnuch”) wrogiem numer jeden”.

Dzieli ich jednak istotny element: prawo do imigracji. To zasadnicza sprawa dla Latynosów, wśród których nielegalni emigranci stanowią istotny procent. Nie ma dnia, aby pod osłoną nocy graniczną Rio Grande nie przekraczało tysiące nowych, potencjalnych obywateli USA. Znajdują oni wsparcie swoich ziomeków, często członków rodzin. Obama dużo obiecywał tej grupie wyborców (oczywiście nielegalni nie mają żadnych praw, ale ich rodziny tak). Administracja demokratycznego prezydenta dążyła do uchwalenia przez parlament tzw. ustawy „Marzenie” (w rzeczywistości angielski skrót od nazwisk ustawodawców, DREAM), która dawałaby prawa obywatelskie tym dzieciom nielegalnych emigrantów, którzy ukończyli wyższe studia lub służyli w wojsku. Większość republikańska obecnego Kongresu odrzuciła tę ustawę, zgodnie z poglądami swoich głównych wyborców: białych, niewykształconych, konfesyjnych (powiedzielibyśmy po polsku wyborców PiS), dla których to Latynosi przede wszystkim stanowią podstawową konkurencję na rynku pracy. Dziś w Stanach Zjednoczonych trudno znaleźć firmę budowlaną, gdzie począwszy od zarządu po stanowiska operatorów łopat, jedynym komunikacyjnym językiem nie byłby hiszpański, no może gdzieś gdzieś keczua, jeżeli należy do emigrantów z Peru lub Boliwii. Nie istnieje więc obawa, że Latynosi *en masse* poprą republikańskiego kandydata na prezydenta – istnieje natomiast niebezpieczeństwo, że ich niezadowolone z aktualnego demokratycznego prezydenta przełoży się na absencję wyborczą i tym samym dadzą zwycięstwo oponentowi Obamy.

Gospodarka, czyli przede wszystkim zmniejszenie bezrobocia oraz imigracja – to dwa podstawowe czynniki, wokół których będzie się toczyła prezydencka kampania wyborcza i które zadecydują, czy prezydentem Sanów Zjednoczonych na kolejną kadencję zostanie ponownie Barak Obama, czy ktoś z Partii Republikańskiej.

Autor jest historykiem i ekonomistą, członkiem zespołu naszej Redakcji; obecnie czasowo przebywa w Stanach Zjednoczonych.

Drukujemy poniżej dwa teksty polemizujące z tekstami, które wydrukowaliśmy na łamach naszego czasopisma. Drukujemy je, ponieważ dotyczą spraw współcześnie doniosłych, których zrozumienie nie jest możliwe bez wymiany różnych opinii na ich temat.

Zapraszamy naszych Czytelników do udziału w wymianie tych opinii.

REDAKCJA

Roman FREUND

O „państwach przymiotnikowych

Niewielki objętościowo tekst Uri HUPPERTA na temat Izraela jako „państwa przymiotnikowego” („Res Humana”, nr 4, 2010) zachęca do uwag polemicznych, zachęca dlatego, że – wbrew sugestii Autora – Izrael to nie jedynie na Bliskim Wschodzie „państwo przymiotnikowe”. Dla przykładu podaję w angielskiej wersji językowej kolejne państwa: Heshemit Kingdom of Jordan, Islamic Republic of Iran, Arab Republic of Egipt itd.

Ale nawet nie w tym sęk. Autor – czyżby nieświadom dualizmu zawartego w „przymiotniku” *żydowskie* – miesza jego podwójne i hipotaktyczne znaczenia: religijne oraz etniczne. Żydem jest bowiem nie ten, o którym jako o rasie mwa, gdyż semitą jest jedynie ten, którego język i mowa należy, jak wiadomo, nie do żadnej (jak chciał Hitler) rasy, a do semickiej grupy językowo-etymologicznej (jak np. aramejski czy arabskie narzecza). Żydem jest też na pewno każdy, którego wyznaniem jest *judaizm* (nie mylić z *żydostwem*), tak jak tylko Japończyk może wyznawać shinto, czyli religię, a nie narodowość.

Żydem w sensie czysto etnicznym, historycznym jak i laickim (wiem, wiem, w Polsce czy na Węgrzech to zwykła *obelga*) jest każdy bezwyznaniowiec pochodzenia lub narodowości, której genesis jest w historycznych kroni-

kach zwanych potocznie biblią, o narodzie hebrajczyków z terenów byłych królestw Judei i Izraela i których poczuwa się być potomkiem, względnie jest do tego zmuszony.

Reasumując, Żyd to nie rasa, nie tylko obywatelstwo, nie tylko religia, ale sensu stricte *narodowość* opierająca się na pochodzeniu. I tak AK krajem potomków Polan jest Rzeczpospolita *Polska*, tak krajem Żydów jest żydowskie (!) Państwo Izrael.

I czy się komu podoba premier Bibi Netanyahu czy minister Avigdor Lieberman czy też nie (mnie też nie) fakt pozostaje faktem: reprezentują oni jako wybrani w wolnych wyborach państwo żydowskie. Kwestionują to tylko Arabowie (i zdaje się także p. U. Huppert), którzy poddają ten fakt w wątpliwość lub nadają mu wysoce pejoratywne znaczenie. Sądzę, że niesłusznie Jak długo Izrael, „jedyna demokracja na Bliskim Wschodzie”, nie posiada konstytucji, która oddzielałoby administrację państwową od klerykalnych instancji żydowskich talibów, tak długo trudno mówić jednoznacznie o istocie autentycznej demokracji zainfekowanej teokracijnymi tendencjami. Takiego zdania jest m.in. Humanistic Judaism – the Fourth Alternative. Ale nie mieszajmy nauki z polityką...”.

Autor jest doktorem nauk historycznych i religioznawcą, po II wojnie światowej, od 1948 r. mieszka w Szwecji.

Uri HUPPERT

Jeszcze o „kłopotach z multikulturalizmem”

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Daniela Zbytka o kłopotach z multikulturalizmem („Res Humana”, nr 1, 2011). Autor słusznie ostrzega, iż w Unii Europejskiej narastają tendencje wrogie ludziom, którzy różnią się etnicznie i religijnie.

Trudno nie zgodzić się z tym ostrzeżeniem, zwłaszcza jeśli mowa o niebezpieczeństwie rasizmu i świadomego wzniesienia niechęci większości wobec mniejszości etnicznych.

Jednak problem multikulturalizmu czy multikultury we współczesnym świecie ma też inny, dramatyczny i złowieszczy aspekt. Narzuca się najpierw pytanie: czy społeczności reprezentujące nacje i kultury odmienne od kultur krajów swojego osiedlenia chcą współżyć na zasadzie tolerancji i wzajemnego poszanowania z tymi kulturami? Czy atmosfera humanizmu, tolerancji, wzajemnego poszanowania może być płaszczyzną cenioną przez kultury odmienne czy też traktowane jako wyraz ich słabości. Bo nie sposób nie dostrzegać, że niektóre mniejszości etniczne czy religijne traktują państwa swojego osiedlenia za przyczółki do ekspansji własnych wartości, często takich, w których trudno dostrzec aprobaty dla demokratycznych idei równości, tolerancji, praw człowieka, prawa do swobodnej – także w wyrazie artystycznym – wypowiedzi, a bywa, że przywódcy ich ojczyzn, które opuścili, nie wahają się rzucić klątw na autorów tych wypowiedzi, a nawet wydają na nich wyroki śmierci. I bywa też rzecz najokrutniejsza – sięganie po narzędzie terroru, którego tak tragicznie doświadczył już świat.

Dlatego, moim zdaniem, nie można godzić się na aprobowanie żądań wielu grup przybyszów, które w imię tolerancji, chcą wprowadzania ustaw, które były by sprzeczne z istotą

tolerancji w jej utrwalonym w krajach Zachodu rozumieniu i kształtem. Obawiam się, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, że tolerancja w rozumieniu pewnych zamkniętych grup religijno-etnicznych ma mieć jeden wyłącznie wymiar: ma być tolerowana a najlepiej bezdyskusyjnie aprobowana w takim jej rozumieniu, który zaprzecza w istocie prawom człowieka obecnym w tradycji Zachodu i zapisanym w dokumentach czy konwencjach międzynarodowych.

Nie można się godzić na głoszenie idei i praktyk świadomie i celowo utrudniających lub nawet zabraniających kontaktów owych grup przybyszów ze społecznością, która udzieliła im gościny, na tolerowanie dyskryminacyjnych praktyk wobec „własnych” kobiet i dzieci, praktyk, na które nie może się godzić cywilizowany świat; tak, jak nie sposób się godzić na łamanie prawa państw, które w dobrej wierze udzieliły zgody na osiedlenie się grup przybyszów z różnych innych stron świata.

Snuję te refleksje, świadom ich „niepoprawności” w oczach entuzjastów multikulturalizmu (nb. Daniela Zbytka, mimo wszystko, do ich grona nie zaliczam) widząc z bliska to, co w tej mierze dzieje się w Izraelu, kraju, w którym mieszkam i żyję od 60 lat.

Otóż owo, mówiąc za Samuelem P. Huntingtonem, „zderzenie cywilizacji” widzę na co dzień i boleśnie w moim kraju, gdy słucham żądań ultraortodoksów żydowskich do tolerowania ich praktyk sprzecznych z ideą państwa prawa, np. żądań odrębnych autobusów miejskich dla kobiet i mężczyzn, a przynajmniej oddzielnych dla nich drzwi – i to w imię tak rozumianej przez nich tolerancji; gdy słucham z kolei rabinów „narodowych” i ich domagania się prawa weta wobec działań władz zmie-

rzających do ewakuacji osiedli położonych na terenach okupowanych, a mających być w przyszłości częścią przyszłego państwa arabsko-palestyńskiego.

Wydaje mi się, że wszystkie te fakty stawiają na porządku dnia pilną potrzebę poważnego przemyślenia problematyki tolerancji czy równości praw, kwestii ich granic, ich roztropnego praktykowania w zmiennych warunkach współczesnych.

Warto też przy okazji takiego namysłu pamiętać nad nieodległymi lekcjami przeszłości: oto konstytucja weimarska z 1919 r., dumnie określana w literaturze za perłę liberalizmu i praw człowieka stała się dla Hitlera sposobnością do sformułowania złowieszczych idei i zbrodniczego systemu. Ja wiem dobrze, że to było bezprzykładnym gwałtem, ale nie mogę

nie myśleć o gwarancjach, które wszystkie systemy demokratyczne i liberalne muszą stworzyć, aby uchronić się przed takim i podobnym gwałtem.

Czas współczesny dostarcza wielu przykładów wskazujących na potrzebę stworzenia mechanizmów obrony wartości demokratycznych przed ich zuchwałymi wrogami, tymi, którzy – często cynicznie odwołując się do wartościami tolerancji i obrony praw człowieka – a w rzeczywistości ich nienawidzą, i dążą do ich unicestwienia.

W tej perspektywie warto z uwagą rozważyć np. koncepcję „self defending democracy”, czyli systemu prawnego, który stanie w obronie wartości demokratycznych całą siłą prawa, i z całą siłą bronić będzie wartości humanistycznych i tolerancji przed ich wrogami.

Autor jest znanym izraelskim prawnikiem oraz obrońcą praw człowieka; w listopadzie ub. roku został wyróżniony Medalem Zasłużonego dla Tolerancji przez polską Fundację Ekumeniczną TOLERANCJA; wykłada gościnnie nauki polityczne w polskich uczelniach wyższych; należy do grona współpracowników naszego czasopisma.



*Fragment
Jerozolimy*



O NIERÓWNOŚCIACH SPOŁECZNYCH I DEMOKRACJI W POLSCE

Dyskusja panelowa

- Henryk DOMAŃSKI • Leszek K. GILEJKO
- Tadeusz KOWALIK • Maria SZYSZKOWSKA

Tak sformułowany temat stał się przedmiotem spotkania panelowego, które ze wspólnej inicjatywy Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego, Redakcji RES HUMANA oraz Przedstawicielstwa Fundacji im. Róży Luksemburg w Polsce odbyło się 27 kwietnia 2011 r. w jednej z sal audytoryjnych Uniwersytetu Warszawskiego.

Inicjatorzy uznali, że nierówności społeczne w Polsce współczesnej są problemem szczególnie istotnym nie tylko ze względu na ich realne rozmiary, ale w niemniejszym stopniu ze względu na wysoce ujemny wpływ na stan społecznej świadomości, zwłaszcza na ocenę realizowanego w Polsce modelu demokracji liberalnej, co wykorzystują różne siły populistyczne do demagogicznego kwestionowania demokracji w ogóle.

W panelu udział wzięli: prof. Maria SZYSZKOWSKA – filozof prawa i etyki społecznej, prof. Henryk DOMAŃSKI – socjolog, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN oraz prof. Leszek GILEJKO – socjolog i ekonomista, dziekan Wydziału Socjologii Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztora w Pułtusku; prof. Tadeusz KOWALIK – socjolog i ekonomista, który ze względu na stan zdrowia nie mógł przybyć osobiście na spotkanie, przekazał swoje wystąpienie w formie pisemnej, które łącznie niżej drukujemy. Uzupełnieniem tych wystąpień jest zwięzłe omówienie dyskusji panelowej, którą – jak i całe spotkanie – prowadził redaktor naczelny RES HUMANA dr Zdzisław SŁOWIK.

W Suplemencie drukujemy też refleksje dr Władysława LORANCA, członka zespołu RES HUMANA, który brał udział w konferencji na temat ubóstwa i społecznego wykluczenia w Polsce, zorganizowanej w połowie marca 2011 r. z inicjatywy Krakowskiej Akademii im. Frycza-Modrzewskiego, Stowarzyszenia „Kuźnica” oraz Instytutu Socjologii. Uznaliśmy, że tematyka tej konferencji jest komplementarna do spotkania na temat społecznych nierówności.

REDAKCJA

Henryk DOMAŃSKI

Postaram się przedstawić fakty z komentarzem do nich. Co do prezentacji faktów to odwołuje się ona do ustaleń wynikających z badań socjologicznych, głównie ilościowych prowadzonych od kilkudziesięciu lat na ogólnopolskich, reprezentatywnych próbach ludności – tak, aby można było coś orzec o zmianach. Nasuwają się dwa podstawowe pytania. Po pierwsze, czy zmiana systemu politycznego znajduje odzwierciedlenie w strukturze społecznej? Jest to fundamentalne pytanie, stanowi ono bowiem pewne kryterium siły zmian systemowych. Drugie pytanie, równie fundamentalne, brzmi: Czy struktura społeczna w Polsce upodobniła się do społeczeństw zachodnich? Jednak na początku powiem o tym, co się nie zmieniło, chociaż może powinno.

Struktura społeczna to wiele podziałów, kategorii społecznych i zachodzących między nimi relacji. Skoncentruję się na takim aspekcie struktury społecznej, który jest z nią najczęściej utożsamiany, a mianowicie na stratyfikacji społecznej. Natomiast nie będę mówił o podziałach pokoleniowych, nierównościach związanych z płcią, różnicach terytorialnych, regionalnych i innych.

Zacznijmy więc od wskazania tych aspektów, które nie zmieniły się, chociaż mogły się zmienić. Podstawowym „parametrem” charakteryzującym strukturę społeczną jest jej otwartość. Z kolei najważniejszym wskaźnikiem otwartości jest ruchliwość społeczna. Im większa ruchliwość, tym większa otwartość struktury społecznej. Otwartość oznacza, że jeśli np. ktoś urodził się chłopem, to może awansować i zostać na przykład lekarzem, czy dyrektorem koncernu. W hipotetycznym modelu optymalnej otwartości istnieje pełna wymienialność pozycji. Przeciwnościem ruchliwości międzypokoleniowej jest dziedziczenie pozycji społecznej po rodzicach. Stąd powstaje pytanie, czy po zmianie systemu coś się zmieniło, jeżeli chodzi o stopień przenikalności barier społecznych, na przykład pod względem przechodzenia z klasy chłopskiej lub robotniczej do inteligencji. Otóż nie – otwartość struktury społecznej, mierzona natężeniem ruchliwości (oczywiście mówię o prawidłowościach statystycznych) prawie się nie zmieniła. **Są różne mierniki ruchliwości, które na to wskazują, w sumie jednak, międzypokoleniowe przemieszczenia między podstawowymi segmentami struktury społecznej – klasą chłopską, robotnikami rolnymi, robotnikami niewykwalifikowanymi i wykwalifikowanymi, właścicielami firm, niższymi pracownikami umysłowymi, inteligencją, elitami władzy, elitami biznesu – w zasadzie są takie jak w czasach PRL.** Oczywiście, ruchliwość do elit władzy czy elit biznesu niewątpliwie wzrosła (musiała wzrosnąć, bo kategorie te zostały „otworzone” przez demokrację i rynek), niemniej są to bardzo małe kategorie, więc napływ do nich nie miał dużego znaczenia. Tak więc, biorąc pod uwagę ruchliwość społeczną, czyli stopień przenikalności warstw, klas, kategorii społeczno-zawodowych, można powiedzieć, że polskie społeczeństwo nie jest społeczeństwem bardziej otwartym, niż było w latach 80. XX wieku.

Innym klasycznym wskaźnikiem otwartości, jest tzw. homogamia małżeńska – z jakich kategorii wywodzą się małżonkowie. Wzrost mezaliansów byłby wskaźnikiem otwartości. Również i tutaj nic się nie zmieniło. Jest to drugie świadectwo braku zmian w otwartości. Nie dokonało się „mieszanie” par z różnych pięter drabiny społecznej. Na zbliżonym poziomie utrzymywała się również homogamia pod względem doboru znajomych, tzn. inteligenci utrzymywali bliskie znajomości raczej z inteligentami, robotnicy z robotnikami, itd. Oczywiście nie można wykluczyć, że nastąpią jakieś zmiany – i to być może w kierunku osłabienia ekskluzywności wymienionych środowisk i zanikania ostrości barier społecznych – w końcu trudno oczekiwać radykalnych zmian w takim krótkim okresie.

Kolejnym wskaźnikiem otwartości jest dostęp do wyższego wykształcenia. Najczęściej analizuje się to w postaci siły związku między pochodzeniem społecznym a poziomem wykształcenia: czyli w jakim stopniu, np. pozycja zawodowa ojca, czy matki, kształtuje szanse przechodzenia ze szkoły średniej na studia. Większa zależność oznacza większą nierówność szans. W przypadku Polski nie wskazuje na wzrost szans w dostępie do wykształcenia. Zależność między pochodzeniem, mierzonym przez pozycję zawodową rodziców, a przechodzeniem przez kolejne dwa progi selekcji szkolnej – po ukończeniu gimnazjum i szkoły średniej – nie uległa zmniejszeniu. Dotyczy to ostatnich kilkudziesięciu lat. Wprawdzie w latach 90. wpływ pochodzenia na dostęp do wyższych studiów trochę się obniżył, ale w późniejszym okresie ponownie wzrósł, jakby wrócił do „normy”.

Przejsiowy wzrost otwartości szkół wyższych może być w pewnym stopniu rezultatem ekspansji edukacyjnej: w wyniku gwałtownego zwiększenia się liczby placówek edukacyjnych na poziomie ponadśrednim możliwości kształcenia wzrosły. Jest to naturalny czynnik obniżenia się nierówności szans. Niemniej wydaje się – wysunąłbym taką hipotezę – wzrost rozwarstwienia materialnego spowoduje, że za kilkanaście lat nierówności edukacyjne się zwiększą. Oczywiście rolę tradycyjnie rozpatrywanych nierówności – pod względem niejednakowych szans dostępu do szkoły wyższej – przejmą nierówności w zakresie dostępu do określonego rodzaju szkoły wyższej. Ważniejsze stanie się to, czy jest nią Uniwersytet Warszawski, czy (dajmy na to) szkoła wyższa w Siedlcach, Wyszku, Przemysłu.

Co się wobec tego zmieniło? Pierwsza zmiana dotyczy zasad dystrybucji dóbr, czego najlepszym wskaźnikiem są nierówności położenia materialnego i nierówności dochodów. W społeczeństwie polskim wzrosły nierówności dochodów mierzone indeksem Giniego. Jest to najczęściej stosowany miernik koncentracji dochodów, który przyjmuje wartości z przedziału od zera do 1. Zero oznaczałoby zupełną równość dochodów, jeden – maksymalną koncentrację – czyli np. skupienie wszystkich dochodów w ręku jednej osoby. W Polsce współczynnik Giniego wzrósł w latach 1988–2008, z 0,24 do 0,40. W Polsce Ludowej nierówności dochodów były dość duże. Zawsze były one większe niż w Czechosłowacji czy na Węgrzech. Obecnie, ustępujemy w Europie m.in. Anglii, aczkolwiek największe nierówności są w Rosji, na Ukrainie i w innych byłych republikach radzieckich. W Rosji indeks Giniego wynosi około 0,50, są to więc bardzo duże nierówności. U nas nastąpił lekki ich wzrost.

Najważniejsze jednak jest to, jakie mechanizmy stały za wzrostem nierówności dochodów. Ryduje się następująca hipoteza. Mamy system rynkowy, w którym powinno zwiększać się znaczenie wynagradzania ludzi za ich zdolności, osiągnięcia, czyli szeroko rozumiane „zasługi” – jest to tak zwana merytokracja, czyli wynagradzanie za merits. Powszechnie stosowanym wskaźnikiem merytokracji jest siła związku pomiędzy poziomem wykształcenia (zasługami) a dochodami (nagrody). Otóż w Polsce zależność ta ulega systematycznemu zwiększeniu. W 1982 roku – według analiz wykonanych na próbie ogólnokrajowej – osoby z wyższym wykształceniem zarabiały około 12 procent powyżej średniej krajowej, przy wyłączeniu wszystkich innych czynników, które wchodzi w grę, to znaczy niezależnie od płci, miejsca zamieszkania, czy wieku. Był to bardzo mały „zysk” z tytułu posiadania dyplomu. Ta sytuacja była do lat 90. stabilna. Natomiast zaczynając od pierwszych lat transformacji, zależność ta stale wzrasta i w 2008 r. dochody osób z wyższym wykształceniem kształtują się na poziomie 40 procent powyżej średniej krajowej. Dowodzi to wzrostu merytokracji, a więc i tego, że upodabniamy się do społeczeństw rynkowych.

Wzrost rozwarstwienia materialnego pociągnął za sobą wyłonienie się underclass, ludzi ubogich i „wykluczonych” – przede wszystkim z rynku pracy. Według moich analiz kategoria wzrosła szybko na początku lat 90. do poziomu 10% ogółu ludności i utrzymuje się bez większych zmian w czasie. Nie jest to może dużo, ale i nie mało. Natomiast polskiej underclass brakuje pewnego zasadniczego komponentu „podklasy” w krajach zachodnich, jakim jest. dziedziczenia ubóstwa. Nie występuje ono w Polsce – jak dotąd.

Kształtowanie się klasy „średniej”, która powinna być (z definicji) kategorią odnoszącą korzyści ze zmiany ustroju, stanowi przeciwwagę dla kategorii ludzi ubogich i wynikających z ubóstwa możliwych konfliktów i napięć. Wyłaniają się jednak pewne trudności. **Najważniejszą strukturalną barierą rozwoju polskiej klasy średniej jest niska stopa życiowa, chociaż za kilkadziesiąt lat powinniśmy zbliżyć się do poziomu zamożności społeczeństw zachodnich. Jednak poważniejsze bariery tkwią w sferze świadomościowej.** Dla mieszkańców Stanów Zjednoczonych czy Anglii, „klasa średnia” symbolizuje powodzenie życiowe, które przekłada się na wysokie konto w banku, własny dom i stosunkowo wysokie dochody, pozostające w zasięgu wytrwałych, ambitnych, i zdolnych jednostek. Przynależność do klasy średniej zaspokaja tam uniwersalną potrzebę otrzymywania oznak uznania od innych, pozwalając funkcjonować jej członkom w przekonaniu o własnej wyższości. Społeczeństwo rynkowe opiera się na zasadzie współzawodnictwa, ludzie żyją tam pod presją potrzeby sukcesu. Otóż idea rywalizacji o status społeczny obca jest mentalności statystycznego Polaka. W odczuciu ogółu normą jest raczej to, że „nie należy się chwalić”, a uniwersalna potrzeba bycia pozytywnie ocenianym przez innych zaspokajana jest drogą indywidualnych strategii w rodzinie, pracy i wobec znajomych. W przypadku dużej części inteligencji nakłada się to na mentalność „bycia ofiarą” systemu.

Głównymi kandydatami do miana klasy średniej są w Polsce inteligencja i prywatni przedsiębiorcy, biorąc pod uwagę ich pozycję zawodową i status społeczny. Ani inteligencja, ani średni i drobni właściciele nie identyfikują się z „klasą średnią”, zresztą pojęcie to słabo funkcjonuje w

języku potocznym. Nie odwołują się do niego również politycy, co jest interesującym odwrotem od popularności z pierwszych lat transformacji, gdy powszechnym zjawiskiem było posługiwanie się hasłem „klasy średniej” jako miernikiem zaawansowania reform rynkowych. W pierwszej dekadzie XXI wieku pojęcie to znikło z programów partyjnych, co wydaje się być podyktowane pragmatyczną strategią wyjścia naprzeciw zapotrzebowaniu na „solidaryzm społeczny”. Dla opozycji i rządu nie jest wskazane deklarowanie sympatii dla rozwoju „klasy średniej”, która kojarzy się ludziom z reformami L. Balcerowicza, rozwarstwieniem społecznym i liberalną gospodarką rynkową.

W Polsce nie wyłoni się wierna kopia anglosaskiej *middle class*, ponieważ jednak społeczeństwo rynkowe nie może się obejść bez kategorii realizujących jej funkcje, inteligencja będzie musiała wejść w rolę klasy średniej w jakiejś „słabszej” postaci. Stanie się zbiorowością jednostek zajmujących pozycję „klasy średniej” w strukturze społecznej, które nie są przynależności do tej klasy świadome.

Przechodzę do ostatniego wątku. Max Weber – socjolog i ekonomista – wyróżnił trzy wymiary stratyfikacji społecznej: władzę, klasę i prestiż. Postawy obejmowane mianem prestiżu, poważania i estymy społecznej, są uniwersalnym miarą nierówności występującym wszędzie tam, gdzie ludzie oceniają się nawzajem w kategoriach „lepszego”, „równego”, lub „gorszego”. Oceny te znajdują odzwierciedlenie w hierarchii prestiżu zawodów, ponieważ przynależność zawodowa jest najbardziej trafnym i najczęściej stosowanym wskaźnikiem pozycji społecznej.

Za postawami tymi stoją określone wartości, stąd też analizując zmiany hierarchii prestiżu można uzyskać odpowiedź na pytanie, jakie zjawiska społeczeństwo akceptuje i popiera, a czemu się sprzeciwia, a nawet odrzuca. Oznacza to, że hierarchia prestiżu jest jedynym rodzajem nierówności akceptowanym przez ogół. Z przeprowadzonych dotychczas badań wynika, że we wszystkich krajach występuje podobna hierarchia, w której najwyższy prestiż uzyskują profesorowie wyższych uczelni, przedstawiciele najwyższej władzy państwowej, ministrowie, dyrektorzy firm, i reprezentanci wielkiego biznesu. Z drugiej strony, najniżej oceniane są zawody wymagające niskich kwalifikacji, takie jak sprzątaczką, referent w biurze, robotnik drogowy. Można powiedzieć, że społeczeństwa nie różnią się znacząco od siebie pod względem dystrybucji szacunku. Najwyższą estymą otaczane są zawody ważne dla ładu społecznego, wymagające kompetencji, inwestowania w siebie i zdolności, które jest trudno uzyskać. Z drugiej strony, najniżej oceniane są zawody łatwe do zastąpienia, o niskiej złożoności zadań, takie jak robotnik drogowy. Hierarchie te nie zmieniają się w czasie, co wskazuje, że wysokie kwalifikacje, pomyślność materialna i władza są uniwersalnymi kryteriami hierarchizacji społecznej.

Jeżeli chodzi o Polskę, to do lat 90. XX w. hierarchia prestiżu zawodów nie odbiegała zasadniczo od hierarchii występujących w krajach zachodnich. Najbardziej szanowanym zawodem był profesor uniwersytetu, wysoką estymą cieszyła się pozycja ministra i dyrektora fabryki, bardzo wysoki prestiż miał nauczyciel, natomiast najniższe oceny uzyskiwali referent biurowy i niewykwalifikowany robotnik. **Wynika stąd, że społeczeństwo polskie najwyżej oceniało zawody wymagające wyższego wykształcenia, związane z zajmowaniem wysokich stanowisk, postrzegane jako użyteczne, i realizujące ważne funkcje zaspakajające potrzeby ogółu.** Godna podkreślenia jest niezmiennie najwyższa pozycja profesora, co pozostaje charakterystyczną cechą polskiej hierarchii prestiżu; w pierwszej dziesiątce najwyżej ocenianych zawodów sytuowali się również lekarz, nauczyciel w szkole, sędzia, inżynier i inni reprezentanci inteligencji. Szczególną jej cechą było również stosunkowo wysokie uznanie dla pracy fizycznej w osobie górnika, reprezentującego trud, niebezpieczną pracę i użyteczność ekonomiczną, za które „należała” się „sprawiedliwa” nagroda.

Ponieważ przełomowe lata transformacji wprowadziły nowe wyznaczniki statusu i orientacji życiowych, należało również oczekiwać zmian w odniesieniu do prestiżu zawodów. Przejście do kapitalizmu i demokracji powinno zwiększyć prestiż przedstawicieli świata biznesu (objęli strategiczne pozycje) i polityków (nareszcie wybieranych z woli ogółu). Z drugiej strony, za brakiem większych zmian przemawiała wyjątkowa – jak na zjawiska świadomości społecznej – stabilność hierarchii prestiżu. We wszystkich 60 krajach, w których te porównania robiono, współczynniki korelacji między hierarchiami ustalonymi dla różnych punktów czasowych zawierały się w granicach 0,91–0,98. Wynik ten zbliżony do maksymalnej korelacji równej 1, sugeruje, że są one prawie niezmiennie. Zwykło się to interpretować jako świadectwo faktu, że oceny prestiżu są odzwierciedleniem trwałej normy dotyczącej rankingu wyższości.

Jak było naprawdę? Odpowiedzi na to pytanie dostarcza porównanie hierarchii pozycji zawodowych dla 1987 z hierarchiami dla lat 2004–2008 r. We wszystkich badaniach respondentom przed-

stawiano listę zawodów, reprezentujących podstawowe kategorie społeczno-zawodowe, i zadawano standardowe pytanie: „Jakim poważaniem darzy P. nauczyciela, kierowcę, itd.?”. Badane osoby oceniały zawody na pięciopunktowej skali, od: darzę go „bardzo dużym poważaniem” (1), do „bardzo małym poważaniem” (5). Jak dowiodły różne eksperymenty, lepiej jest w Polsce pytać o „poważanie”, niż o „prestż”, i dlatego pytanie o poważanie zadawane było od początku tych badań.

Sumarycznej odpowiedzi dostarcza porównanie średnich ocen prestiżu, sprowadzonych dla przejrzystości do skali od 0 do 100. Wprawdzie zmiana systemu nie spowodowała odwrócenia hierarchii, ale ją na tyle zmieniła, żeby osłabić wiarę w jej inherentną trwałość (do zwolenników błędnego przekonania o zasadniczej niezmienności prestiżu zawodów zaliczyłbym siebie). W latach 90. dokonał się wyraźny spadek prestiżu ministra i dyrektora fabryki. Od 1987 do 2004 r. prestiż ministra zmniejszył się na stu-punktowej skali z 82,5 do 58,6, a dyrektora z 82,8 do 67,5. Drugim reprezentantem klasy rządzącej był poseł do Sejmu (w badaniach z 1987 r. nie pytano o posła), lokujący się w ocenie społecznej najniżej. W badaniach z 2004 r., na szczególowej liście 36 zawodów, poseł znalazł się na przedostatniej, a minister na ostatniej pozycji – przed działaczem partii politycznej. W dolnej połowie hierarchii prestiżu sytuowali się również przedstawiciele władzy lokalnej. Wojewoda znalazł się na 25 pozycji a prezydent miasta na 27. **Można powiedzieć, że w świadomości społecznej dokonana się degradacja klasy rządzącej.**

Pozostałe elementy tego układu pozostały na ogół stabilne. W latach 2004–2008 cisłą czołówkę rankingu estymy społecznej tworzyli profesor uniwersytetu, lekarz, nauczyciel, górnik i pielęgniarka. W pierwszej dziesiątce są jeszcze inżynier i informatyk, a od 2006 r. – awansujący w międzyczasie – dyrektor fabryki. Wynikałoby stąd, że najwyższym szacunkiem w dalszym ciągu obdarzane są kategorie inteligentkie, cenione za wysokie wykształcenie, kwalifikacje i wiedzę. Wyznacznikiem wysokiego „poważania” pozostaje użyteczność, kojarzona z realizacją misji społecznej w zaspokajaniu niewrażliwych potrzeb w zakresie edukacji (nauczyciel) i zdrowia (pielęgniarka). Polacy nie przestają wysoko oceniać górnika, co może oznaczać, że – w świetle potocznej sprawiedliwości – trud i niebezpieczna praca, której towarzyszą wymierne efekty, są wartościami, wymagającymi szczególnej nagrody.

Zacznę od ogólnego komentarza, że **zmiana systemu naruszyła jedno z głównych ogniw hierarchii prestiżu – ocenę pozycji związanych z władzą – w odwrotnym kierunku, niż wynikałoby to z oczekiwań.** Zjawisko to jest odzwierciedleniem paradoksu demokracji. Można bowiem realistycznie założyć, że politycy obdarzani są w każdym systemie tym większą estymą – powiedzmy słabiej – respektem, im większy dystans dzieli zwykłych obywateli od władzy. Wiele wskazuje, że system komunistyczny miał w Polsce słabe poparcie; społeczeństwo udzielało mu pragmatycznej legitymizacji pod przymusem (musiał być, więc trzeba się było z tym zgodzić). Jednak w świadomości zwykłego obywatela minister w PRL uosabiał autorytet władzy, którą należy szanować. Po upadku tego systemu i narodzinach demokracji, dystans między obywatelem i władzą ulega zmniejszeniu. Politycy wyłanianiani są drogą wyborów, co oznacza, że zajmują najwyższe stanowiska tylko czasowo, a po zakończeniu kadencji stają się zwykłymi obywatelami i wracają na stare pozycje. Po drasce, kariera polityczna jest otwarta praktycznie dla wszystkich, co oznacza, że pozycje te stały się łatwiej zastępowalne, a to co jest łatwiej zastąpić ocenianie jest niżej. Po trzeciej, ministrowie, posłowie, wojewodowie i prezydenci miast wystawieni zostali na krytykę medialną, uwydatniającą ich zwykłe słabości. **Można powiedzieć, że demokratyzacja osłabiła mistycyzm władzy odbierając jej prestiż; można to również nazwać utratą „ezoteryczności”,** która – zdaniem Bourdieu – jest czynnikiem wysokiego prestiżu wszystkich zawodów otaczanych nimbem tajemniczości. Warto zauważyć, że zmiana ustroju nie odebrała (nie mogła odebrać) „ezoteryczności” lekarzowi i profesorowi wyższej uczelni.

Niezależnie od efektu demokratyzacji, prestiż ministra i posła obniżyły afery korupcyjne i przekonanie o niskich kompetencjach klasy rządzącej. Usytuowanie polityków na dole hierarchii prestiżu jest precedensem we wszystkich krajach, w których takie badania prowadzono. Raczej nie wynika to z przejściowej utraty zaufania obywateli do władzy, wynikającej z błędów jakiejś określonej ekipy rządzącej, ponieważ proces obniżania się prestiżu ministra w hierarchii prestiżu rozpoczął się już w latach 90. i trwał dalej, dochodząc do dna w 2004 r. za rządów ekipy SLD, po ujawnieniu afery Rywina. Czy sytuacja wróciła do normy pod rządami koalicji kierowanych przez PiS i PO? Porównanie hierarchii prestiżu dla lat 2004–2008 może sugerować pewien ślad tego procesu, czego przejawem jest powolne przesuwanie się w górę prestiżu ministra. Minister awansował z 21 na 19 pozycję, wyprzedzając robotnika budowlanego i sprzątaczkę. Powiedzmy, że jest to zapowiedź postępu, chociaż nie wiadomo, czy jest to zapowiedź trwałej tendencji, czy tylko epizodyczne wahnięcia.

Drugą kategorią dotkniętą brakiem społecznego uznania są reprezentanci biznesu. W 2004 r. właściciel wielkiej firmy sytuował się w drugiej połowie hierarchii, poniżej właściciela małego sklepu i sprzątaczkę, co wskazywało na głębokie pokłady nieufności wobec ogólniejszego problemu, jakim jest gospodarka rynkowa i stosunek do ludzi bogatych. Tym, co podlegało negatywnej ocenie był sam fakt prowadzenia własnej firmy, trudno byłoby bowiem inaczej wyjaśnić to, że właściciel dużego przedsiębiorstwa zasługiwał w opinii społecznej na niższy prestiż, niż drobny sklepikarz. Otóż pozytywnym sygnałem – z punktu widzenia przyszłości polskiego kapitalizmu – jest to, że do 2008 r. nastąpiło odwrócenie prestiżu tych ról i właściciel dużej firmy przesunął się w rankingu estymy społecznej aż o 9 miejsc w górę. Duży biznes to duży kapitał, więcej miejsc pracy i modernizacja gospodarki. **Można wysunąć hipotezę – zakładając, że ludzie są tych zależności świadomi – że Polakom znacznie trudniej wdrożyć się do mechanizmów demokracji (i dlatego negatywnie oceniamy polityków), natomiast chętniej akceptujemy logikę gospodarki rynkowej.** Potwierdzeniem tej hipotezy może być również znaczący awans „dyrektora fabryki”. W latach 2004–2008 było to drugie ważne przesunięcie w górę w hierarchii społecznej dokonywanej przez ogół, wskazujące, że Polacy obdarzają wyższym prestiżem „władzę organizacyjną”, wymagającą kompetencji i odpowiedzialności, związanych z kierowaniem firmami. Po załamaniu z pierwszych lat kształtowania się gospodarki rynkowej dyrektor awansował z 15 pozycji na 5.

Można by na tej podstawie sformułować niebanalny wniosek, że „obiektywna” hierarchia, której wyznacznikami są zamożność i władza, w coraz większym stopniu dostosowuje się do układu „pożądanego” przez większość. Być może nawet nie jest tak źle w przypadku klasy rządzącej. **Możliwa jest alternatywna, bardziej optymistyczna interpretacja, że obniżenie się jej prestiżu nie jest przejawem niedojrzałości polskiej demokracji, ani tego, że politycy nie sprostali zadaniu, ale jest ono rezultatem wygórowanych oczekiwań społecznych.** Polacy bardziej krytykują zagraniczną turystykę zarobkową Lecha Wałęsy, niż społeczeństwo niemieckie pracę w Gazpromie Gerharda Schroedera, chyba Niemniej wątpliwa moralnie. Nawet wśród członków Izby Gmin ujawniane są skandale towarzyskie i przypadki korupcji, może więc wina nie leży wyłącznie po stronie złych ministrów i posłów. Funkcjonując przez kilkadziesiąt lat w ramach niedemokratycznego systemu lokowaliśmy w demokracji więcej nadziei, niż zapewniamy to demokratyczne mechanizmy rekrutacji do elit. Jeżeli nakłada się na to efekt reminiscencji z czasów szlacheckiej demokracji (czego nie można wykluczyć) prawdopodobnie brzmi hipoteza, że pod adresem polityków kierujemy wygórowane ambicje i gdy spotkał nas zawód, ulokowaliśmy ich na dole hierarchii.

Niemniej możliwość, że społeczeństwo polskie, z którego się przecież politycy wywodzą, oczekuje od klasy politycznej zbyt dużo, nie zmienia przekonania, że wskaźnikiem znaczącej poprawy będzie sytuacja, gdy jej członkowie złączą się przesuwając w górne partie drabiny prestiżu zawodów. Z badań nad świadomością społeczną wynika, że w społeczeństwie polskim prestiż nie jest abstrakcyjnym pojęciem, ale rozpoznawanym dobrem, do którego dążą reprezentanci tak różnych kategorii jak inteligencja, robotnicy i chłopi. Ludziom, w tym również politykom, zależy na uzyskaniu oznak prestiżu, prawdopodobnie nie mniej niż na zamożności, lub dostępie do władzy. Czy potrzeba ta kiedyś wymusi pożądane wzory zachowań na ministrach i posłach – tego nie wiemy. Jednak niezależnie od tego, utrzymywanie się w świadomości społecznej stabilnej hierarchii prestiżu daje pewne nadzieje, ponieważ można się w niej dopatrywać jakiejś gwarancji normalności, jak we wszystkich oznakach uporządkowania i ładu.

Podsumujmy. Kształtowanie się społeczeństwa kapitalistycznego przyniosło wzrost nierówności materialnych i podziałów klasowych związanych ze stosunkiem do własności i pozycją rynkową. Jest to jeden z kosztownych, ale niekoniecznie negatywnych aspektów demokracji rynkowej. Nie odbiega to bowiem od sytuacji innych społeczeństw w Europie, a pod względem ostrości barier społecznych, nierówności w dostępie do wykształcenia i szans awansu zawodowego Polska nie jest wyjątkiem. Dotychczasowa historia systemów społecznych wskazuje, że nierówności są koniecznym warunkiem postępu. Byłoby źle, gdyby ich konsekwencją był wzrost radykalizmu, populizmu i konfliktów, wydaje się jednak, że w przypadku Polski tak nie jest. Robotnicy nie dlatego strajkują, że nie lubią inteligentów, ale dlatego, że boją się utraty pracy i chcą więcej zarabiać. **Hierarchie społeczne są raczej źródłem stabilności niż kontestacji stosunków społecznych.**

Prof. Henryk DOMAŃSKI, jest socjologiem, wybitnym badaczem i znawcą problemów struktury społecznej, stratyfikacji i ruchliwości społecznej, autorem wielu cenionych publikacji; jest dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

Leszek K. GILEJKO

1. Strukturalne podstawy nierówności. Socjologowie zajmując się strukturą społeczną, procesami ją tworzącymi i wynikającymi stąd skutkami wskazują, że jest ona przede wszystkim pewnym stanem nierówności społecznych. **Najogólniej można określać strukturę społeczną jako stan nierówności społecznych. Stąd wynika fakt, że zróżnicowanie społeczeństwa przyjmuje postać hierarchicznej drabiny, której poszczególne „szczeble” zajmują duże grupy społeczne. W ujęciu ogólnym określa się to pojęciem stratyfikacji społecznej, a wówczas gdy przyjmiemy dwa sposoby analizy dystrybucyjny i relacyjny podziałem społecznym.**

Podział społeczeństwa wyrażający się w jego strukturze jest także podstawą rodzenia się charakterystycznych dla danej struktury procesów, wśród których najważniejszym jest **polaryzacja społeczeństwa**. Polaryzacja może przyjmować postać dychotomiczną, biegunową, w ujęciu bardziej obrazowym nazywaną też pękniętą strukturą społeczną. Może też przyjmować postać gradacyjną, dla której najważniejsze jest zwiększanie się liczebności grup średnich, ograniczających obszary „niedostatku”, tendencje dychotomizacji. Procesy kreujące strukturę społeczną w ujęciu normatywnym określa się modelami struktury społecznej. **Wyróżnia się zwykle trzy modele struktury społecznej: model biegunowy (dychotomiczny), model gradacyjny i model funkcjonalny. Większość autorów zajmujących się strukturą społeczną wskazuje, że we współczesnych społeczeństwach występują, a właściwie współwystępują dwa modele, a mianowicie model biegunowy i model gradacyjny.** Przewaga jednego lub drugiego modelu jest niejednakowa w poszczególnych krajach. Zależy to od przyjętego w nich ładu społeczno-ekonomicznego, czy jak się to inaczej określa modelu kapitalizmu.

Stąd też wynikają niejednakowe poziomy zróżnicowania społecznego. **W różnych krajach, ale wszędzie współwystępują dwa modele: biegunowy i gradacyjny, a w skali globalnej mimo ogólnej dużej dynamiki rozwoju pogłębia się podział na świat bogaty i dotknięty głęboką sferą ubóstwa, centra i peryferie.** Zróżnicowanie to w poszczególnych krajach i w skali globalnej posiada cechy strukturalne. Jego podstawą są podziały, relacje klasowe. Nawet w ujęciu dystrybucyjnym, w którym za podstawę zróżnicowania, przyjmuje się posiadane przez dane grupy zasoby materialne i niematerialne oraz dostęp do nich nazywa się je klasami społecznymi z jednoczesnym podkreśleniem, że mimo znacznie większej niż w przeszłości ruchliwości społecznej, otwierania się struktur społecznych, przede wszystkim rozwoju nowych klas średnich (profesjonalistów), dziedziczenie cech położenia społecznego jest nadal faktem. A jest to przecież najważniejszy dowód trwałości podstawowych cech zróżnicowania społecznego. Potwierdzają to również dane i analizy odnoszące się do społeczeństwa polskiego. Przy tym struktura ta, będąca wyrazem i podstawą społecznego zróżnicowania charakteryzuje się, w porównaniu z innymi społeczeństwami, wyraźną polaryzacją. W ocenach bardziej radykalnych pisze się nawet o jej wyraźnej biegunowej tendencji, mimo tego w procesie transformacji ustrojowej uczestniczą różne, a przy tym liczne grupy społeczne. **Następuje ich awans i stąd wynikają dwie oceny kształtu struktury społeczeństwa polskiego. Jedna formułująca ogólną definicję o rozproszonej strukturze i druga o pękniętej strukturze, której podstawą jest podział na klasy społeczne.** Wyjaśniając tę tezę, autorzy szkicu pt. *Pęknięta struktura społeczeństwa polskiego* stwierdzają, „Narastająca różnica między zwyczajcami transformacji – do których należy zaliczyć przede wszystkim przedsiębiorców, menedżerów i ekspertów a tymi, którzy relatywnie przegrali, jest podstawowym pęknięciem w strukturze społecznej nie tylko z powodu bezwzględnej wielkości, ale także dysfunkcjonalności. Ta dysfunkcjonalność objawia się wycofaniem społecznym znacznych segmentów struktury społecznej” (K.M.Słomczyński i K.Janicka 2008:69).

Z kolei A. Rychard, jeden ze współautorów interesującej książki pt. *Polska jedna czy wiele?* stwierdza, że Polska ...” nie rozpada się na dwie czy trzy części, ale też nie stanowi jednolitej całości. Jest sfragmentaryzowana. Nieprzełamana, lecz popękana” (A.Rychard 2005:140).

2. Poziom i specyficzne cechy nierówności społecznych w Polsce. Teza, że cechą zróżnicowania społecznego w Polsce jest jego wysoki poziom, którego podstawą są ostre nierówności znajduje potwierdzenie w porównywalnych danych. Poziom nierówności dochodów mierzony za pomocą współczynnika Giniego wynosił na początku obecnej dekady 30,5, a dla po-

równania w Czechach 27,0, na Węgrzech 24,4 (*Praca polska* 2010). Różnice te są jeszcze większe w porównaniu z innymi krajami europejskimi i co ważniejsze nie zmniejszają się a ulegają zwiększeniu. Poziom ten jest znacznie wyższy od średniego dla całej Unii Europejskiej, a w szerszej skali od krajów należących do OECD.

Polska obok Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Korei Południowej, Turcji i Meksyku należy do krajów o najwyższym poziomie zróżnicowania. Według danych pochodzących już z ostatnich lat wskaźnik zróżnicowania wynosił dla Polski 5,83, podczas gdy w takich krajach jak Niemcy wynosił 3,96, w Czechach 3,10, w Słowacji 3,26, na Węgrzech 3,27, we Włoszech 4,2, a w Danii i Szwecji 2,72. Jeszcze bardziej wyraziście zróżnicowanie to ilustrują dane dotyczące różnic płacowych. W Polsce 10% zarabiających najwięcej miało płace wyższe o 794% w stosunku do najniższej zarabiających.

Stąd też wynikają oceny, że w Polsce „realizowany jest” najbardziej elitarny model kapitalizmu, charakteryzujący się ostrym zróżnicowaniem i rozległą sferą ubóstwa. Zdaniem Tadeusza Kowalika autora książki *Polska transformacja* Polska w porównaniu z innymi krajami europejskimi, także znajdującymi się w procesie zmian systemowych, charakteryzuje się największym poziomem nierówności, „realizuje najbardziej elitarny model podziału dochodów”. Prowadzi to do ogólniejszej konkluzji, w której stwierdza się, że „polski kapitalizm charakteryzuje się masowym bezrobociem, dużą warstwą ludzi żyjących w ubóstwie, wysokimi i ciągle rosnącymi rozpiętościami płacowymi i dochodowymi” (T. Kowalik 2009:215).

Specyficzną cechą zróżnicowania i nierówności społecznych w Polsce jest właśnie rozległa sfera ubóstwa, nazywana przez szereg autorów „polska bieda”. Z aktualnych danych wynika niestety, że 20% Polaków żyje poniżej granicy ubóstwa, a ponad 50% nie przekracza granicy minimum socjalnego. Ponad 65% Polaków zarabia poniżej przeciętnego wynagrodzenia, a 70% trzy razy mniej niż wynosi średnia w Unii Europejskiej. Niskie zarobki dotyczą przede wszystkim kobiet, które zarabiają średnio ponad 20% mniej niż mężczyźni, co dodatkowo zaostrza fakt, że w większości pracują one w zawodach niskopłatnych i są silnie zagrożone bezrobociem. Kobiety też znacznie częściej znajdują się w grupie długotrwale bezrobotnych. Występujące w całym świecie, a zwłaszcza w krajach mniej rozwiniętych, zjawisko feminizacji ubóstwa obejmuje również Polskę. Cytowany wyżej Tadeusz Kowalik powołując się na urzędowe statystyki, stwierdza m.in. „Większość społeczeństwa znalazła się poniżej minimum socjalnego (wg GUS w 2003 roku 58% osób żyło poniżej tego minimum)” i dodaje, że „w latach 1996–2005 niemal potroiła się liczba osób żyjących poniżej minimum egzystencji, przy wzroście PKB o ponad jedną trzecią” (T. Kowalik 2009:214).

Szczególną cechą ubóstwa w Polsce jest jego rodzinny wymiar. W Polsce niestety występuje najwyższy w skali europejskiej wskaźnik liczby dzieci zagrożonych ubóstwem. Ponad 22% dzieci jest zagrożonych ubóstwem, a dla rodzin wielodzietnych jest on jeszcze wyższy. Dla rodzin, w których jest czworo dzieci wynosi on 37,8%. Z drugiej strony koszty ponoszone przez rodzinę na kształcenie dzieci stale wzrastają, co dla rodzin wielodzietnych stanowi dodatkowe obciążenie. Według informacji prasowych już w roku 2005 na przygotowanie dziecka do szkoły przeciętna rodzina musiała wydać 755 zł, a na jedno dziecko 483 złote, podczas gdy pięć lat wcześniej wydatek ten wynosił 270 zł (M. Kala, G.W. 2005).

Wzrastające obciążenie rodzin kosztami żywienia, ubrania, wychowania i wykształcenia dzieci prowadzi do głębokiego zróżnicowania szans dostępu do odpowiednich poziomów wykształcenia, tym samym ograniczania już na starcie, blokowania szans życiowych, dostępu do lepszej pracy i kariery zawodowej. Rozległa i trwała sfera ubóstwa prowadzi do powiększania się marginalizacji i wykluczenia społecznego. Postępujące zróżnicowanie nadaje nierównościom nie tylko ostre wymiary, ale powoduje ich utrwalanie, przekraczanie granic minimum socjalnego, zagraża minimalnym warunkom egzystencji licznych zbiorowości polskich rodzin. Przy tym nie wynika to z występującego niewątpliwie zróżnicowania zdolności i determinacji na przykład w poszukiwaniu pracy czy zwiększania poziomu wykształcenia, ale z obiektywnych, strukturalnych uwarunkowań, niekontrolowanych mechanizmów rynkowych i pogłębiającego się niestety zróżnicowania przestrzennego Polski. Zróżnicowanie to dotyczy nie tylko porównań między regionami, ale także wewnątrz regionów. Odnosi się to również do regionów najbardziej rozwiniętych jak chociażby województwa mazowieckiego. Przykładem tego jest chociażby Radom i subregion radomski, czy istniejące enklawy ubóstwa niedaleko od Warszawy. Zróżnicowanie to nie jest oczywiście wyłącznie produktem czy społecznym kosztem transformacji, ale w jej trakcie nastąpiło niestety jego silne zaostrzenie, objęło też te regiony, które w okresie II Rzeczypospolitej i w czasach PRL spełniały funkcję lokomotyw rozwojowych (przykładem jest dawny Centralny Okręg Przemysłowy – COP obejmujący min. Radom i okolice).

Utrzymują się nadal w Polsce getta niskiego poziomu wykształcenia, co rzutuje nieuchronnie na szanse zatrudnienia, wysokość zarobków w czasie poszukiwania pracy przez młodzież, która nie ma możliwości uzyskania wyższego poziomu wykształcenia. W tym zakresie występuje również nadal silne zróżnicowanie między miastem i wsią.

„Według informacji Ministerstwa Rozwoju Regionalnego, w 2006 r. w miastach wykształcenie wyższe miało 19, 3% mieszkańców, podczas gdy w regionach wiejskich tylko 6,7%”. W świetle porównań międzynarodowych odsetek osób z wyższym wykształceniem na wsi jest w Polsce 3–5 razy niższy niż średnio w UE” (M.K. Kozak 2010:63).

Ubóstwo, niskie dochody dużej liczby rodzin z jednej strony, a z drugiej wzrastające ceny usług medycznych są powodem ograniczonego do nich dostępu. Co gorsza ograniczenie to nie maleje a wzrasta. Dotyczy to wszystkich usług medycznych, a w szczególności dostępu do specjalistów.

„Najbardziej upośledzeni w dostępie do świadczeń specjalistów byli rolnicy, osoby bezrobotne i mieszkańcy małych miasteczek” (J. Halik 2002:296). Również w tym przypadku dawało o sobie znać zróżnicowanie przestrzenne: „Trudności w dostępie do specjalisty najczęściej mieli mieszkańcy regionu południowo-zachodniego, a więc Śląska (55%), podobnie mieszkańcy regionu zachodniego (50%). Po 42% respondentów potwierdzało trudność z otrzymaniem skierowania w regionie północnym i południowo-wschodnim, a tylko 37% w regionie środkowym (Mazowsze)” (tamże 307).

W konkluzjach końcowych wynikających z badań cytowany autor stwierdzał: „Najbardziej niebezpiecznym sygnałem, który wynika z badań, jest przepływ pacjentów z sektora publicznego do prywatnego. Towarzyszy temu wyraźna selekcja społeczna (do prywatnych lekarzy przenoszą się osoby zamożniejsze i najwyżej wykształcone). Można zatem spodziewać się, iż w niedalekiej przyszłości dojdzie do ostrej społecznej polaryzacji w zakresie korzystania ze świadczeń zdrowotnych” (J. Halik 2002:312).

Przewidywania te niestety się sprawdziły. Towarzyszy temu najniższy w porównaniu z innymi krajami poziom wydatków na zdrowie w Polsce.

Problem ochrony zdrowia i dostępności usług medycznych jest przy tym dodatkowo ważny ze względu na starzenie się społeczeństwa i także przestrzenne utrudniony dostęp do usług specjalistycznych.

Na liście polskich problemów społecznych, nierozwiązanych w okresie transformacji a wręcz przeciwnie zaostrzonych należy **kwestia mieszkaniowa**. Nadal utrzymuje się deficyt mieszkań. Ceny nowych, w tym także wynajem mieszkań są bardzo wysokie, a tzw. budownictwo socjalne ma jak na razie wymiar symboliczny. Od dawna mówi się nawet o kryzysie mieszkaniowym.

Jego występowanie, do tego w ostrej już wówczas formie, odnotowano na przełomie lat 70. i 80. mimo rozwoju budownictwa mieszkaniowego w dekadzie lat 70. (wielka płyta, fabryki domów itp.).

W latach następnych uległ on zaostrzeniu, a w czasie transformacji „kwestia mieszkaniowa” w Polsce stała się jednym z podstawowych problemów społecznych. Specjaliści podkreślają, że „w Polsce pokaźny deficyt mieszkań w porównaniu z liczbą gospodarstw domowych, stanowiący w roku 1988 1,3 mln (w miastach 0,8 mln, na wsi 0,4 mln), określony jest przez wskaźnik samodzielności zamieszkiwania, wynoszący 111,7. Zatem prawie 24% gospodarstw domowych... mieszka niesamodzielnie – relatywnie niewiele mniej niż w latach 60” (M. Cesarski 2007:113).

Według cytowanego autora nasycenie w mieszkania wynosi w Polsce 283 na 1000 osób ludności, podczas gdy w państwach zachodnioeuropejskich od 400 do 480. Obraz ten uzupełniają dane mówiące o tym, że około 8% mieszkań powinno ulec wyburzeniu, gdyż nie nadają się do dalszego użytkowania, a 30% powinno być poddane remontom kapitalnym (3,5 mln mieszkań).

Jeśli dostęp do usług medycznych dotyczy starszych pokoleń Polaków, to kryzys mieszkaniowy blokuje realizację jednej z podstawowych potrzeb młodych pokoleń – posiadanie własnego mieszkania. **Spółeczna kwestia mieszkaniowa współwystępuje z szybkim rozwojem ekskluzywnych jak na polskie warunki osiedli chronionych przez straż: apartamentowców itp. To również jest wyrazem silnego zróżnicowania.**

Specjaliści zajmujący się badaniem ubóstwa czy biedy wskazują na różne formy jej występowania, określenia zasięgu, ostrości i sposobów mierzenia. Spośród różnych wymienia się najczęściej następujące, przedstawiane w formie pytań: wąska czy szeroka?, dochód czy warunki życia?, dochody czy możliwości?, jako podstawa określenia biedy bieda „absolutna” czy „relatywna”? Ważna jest też definicja potrzeb i możliwości ich zaspakajania.

Na podstawie badań opinii publicznej podkreśla się, że „ci, którzy mają dość środków na jedzenie i życie, ale za mało, aby kupić inne rzeczy, których potrzebują także, żyją w biedzie” (R. Lister 2007: 49). Jeśli zgodzić się ze stanowiskiem, że w szerszej perspektywie socjologicznej pojęcie

biedy obejmuje takie kwestie jak „dobrostan”, „możliwości”, „rozkwit człowieka”, „jakość życia” i „obecność społeczną” to problem niedostatku, rozmiarów ubóstwa nabiera jeszcze większego znaczenia. A trzeba pamiętać, że odnosi się do społeczeństwa, które należy do szerokiej grupy społeczności europejskiej, charakteryzującej się m.in. stosunkowo wysokimi standardami społecznymi.

3. Klasowy wymiar nierówności. Autorzy zajmujący się strukturą społeczną i nierównościami podkreślają, że „Z socjologicznego punktu widzenia kluczem do analizy struktury społecznej była i jest struktura klasowa jako podstawa nierówności społecznych” (K.M. Słomczyński i K. Janicka 2008:162). **W Polsce również nierówności mają klasowy wymiar.** Można mówić, że w obszarze objętym ubóstwem występuje wyraźna przewaga najliczniejszych klas społecznych, a większość ich członków, co najwyżej „osiąga” poziom minimum socjalnego. **Ponieważ jest to również związane z procesem transformacji można mówić o wygranych, beneficjentach procesu zmian i przegranych lub znajdujących się w stanie chwiejnej równowagi.**

Poszczególni autorzy podają różne szacunki liczby beneficjentów i przegranych lub odmiennie zakreslają rozmiary „środka”, ale nawet najwięksi optymiści nie przekraczają 15% w swych ocenach wielkości zbiorowości wygranych transformacji. Przegrani natomiast to zakłęty krąg ubóstwa, którego rozmiary jak dotychczas szacowane są, co najmniej na 50% społeczeństwa – wraz z usytuowaną na najniższym „piętrze”, wcale niemałą, grupę o dochodach poniżej minimum egzystencji. **Wśród przegranych wymienia się najczęściej dwie duże zbiorowości – klasy społeczne – robotników i większość rolników, właścicieli małych rodzinnych gospodarstw rolnych.**

Robotników nazywa się nawet największym przegranym – ze względu na niewspółmierność ich obecnego położenia do roli, jaką odegrali w rewolucji demokratycznej, w politycznej fazie transformacji.

Robotnicza przegrana ma dwa aspekty. Pierwszy to najdotkliwsze bezrobocie tej właśnie grupy, i to bezrobocie długotrwałe, a drugi to znaczne pogorszenie się warunków i stosunków pracy.

Oddziaływanie obu tych czynników sytuuje robotników w kręgu ubóstwa, nawet ci, którzy pracują, najczęściej mieszczą się w sektorze niskich płac. Badania wykazują, że „wśród przyczyn ubóstwa wymienia się przede wszystkim: niski dochód z pracy (60%), bezrobocie (35%), podeszły wiek (5%)” (M. Sulmicka 2001:147).

W toku transformacji gospodarczej bardzo szybko okazało się, że będąca jej istotą prywatyzacja nie polepszyła sytuacji społecznej robotników. Wielki transfer siły roboczej z sektora publicznego do sektora prywatnego, który teraz zatrudnia większość pracowników najemnych, nie był drogą awansu, lecz w większości przypadków przyniósł gorszą ofertę pracy.

Stwierdzono, że „[...] w 1998 roku w przedsiębiorstwach prywatnych, będących zresztą w przeważającej części sprywatyzowanymi przedsiębiorstwami państwowymi, [...] pracowało już dwie trzecie zatrudnionych w gospodarce, płace były średnio o 7% niższe niż w przedsiębiorstwach państwowych, a czas pracy o 2, 5 godziny tygodniowo dłuższy” (tamże). W sektorze prywatnym, zwłaszcza w małych i średnich przedsiębiorstwach, które stanowią dwa jego główne segmenty, nie są przestrzegane przepisy prawa pracy, nie ma związków zawodowych.

Według opinii być może nieco wystrzonych, ale znajdujących potwierdzenie w rzeczywistości: „[...] w nowo powstałych firmach prywatnych nagminnie nie przestrzega się higieny i bezpieczeństwa pracy, prawnie nakazanej pisemnej umowy o pracę, nie dotrzymuje się jej warunków. W regionach dużego bezrobocia lub (i) imigracji ze Wschodu i Południa płaca jest często niższa od prawem ustalonej płacy minimalnej” (T. Kowalik 1999:31).

Na sytuację robotników wpływa także zróżnicowanie polskiej przestrzeni społeczno-ekonomicznej. Wynika to z silnej koncentracji klasy robotniczej w „starych regionach przemysłowych”, które obok prywatyzacji gospodarki obejmował proces restrukturyzacji. Początkowo restrukturyzacja przejawiała się głównie w redukcji mocy produkcyjnych, rozmiarów produkcji czy skracaniu linii kolejowych, jak w przypadku PKP. Drugim skutkiem restrukturyzacji jest redukcja zatrudnienia, która dotknęła przede wszystkim robotników.

Pod koniec lat 90. na liście obszarów o wysokiej stopie bezrobocia, mierzonej za pomocą wskaźnika tzw. drugiej stopy bezrobocia, czyli stosunku liczby bezrobotnych do liczby pracujących zawodowo poza rolnictwem, znajdowało się tylko województwo dolnośląskie (19,8%), a blisko średniej, która wynosiła 18,2%, województwo opolskie (17,9%), województwo śląskie wówczas należało jeszcze do uprzywilejowanych (10,7%). Na początku obecnej dekady, po roku 2000, sytuacja uległa pogorszeniu. „Według danych Wojewódzkiego Urzędu Pracy bez pracy pozostawało wówczas w województwie śląskim prawie 300 tysięcy osób, z czego blisko 90% bez prawa do zasiłku. W najgorszej sytuacji – stwierdzała cytowana autorka – są dawne osiedla przyzakładowe, zarówno

te starsze, z lat przedwojennych, jak i blokowiska zasiedlane po wojnie przez fale migrantów rekrutowanych do pracy w kopalniach czy hutach. Upadek zakładu, wokół którego toczyło się życie kilku pokoleń mieszkańców, jest rzeczywistym dramatem, często bowiem oznacza nie tylko utratę pracy, ale załamanie się całego dotychczasowego systemu wsparcia socjalnego organizowanego przez zakład” (K. Wódcz 2003:159). Podobne, a nawet bardziej dramatyczne opisy dotyczą innych regionów, zwłaszcza tych, w których stopa bezrobocia i poziom ubóstwa były wysokie od początku transformacji. W restrukturyzowanych tradycyjnych przemysłach, bądź stosunkowo nowoczesnych, ale redukowanych gwałtownie, na przykład w przemyśle zbrojeniowym, przeważały robotnicze stanowiska pracy. Według danych z 2000 r., w górnictwie węgla kamiennego i brunatnego na stanowiskach robotniczych zatrudnionych było 156,8 tys. osób, a na stanowiskach nierobotniczych 33,4 tys. W produkcji metali 76,1 tys. osób pracowało na stanowiskach robotniczych, a 21,2 na stanowiskach nierobotniczych. Problem bezrobocia dotyczył więc przede wszystkim robotników.

Na pogorszenie sytuacji materialnej, a często wyraźną degradację społeczną robotników nakłada się poczucie braku reprezentacji ich interesów, wzrastające osamotnienie. Wszystkie badania prowadzone w środowisku robotniczym wykazywały i wykazują jednoznacznie, że liczba przekonanych o tym, że nikt dobrze nie reprezentuje ich interesów, zwłaszcza w skali ogólnokrajowej, zawsze była wysoka (ponad 60% badanych). Ocena taka dotyczyła również tych branż, w których większość pracowników należała jeszcze do związków zawodowych (górnictwo, hutnictwo, energetyka, PKP).

Na związki zawodowe, jako organizację reprezentującą interesy robotników wskazywano jeszcze dość często, ale zawsze była to mniejszość badanych. Poczucie braku reprezentacji interesów dotyczy tym bardziej robotników pracujących w przedsiębiorstwach zlokalizowanych w przestrzeni lokalnej.

Drugą grupą, pozostającą nadal mimo silnych wewnętrznych zmian, klasą społeczną są chłopi, rolnicy posiadacze małych, rodzinnych bądź, co najwyżej średniej wielkości gospodarstw rolnych. Liczba pracujących w rolnictwie ulegała w latach transformacji znacznemu ograniczeniu, ale i tak Polska charakteryzuje się wysokim poziomem zatrudnienia w tym dziale gospodarki.

Jak podkreśla większość autorów społeczność wiejska, klasa chłopska uległa wyraźnemu podziałowi na klasę farmerów, właścicieli dużych gospodarstw znacznie przekraczających 100 ha oraz większość, która stanowi tradycyjną klasę chłopską, nazywaną czasami „ostatnimi chłopami” w Europie. W rolnictwie przeważają nadal, mimo zmniejszania się ich liczby małe gospodarstwa nieprzekraczające 5 ha. Jeszcze do niedawna stanowiły one 75% gospodarstw rolnych w Polsce. **Pierwszą grupę, polskich farmerów można nazwać beneficjentami transformacji, druga stanowi formację przegranych.** Ta druga, „większościowa” grupa, dzieli się na tych którzy mają szansę przetrwania na rynku, a nawet odnoszenia sukcesów i na tych, którzy nie tylko znaleźli się w sferze ubóstwa i degradacji, ale podlegają coraz bardziej procesom marginalizacji.

Na początku dekady szacowano też, że liczba bezrobotnych wynosi na wsi 900 000 osób, a nawet ponad 1 500 000. Część z nich poszukuje i będzie poszukiwała pracy, zwłaszcza na lokalnych rynkach pracy, na których szukają też pracy bezrobotni z miast i miasteczek, których rynki zaliczane są do trudnych. Tworzy to sprzęgnięty wewnętrznie, a jednocześnie konfliktowy układ, swego rodzaju zamknięty krąg ubóstwa i marginalizacji, którego przestrzenią są małe miasta i wieś.

Jednych i drugich jest w Polsce nie mało. Unijne dotacje dla rolnictwa polepszyły sytuację klasy chłopskiej, ale nie wyrwało to jej większości z obszarów niedostatku, utrzymując tę niemałą przeciż zbiorową w sytuacji przegranych. Specjaliści podkreślają, że właśnie przede wszystkim wieś dotknięta jest chorobą „dwóch szybkości” umacniając ogólnopolskie stany nierówności i zróżnicowania.

Fakt, że grupę przegranych tworzą robotnicy i większość klasy chłopskiej, a z drugiej strony wyodrębnia się coraz bardziej klasa przedsiębiorców wraz z jej szczytowymi strukturami, polską klasą biznesu i jej elitą nadaje nierównościom klasowe cechy.

Stałe, wzrastające wahania na rynku pracy, postępująca jego deregulacja, utrzymująca się szeroko szara strefa, a wreszcie praca na czarno powodują że na przełomie lat 90. i obecnego stulecia ukształtował się nowy syndrom polskiego ubóstwa. Na początku minionej dekady na syndrom ten składało się bezrobocie, niski poziom wykształcenia i kwalifikacji zawodowych, liczna osób w rodzinie i mieszkanie w małych miastach lub na wsi. **Pod koniec minionej dekady zaczął się kształtować nowy syndrom ubóstwa, którego jednym z najważniejszych „czynników sprawczych” stały się niskie płace, nazywane bieda-płacami.**

Według danych statystycznych jeśli chodzi o płacę minimalną to dotyczyła ona tylko 11% zatrudnionych, ale jej poziom był dużo niższy niż w krajach UE w tym także w krajach transformacji

(np. Czechy). Natomiast liczba zarabiających znacznie poniżej średniej krajowej była i jest znacznie większa. W roku 2008 65,4% Polaków zarabiała poniżej przeciętnego wynagrodzenia brutto w gospodarce narodowej przy czym dotyczyło to 60,3% mężczyzn i 70,6% kobiet. Obraz ten uzupełniają dane mówiące o tym, że Polska stała się „liderem” w zakresie stosowania jednej z tzw. atypowych form zatrudnienia – umowy na czas określony. W Polsce dotyczyło to 27% zatrudnionych, podczas gdy dla całej Unii Europejskiej wskaźnik ten wynosił 13%, a na przykład w Czechach 8,7%. Do tego dochodzi problem wzrastającego bezrobocia, trudności w znalezieniu pracy przez młodych posiadających znacznie wyższy poziom wykształcenia niż starsi.

Alarmistyczna diagnoza o „straconym pokoleniu” stała się coraz bardziej popularna. **Zaostrza to problemy zróżnicowania, tworząc nowe obszary zagrożenia marginalizacją i wykluczeniem społecznym.** Młodzi uzyskujący pracę otrzymują z kolei niskie zarobki, ofertę pracy na czas określony lub zatrudnienie poprzez agencję pracy tymczasowej. Prowadzi to do gwałtownego wzrostu rynku peryferyjnego, którego cechą jest nie tylko niski poziom regulacji, ale niewielkie zabezpieczenie społeczne lub jego brak.

Przytoczone wyżej dane, opinie i wnioski potwierdzają, że występujący od zawsze dylemat optymalnych relacji między efektywnością ekonomiczną a sprawiedliwością społeczną nie tylko nie przestał być aktualny, ale nabrał nowych wymiarów, a nawet w niektórych krajach nastąpiło jego zaostrzenie. Dla społeczeństwa polskiego wyzwaniem to – ostre zróżnicowanie społeczne jest ważne z dwóch powodów. Po pierwsze z tego względu, że celem demokratycznej rewolucji z przełomu lat 70. i 80. oraz transformacji systemowej miało być tworzenie gospodarki opartej na zasadach społecznej gospodarki rynkowej i działanie na rzecz sprawiedliwości społecznej. Był to przecież jeden z motywów działania głównych aktorów rewolucji demokratycznej robotników i profesjonalistów.

Stan zróżnicowania społecznego spotyka się z krytyką większości społeczeństwa, a także staje się czynnikiem dysfunkcyjnym. Ważna niewątpliwie dla Polski potrzeba modernizacji jest niemożliwa do „zaspokojenia” bez zahamowania procesów marginalizacji, dużego zróżnicowania społecznego. Nawet z ekonomicznego punktu widzenia marginalizacja oznacza marnotrawstwo kapitału ludzkiego.

Prof. Leszek K. GILEJKO jest socjologiem, cenionym znawcą problematyki pracy i społecznych nierówności; pionierem badań nad położeniem robotników w Polsce powojennej oraz ich związkową reprezentacją; jest dziekanem Wydziału Socjologii w Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztor w Pułtusk, wieloletnim wykładowcą w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

Tadeusz KOWALIK

Związek stosunków własnościowych z problematyką sprawiedliwości społecznej należy chyba do najbardziej oczywistych. Dziwi natomiast, że kwestionuje się niekiedy samą możliwość naukowego badania tej problematyki. Uważa się, że jest ona skazana wyłącznie na opinie wartościujące. Zaskakuje mnie stanowisko Leszka Kołakowskiego (2000: 215), który broni wprawdzie pożytków płynących z pojęcia sprawiedliwości społecznej jako przeciwwagi dla społecznego darwinizmu (zasadniczo odróżnia go to od Balcerowicza); uważa jednak, że jest równie mgliste jak pojęcie godności ludzkiej, a „zdefiniować go w kategoriach ekonomicznych nie ma sposobu”. Wywiera wprawdzie ekonomiczne skutki, „jednak rodzaju tych skutków niepodobna zeń wydedukować z przybliżoną dokładnością”.

Nie ma tu miejsca na szersze podjęcie tego tematu. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że coraz liczniejsza grupa ekonomistów, zaprezentowana choćby w dwóch tomach *Sprawiedliwości ekonomicznej* (Brossio i Hochman, 1998), traktuje ekonomiczny wymiar sprawiedliwości jako istotną część sprawiedliwości społecznej, jak i sprawiedliwości w ogóle. Ekonomia więc powinna ją włączyć w obszar swych zainteresowań w przekonaniu, że można i należy się nią zajmować w sposób naukowy. Co więcej, spora część autorów uważa, że zjawisko to można mierzyć, choć trudno kwestionować twierdzenie, że jest ono ciągle jeszcze słabo określone, a przede wszystkim różnie pojmowane. Ale właśnie na gruncie ekonomicznym pojęcie to daje się ująć najściślej, choć należy do kilku innych nauk społecznych. Przecież wolność jest też pojęciem normatywnym i co

najmniej równie mglistym jak sprawiedliwość społeczna. A jednak wielu badaczy zdołało ustalić dość szeroko akceptowane kryteria miary. Ustala się więc liczne rankingi, jak dotąd zresztą ograniczając się głównie do wolności gospodarczej.

Twórca współczesnej teorii sprawiedliwości, John Rawls, nie miał wątpliwości co do tego, że sprawiedliwość w ogóle, dystrybucyjna w szczególności, może i powinna być przedmiotem teoretycznych dociekań. W ujęciu tego filozofa polityki wśród kilku najważniejszych wartości jest własność (nazywana najczęściej bogactwem) jako jedna z wartości społecznych, które powinny być rozdzielone równo. Przypomnijmy to, co nazywa on koncepcją ogólną: „Wszelkie pierwotne dobra społeczne – wolność i szanse, dochód i bogactwo, a także to, co stanowi podstawy poczucia własnej wartości – mają być rozdzielone równo, chyba że nierówna dystrybucja któregokolwiek z tych dóbr bądź wszystkich jest z korzyścią dla najmniej uprzywilejowanych” (Rawls, 1994: 416). W jego ujęciu, „dystrybucja” jest pojęciem niezwykle pojemnym, i obejmuje praktycznie wszystkie „wartości społeczne”, które mają wpływ na wolność i równość, obie współtworzące społeczną sprawiedliwość. Własność jest tu traktowana jako jeden z czynników określających równość. Jest zarazem czynnikiem systemotwórczym (ustrojotwórczym).

Paradoksalnie, w najostrzejszy i najklarowniejszy sposób wyartykułowali to zagadnienie nie socjaldemokraci czy marksiści, lecz czołowi teoretycy nowoczesnej myśli liberalnej. Rawls nie był odosobniony. Oto politolog i prawnik, myśliciel nurtu liberalnego Bruce Ackerman, postulat „przyszłej rewolucji liberalnej” opiera na przekonaniu, że dotychczasowa realizacja programów liberalnych poniosła klęskę. „Ustrój oparty na zasadach laissez-faire [uwolnić swobodę działania] z jednej strony akceptuje ogromną koncentrację dziedzicznego bogactwa, a z drugiej strony dopuszcza istnienie klasy niewykształconej, pozbawionej wszelkiego majątku. Taka systematyczna wadliwa dystrybucja bogactwa zamienia w farsę ideał równego uczestnictwa politycznego. Spójna jest również z wszelkimi przejawami zawodności rynku: tworzeniem karteli, degradacją środowiska, powszechnym nadużywaniem ignorancji konsumentów. Żaden myśliciel liberał, niezależnie od tego, co twierdzi Hayek, nie będzie się z radością przyglądał tak jawnym niesprawiedliwościom” (Ackerman, 1996: 15).

Ackerman, podobnie jak Rawls, postuluje podporządkowanie własności potrzebom równości. Uważa bowiem, że „nawet w sferze własności majątkowej nowy ustrój powinien zadbać o jednakową sprawiedliwość. (...) Dla współczesnego liberalizmu prawo własności nie jest największą świętością. W odróżnieniu od dziewiętnastowiecznych liberałów leseferystycznych, cele współczesnego liberalizmu są bardziej wzniosłe: chodzi w nich (...) o umożliwienie obywatelom rozwoju osobowości w warunkach swobody i równości” (tamże: 94–95).

Głośne dzieło Johna Rawlsa, *Teoria sprawiedliwości* (1971/1994), bodajże najbardziej przyczyniło się do restytucji teoretycznego liberalizmu czy też socjalliberalizmu. Powszechnie traktuje się go jako myśliciela liberalnego. Jego „lewicowość” ogranicza się do tego, że ani Karola Marksa, ani socjalizmu nie uważa za przejawy aberracji. Ze szkodą dla myśli ekonomicznej w Polsce dzieło to nie zwróciło uwagi naszych ekonomistów, a chyba jedynym wyjątkiem jest... Leszek Balcerowicz (o czym za chwilę). A przecież jest znamienne, że Rawls chyba najdobitniej wyraził swój pogląd na istniejący i postulowany ustrój społeczno-ekonomiczny właśnie w przedmowie do polskiego wydania swego dzieła.

Po wyznaniu, że gdyby ponownie pisał swą książkę, ostrzej odróżniłby pojmowanie demokracji właścicielskiej od koncepcji państwa opiekuńczego, precyzuje: „Mamy tu do czynienia z dwiema całkowicie odmiennymi koncepcjami celu, jaki stawiają sobie w czasie instytucje polityczne. W państwie opiekuńczym chodzi o to, by nikt nie spadł poniżej określonego, godziwego poziomu życia i aby wszystkim zapewnić ochronę w razie wypadku czy niepewnodzenia, na przykład zasiłek dla bezrobotnych i opiekę zdrowotną. Redystrybucja dochodu wtedy służy temu celowi, gdy – na końcu każdego okresu – można wyodrębnić tych, którzy potrzebują pomocy. Taki system może dopuszczać wielkie i dziedziczne nierówności w zakresie rozdziału bogactwa, które są nie do pogodzenia z autentyczną wartością wolności politycznych (...), jak również wielkie różnice dochodu, naruszające zasadę dyferencji. Choć czyni się pewien wysiłek, by zapewnić autentyczną równość szans, jest on przy takich różnicach w zakresie dochodu i, w konsekwencji – wpływu politycznego, niewystarczający albo nieskuteczny. W przeciwieństwie do tego w demokracji właścicielskiej celem jest urzeczywistnienie przez cały czas idei społeczeństwa jako sprawiedliwego systemu kooperacji obywateli, jako wolnych i równych osób. Tak więc jako instytucje podstawowe od początku muszą działać tak, by środki produkcji trafiały w ręce szerokiej rzeszy obywateli – tak aby w pełni uczestniczyli oni w społecznej kooperacji – a nie tylko w ręce nielicznych” (tamże, podkr. – TK).

Najciekawsze, że Rawls świadomie tworzył teorię sprawiedliwości przed-lub ponadsystemową. Pozostawiała ona „otwartą kwestię, czy jej zasadom najlepiej czyni zadość jakaś forma demokracji

właścicielskiej, czy też liberalny reżim socjalistyczny. O tym powinny rozstrzygać historyczne warunki i tradycje, instytucje i siły każdego kraju” (tamże, XVIII). Tak właśnie, nie koniunkturalnie, napisał Rawls w roku 1993, a więc już dobrych parę lat po obwieszczeniu „końca historii”, który miał się wyrażać w ostatecznym zwycięstwie liberalnego kapitalizmu. Rawls demonstruje tu powściągliwość w stosunku do nieznaney nam przyszłości godną twórcy liberalizmu Johna Stuarta Milla.

Z przedstawionego stanowiska można wyprowadzić trzy zasadnicze twierdzenia.

1. Zasadą jest dla Rawlsa równość, i to równość wszelkich pierwotnych dóbr, nie tylko strumieni dochodów, lecz także bogactwa. Na poziomie ogólnej zasady Rawls skupia swą uwagę nie na wtórnej redystrybucji dochodów, lecz na podziale pierwotnym. Odnosi się jednak do realiów, gdy kładzie nacisk na „ciągle rozpraszanie własności kapitału i zasobów dzięki prawom regulującym dziedziczenie i zapisy spadkowe, na autentyczną równość szans, zapewnioną poprzez kształcenie, szkolenie praktyczne (...)” (tamże, s. XVII–XVIII). Podkreślmy jeszcze raz: postulat równego podziału dochodu idzie u Rawlsa w parze z postulatem takiegoż podziału bogactwa, jest to właściwość bardzo istotna, gdyż dochód jest strumieniem, bogactwo zaś tym, co się już zakumulowało.

2. Każde odstępstwo od zasady równości – podkreślam zarówno dochodów, jak i bogactwa, a także wolności i równości szans – ma być rozważane z punktu widzenia korzyści dla najbiedniejszych.

3. Różnica kolejna jest może najważniejsza – dla Rawlsa zwrot z korzyścią dla najbiedniejszych może być (i jest!) pojmowany na dwa sposoby. Jako usprawiedliwienie nierówności o charakterze produkcyjno-motywacyjnym, a więc nierówności wynagrodzenia, żeby osiągnąć większe efekty produkcyjne, ale także jako dawanie więcej tym, którzy nie ze swojej winy cierpią niedostatek lub narażeni są na bariery uniemożliwiające korzystanie z autentycznie równych szans (ulubiony zwrot Rawlsa). Na przykład należy dawać więcej środków na edukację dzieci ze slumsów, bo inaczej odziedziczą slumowy status, podobnie jak czynią to rodzice, obkładając korepetycjami dziecko mniej zdolne, ponieważ utalentowane da sobie samo radę. Dopiero wówczas, gdy oboje osiągną w przygotowaniu do życia mniej więcej równy start (ukończą szkołę średnią lub uniwersytet) i jako dorośli będą mogły odpowiadać za siebie, można je traktować (np. w testamencie) jednakowo (Roemer, 1995).

Rozumowanie to daje się przenieść na upośledzone grupy, regiony itp. Ten nurt myśli wymaga przypomnienia we współczesnej Polsce. **Dominuje tu bowiem aroganckie wołanie nowobogackich o prawo do zupełnie innej, przeciwstawnej nierówności, prawo do nieograniczonego bogactwa, czego najdobitniejszym wyrazem jest całkowite zniesienie podatku spadkowego i od darowizn dla członków najbliższej rodziny.**

Dzieło Rawlsa, atakowane przez jednych, rozwijane przez innych, przyczyniło się do ożywienia nie tylko myśli liberalnej, ale i socjalistycznej. Z teorii Rawlsa wywodzą się m.in. koncepcje tzw. socjalizmu liberalnego (Norberta Bobio). **Sam Rawls, w duchu myśli liberalnej Johna Stuarta Milla, nie wybrzydza na socjalizm, nie kwituje go jako realizacji marzeń człowieka radzieckiego, lecz spokojnie pisze o nim jako alternatywie, nie bierze w cudzysłów ani sprawiedliwości społecznej, ani wyzsku.**

Wbrew częstemu przekonaniu Rawls nie poprzestał na bardzo ogólnych twierdzeniach swej teorii. W jego dziele znajdujemy całkiem konkretnie zarysowany obraz organizacji państwa zapewniającej sprawiedliwość społeczną czy też jej wysoki poziom. Na zarys „instytucji wspierających” we „właściwie zorganizowanym państwie demokratycznym” składa się: sprawiedliwa konstytucja zapewniająca wolność sumienia i myśli, równe obywatelstwo, autentyczna wolność polityczna oraz – znów „autentyczna” (w przeciwieństwie do formalnej) równość szans, zwłaszcza w edukacji i kulturze, i wreszcie swoboda wyboru zawodu i podejmowania działalności gospodarczej. Oprócz zwykłych regulacji obejmujących działalność przedsiębiorstw i zrzeszeń, władze mają obowiązek niedopuszczania do tworzenia monopolistycznych ograniczeń i barier w dostępie do atrakcyjnych stanowisk. Rząd miałby też obowiązek gwarantowania minimum socjalnego poprzez zasiłki lub tzw. negatywny podatek dochodowy.

Nakreślone tu ramy systemowe skłaniają, jak sędzę, do wnikliwszej i bardziej radykalnej niż dotychczasowej, krytycznej oceny zarówno polskiej transformacji, jak i powstałego ładu społeczno-ekonomicznego z charakterystycznym dlań układem właścicieli. Okazuje się jednak, że w radykalnie egalitarystycznej teorii sprawiedliwości Rawlsa można też szukać legitymizacji istniejących nierówności.

Prof. Tadeusz KOWALIK należy do grona znanych niezależnych ekonomistów; w czasie strajków sierpniowych 1980 roku na Wybrzeżu był jednym z doradców Lecha Wałęsy; później zajął krytyczne stanowisko wobec założeń i realizacji tzw. planu Balcerowicza, które znalazło m.in. wyraz w jego książce *Polska transformacja*; książka ta jest też podstawą drukowanego powyżej tekstu.

Maria SZYSZKOWSKA

Niezaprzeczalnym faktem jest pojawienie się u nas po 1989 roku dużej rzeszy ludzi żyjących w niedostatku, jak również biedy dotykającej kilku milionów Polaków. Tym zjawiskom towarzyszy wytworzenie się dużej licznie grupy osób bogatych. Bogacić się tak szybko można się kosztem innych, jak również wykorzystując luki w prawie.

Nierówności materialne potęguje prywatyzacja oraz reprivatyzacja. Prywatyzacja i reprivatyzacja nie są procesami koniecznymi. Ponadto wątpliwe moralnie jest oddawanie w ręce prywatne dóbr utrzymywanych w czasach PRL przez całe społeczeństwo. Powszechna prywatyzacja nie była nigdy zapowiadana przez Lecha Wałęsę. Gdyby robotnicy wiedzieli, że czeka ich w nowej Polsce bezrobocie, nie brałoby udziału w strajkach organizowanych przez „Solidarność”.

Ponieważ Polska jest krajem nie tyle demokratycznym, co raczej katolickim, przypomnę, że papież Jan XXIII, podobnie jak wielu neotomistów w połowie XX wieku, twierdził, że z tzw. prawem naturalnym zgodne są trzy następujące formy własności; państwowa, spółdzielcza, prywatna. O dominacji którejś z tych postaci własności, bądź ich współdziałanie w gospodarce państwa ma decydować dobro jego społeczeństwa. Dodam, że reprivatyzacja w warunkach pustego skarbu przekształca się w przejawy niesprawiedliwości. Przykładem niech będzie ustalenie przez właścicieli odzyskanych kamieni tak wysokiego czynszu, że lokatorzy są wyrzucani na bruk.

Wmówiono społeczeństwu mocą mediów, że pragnienie wolności, czyli demokracji, wiąże się w sposób konieczny z gospodarką neoliberalną. Funkcjonuje mylny pogląd w myśl którego neoliberalizm ekonomiczny automatycznie prowadzi do liberalizmu politycznego, światopoglądowego, obyczajowego. Przedstawiając nieprawdziwie, w czarnych barwach, czasy PRL, grozi się społeczeństwu mówiąc: albo neoliberalizm, albo powrót do PRL, co ma skutkować brakiem wolności i reglamentacją żywności.

Nierówności materialne prowadzą do nierówności społecznych, czyli równość staje się fikcją. Ma ona charakter wyłącznie formalnoprawny. Rzeczywista równość wymaga pewnego wyrównania materialnego i jest jednym z filarów demokracji. **Okazuje się więc, że z demokracją bardziej harmonijnie wiążą się rozmaite teorie socjalizmu niż liberalizm ekonomiczny.**

Bieda oraz brak pracy powodują emigrację najbardziej prężnych jednostek. W kraju zaznacza się bierność społeczeństwa wywołana tą sytuacją oraz brakiem nadziei na poprawę. Partie polityczne zawiodły oczekiwania społeczeństwa. Niezależnie od różnic programowych, w swoich działaniach aprobują neoliberalizm, którego skutki są dotkliwe dla społeczeństwa.

Bieda i lęk przed utratą pracy – a zasiłków dla bezrobotnych nie wprowadzono przez dwadzieścia lat – powoduje brak przejawów nieposłuszeństwa obywatelskiego. Jest ono wyrazem legalnego w państwie demokratycznym sprzeciwu obywateli wobec przejaw niesprawiedliwości. Tym czasem proponuje się wprowadzenie zakazu strajków. Związki zawodowe są z reguły zależne od pracodawców, a w niektórych przedsiębiorstwach w ogóle nie powstały, bo wyrzucani są z pracy ci, którzy chcieli je tworzyć. Społeczeństwo obywatelskie, czyli aktywnie działające na swoją rzecz, pozostaje iluzją. Bieda materialna doprowadziła do upadku duchowego społeczeństwa w czym istotną rolę pełnią media. Decentralizacja państwa sprawia, że w wielu dotkliwych sprawach obywatele są bezradni wobec prywaty i nepotyzmu władz lokalnych.

Z 21 postulatów „Solidarności” urzeczywistniono, i to częściowo, zaledwie jeden, to znaczy mszę katolicką w publicznym radiu. Mimo istnienia przeszło 146 związków wyznaniowych, słyszy się tylko o kilku i to nie zawsze ustami ich przedstawicieli. A demokracja miała się odznaczać pluralizmem światopoglądowym.

Liberalizm ekonomiczny pozostawia głębokie spustoszenia w psychice. Rozwinął u nas niewłaściwy stosunek do drugiego człowieka, bowiem rywalizacja, konkurencja, dążenie do zysku, uprawnienie pazerności oraz deprecjacja ideałów odciskają się negatywnie na sposobie myślenia. Niepokojący stan duchowy społeczeństwa odciska się także na języku. O człowieku mówi się określając go mianem „zasobów ludzkich”; pojawiło się pojęcie „kapitału społecznego”; nastąpiła deprecjacja wartości człowieka w innym niż tzw. wieku produkcyjnym. Towarzysząca temu manipulacja świadomością wywołuje konflikt między młodszym a starszym pokoleniem, które rzekomo stanowi obciążenie dla osób pracujących. Nikt z polityków ani dziennikarzy w mediach nie prostuje tego sztucznie wywołanego konfliktu. Nikt nie wyjaśnia, że każdy pracujący ma odprowadzane przymusowo składki na emeryturę lub rentę. Jeżeli władze

państwa, pozwalają nimi spekulować inwestorom bankowym, to państwo ponosi za ten stan odpowiedzialność.

Lawinowa zmiana przepisów prawnych powoduje brak bezpieczeństwa prawnego. Swego czasu odchodzący rząd Hanny Suchockiej doprowadził do zawarcia konkordatu. Dziś odchodzący rząd wprowadza nieudaną i niepotrzebną reformę edukacji. Ale zmęczone społeczeństwo milczy. Powoływani eksperci w ciągu dwudziestu lat wydają opinie zgodne z oczekiwaniami rządzących.

Liberalizm ekonomiczny doprowadził do upadku wartości fundamentalnej jaką jest wspólnotowość. Człowiek powinien pragnąć celów sąsiada jak swoich własnych. Sprzyjać wspólnotowości powinna tolerancja na miarę jej pojmowania przez Tadeusza Kotarbińskiego. A więc tolerancja bez żadnego „ale”. Innymi słowy jest to zgoda na funkcjonowanie poglądów oraz obyczajów nawet takich, które kogoś gorszą bądź oburzają.

Tolerancja jest deklarowana u nas – a więc zasadne staje się pytanie retoryczne dlaczego nie funkcjonują inne teorie ekonomiczne niż liberalizm? Nawet kryzys ekonomiczny nie doprowadził w Polsce do podważenia liberalizmu ekonomicznego. Banki korzystają w momencie kryzysu z własności państwowej, którą na co dzień kwestionują. Zaznacza się nacjonalizacja strat oraz prywatyzacja zysków. Nie wyciąga się wniosku z faktu, że własność państwowa okazała się przydatna w czasach kryzysu. I to zwłaszcza dla tych, którzy go wywołali.

Język o czym była już mowa, mąci świadomość, by przywołać jeszcze termin „transformacja”. Transformacja to proces krótkotrwały. Podobnie kryzys nie może trwać latami. Trzeba sytuację nazwać w pewnym momencie upadkiem gospodarczym.

Bez zgody milionów Polaków wprowadzono przy pomocy tak zwanych specjalistów z Zachodu, nie znających realiów PRL, kapitalizm, którego ilustracje znajdujemy w utworach literackich, by wymienić *Za chlebem* Sienkiewicza, czy *W piwnicznej izbie* Konopnickiej. Bierność społeczeństwa, łącznie z warstwą intelektualistów i artystów – którzy w czasach PRL ujmowali się za społeczeństwem – doprowadziła do braku sprzeciwu wobec udziału Polski w wojnach, na przykład do ustawy o żołnierzach wyklętych, do zgody na dominację okresowego zatrudnienia, do milczenia wobec wielkich wydatków na zbrojenia. Upadek edukacji, bieda, czy groźna w skutkach reklama lekarstw, to zjawiska którym natychmiast należy przeciwdziałać.

Z filozoficznoprawnego punktu widzenia czynnik ekonomiczny nie jest nadrzędny. To decyzje prawne warunkują sposób gospodarowania, w tym dominację określonego rodzaju własności. Czyli sfera aksjologiczna, innymi słowy, świadomość człowieka, przesądza decyzje prawne, które są wcześniejsze od zachodzących procesów ekonomicznych. Płynięcie sąd wniosek o nadrzędnym znaczeniu edukacji całościowej, która powinna wszechstronnie, a więc wielopłaszczyznowo i wielopoziomowo kształtować świadomość członków społeczeństwa i zachęcać do odwagi niezbędnej do tego, by zmienić sytuację w Polsce. Zamiast opowiadać o „straconym pokoleniu”, należy podjąć działania, które do tego nie dopuszczają.

Prof. Maria SZYSZKOWSKA jest filozofem prawa i etykiem, autorką wielu studiów i książek podejmujących różne aspekty losu człowieka we współczesnym świecie, wykładowcą w Uniwersytecie Warszawskim.

Omówienie dyskusji

W dyskusji głos zabierali Radosław S. CZARNECKI (z Wrocławia), Gabriel ZIEWIEC (Rzeszów), Adam KĘDZIERAWSKI (Chełm), Napoleon KOSIŃSKI (z Radomia) oraz Marian FLIGER (z Warszawy).

Radosław S. CZARNECKI odniósł się przede wszystkim do wystąpienia prof. M. Szyszkowskiej. Jego zdaniem w Polsce nie mamy demokracji lecz „teledemokrację”. A to są różne znaczenia, terminy i pojęcia. Polskie media stawiając siebie za wzór cnót wszelakich i karcząc pluralizm (przytoczono tu sentencję św. Bernarda z Clairvaux mówiącą, że „Kto stawia siebie jako pana, staje się tym samym uczniem głupca”) powodują uwiad demokracji, wolności obywatelskich, swobody myśli oraz wypowiedzi, samodzielności i oryginalności myślenia. Mówca przypomniał o dezyderatach A. Gore’a, b. prezydenta USA, który w swej ostatniej książce *Zamach na rozum* ukazuje zagrożenia jakie niesie dla demokracji – i są to tezy uniwersalne, jak najbardziej aktualne w naszym kraju – symbiozy kapitału, polityki i mediów. Zwłaszcza wszechobecność kapitału, komercjalizacja wszystkich dziedzin życia współczesnego, konsumeryzm jako wartość sama w sobie – przede wszystkim chodzi tu o przekaz informacji oraz edukację – rodzą poważne zagrożenia w tym względzie.

Niezwykle niebezpieczne są procesy, obserwowane w polskich (i nie tylko) mediach. Z jednej strony to totalizacja (czyli jak u Orwella – Wielki Brat), z drugiej – infantylizacja, karnawalizacja, zabawa „na śmierć”. Obie drogi są niebezpieczne, gdyż przeczą zasadniczym wartościom demokracji, społeczeństwa otwartego, wolności obywatelskim i zasadom państwa prawnego.

Z kolei Gabriel ZIEWIEC w kontekście nierówności społecznych i funkcjonowania współcześnie demokracji w Polsce zwrócił uwagę na chaotyczną i przypadkową wyprzedaż majątku narodowego (w pierwszych latach transformacji ustrojowej), co jego zdaniem zaważyło niesłychanie na sytuacji obecnej. Procesy transformacyjne jakie zaszły w naszym kraju miały charakter ustroju XIX-wiecznego, zwanego „kapitalizmem manchesterskim”. W zderzeniu z dzisiejszym gospodarczym na świecie dogmat o wyższości neoliberalnej ekonomii nad innymi formami gospodarowania nie wytrzymuje krytyki. Zdaniem G. Ziewca trzeba krytycznie ocenić wiele spraw w naszym kraju. Mówca przytoczył szereg danych statystycznych, dotyczący ubóstwa, minimum biologicznego, postępującego rozwarstwienia społecznego, zawężającego się dostępu do edukacji. To rzutuje na jakość demokracji i jej funkcjonowanie.

Charakterystycznym jest – i to warto w kontekście tego głosu w dyskusji przytoczyć – że wg danych „unijnych” wśród krajów OECD Polska zajmuje jedno z ostatnich miejsc (25-te). Ma także najwyższy wskaźnik nierówności, brakuje Polsce 5–6 mln mieszkań itd. Jako przykład dla takiej oceny naszej demokracji podał poziom czytelnictwa w Polsce. Jest on najniższy spośród krajów Unii Europejskiej. W końcowej części wystąpienia G. Ziewiec podał przykład coraz większego zatrudniania pracobiorców na tzw. „umowach śmieciowych” (czyli na czas określony – procent pracujących w taki sposób Polaków jest w naszym kraju najwyższym spośród krajów UE) i nie potrafiących wyżyć z takich pensji. Praca bowiem nie jest gwarancją uniknięcia biedy, wykluczenia i degradacji społecznej.

Z kolei Adam KĘDZIERAWSKI zwrócił uwagę na całkowitą deprecjację pojęcia: autorytet (w kontekście upowszechnianego obecnie w przekazie publicznym terminu: celebryta). Jego zdaniem oba te pojęcia niewiele łączy, a stosowana powszechnie zamiennosc tych pojęć wprowadza zamęt, nieporozumienia, intelektualną anarchię. Mówca poruszył problem dostępu do prawdziwych, nie manipulowanych i rzetelnych informacji – zwłaszcza w środowisku nauczycielskim (jakie reprezentuje). Ma ten aspekt kapitalne znaczenie w kontekście dostępu nauczycieli do wiedzy, do informacji w formie pluralistycznej, alternatywnej – nie dogmatycznej. Braki w tej mierze, pozorność pluralizmu i ograniczenia w dostępie do informacji idą w parze z permanentnym obniżaniem poziomu edukacji i wykształcenia w Polsce. Obciążał tym faktem przede wszystkim nieprzemyślaną do końca reformę szkolnictwa podjętą w naszym kraju w końcu lat 90. XX wieku. W wystąpieniu A. Kędzierawskiego znalazła się także krytyka antyintelektualizmu tak powszechnego w krajowych mediach. Podstawową bowiem wartością jest zysk. Komerccjalizacja wszystkiego nastawiona jedynie na tę właśnie sferę bytu człowieka daje opłakane rezultaty.

Następnym uczestnikiem dyskusji był Napoleon KOSIŃSKI (z Radomia). W jego wystąpieniu znalazły się dezyderaty dotyczące: większego zainteresowania Towarzystwa Kultury Świeckiej humanistyką, filozofią patrona Towarzystwa oraz najszerzej pojętym dobrem człowieka.

Aby skuteczniej promować wizję Towarzystwa mówca postulował intensyfikację prób dojścia do mediów elektronicznych. Chodzi także o nawiązanie trwałej i systematycznej współpracy z tygodnikiem (lub dziennikiem) o określonym profilu tematyczno-ideowym, tak aby idee przyświecające Towarzystwu mogły być prezentowane szerszemu ogółowi odbiorców.

Ostatnim dyskutantem był Marian FLIEGER (Warszawa). Jako uczeń prof. T. Kotarbińskiego także (podobnie jak poprzednik) postulował poszerzenie zainteresowań Towarzystwa Kultury Świeckiej właśnie o idee i naukę Patrona Towarzystwa. M.in. przypomniał, iż w 2013 roku mija 100 lat od ukazania się *Szkiców praktycznych* T. Kotarbińskiego, które stały się później punktem wyjścia dla całego dorobku Profesora w dziedzinie prakseologii. M. Flieger podkreślił, iż rocznica ta winna zaowocować konferencją bądź panelem na ten temat. Jest to bowiem niesłychanie ważna i przełomowa cezura czasowa dla polskiej humanistyki, dla polskiej logiki i filozofii.

Podsumowania dyskusji panelowej dokonał red. naczelny RES HUMANA dr Z. SŁOWIK. Jego krótkie wystąpienie puentuje się w triadzie: godność – humanizm – sprawiedliwość. I oddaje ono celnie istotą działalności Towarzystwa Kultury Świeckiej im. prof. T. Kotarbińskiego jak i tematykę kolejnych konferencji przez nie w przyszłości organizowanych.

Oprac.
RWCz.

Władysław LORANC

Czy biedę można przeczekać?

Nad europejskim królestwem Wolności słońce świeci coraz niżej. Ludzie żyjący pod jego promieniami rzucają już długi cień. Tych „zacienionych” przybywa tak szybko, że zaskoczyło nas ustanowienie Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym. **Fragmentem tej inicjatywy stała się zorganizowana w połowie marca konferencja poświęcona realiom ubóstwa i społecznego wykluczenia w Polsce. Zorganizowały ją trzy ważne instytucje: Krakowska Akademia im. F. Modrzewskiego, Stowarzyszenie „Kuznica” oraz Instytut Socjologii UJ. Honorowy patronat objął objął Prezydent Krakowa prof. J. MAJCHROWSKI, a prowadził obrady (słowo wstępne, panel i dyskusję) prof. H. KUBIAK.** Uczestniczyłem w tym ważnym, interesującym i intrygującym spotkaniu jako przedstawiciel „Res. Humana”, Zawdzięczam mu tak wiele, że po dopełnieniu obowiązków sprawozdawcy podzielię się z czytelnikami refleksjami o charakterze ogólnym i subiektywnym. Będzie to naturalny krok, bo zasadnicze idee przedstawiłem w dyskusji dopełniającej wystąpienia panelistów.

Profesjonalny punkt widzenia z konferencji poświęconej analizie: „Polskiej biedy w świetle Europejskiego Roku Walki z Ubóstwem i Wykluczeniem Społecznym” przedstawić, miało ośmiu panelistów. Dwoje z przyczyn losowych nie mogło uczestniczyć: Irena WÓJCICKA z Kancelarii Prezydenta RP oraz Wojciech OLEJNICZAK poseł do Parlamentu Europejskiego. Wysłuchaliśmy metodologicznie wartościowego wystąpienia K. FRYSZTACKIEGO na temat: „Ubóstwo w ogóle czy postaci ubóstwa?”. Trzy wystąpienia wprowadziły słuchaczy w świat faktów socjologicznych i politycznych: „Polska bieda i polityka jej zwalczania” (prof. S. GOLINOWSKA), „Europejskie standardy ochrony, przed ubóstwem, marginalizacją społeczną i bezdomnością” (A. ŚWIĄTKOWSKI – v-prezes Komitetu Praw Społecznych R.E.) oraz wystąpienia pt. „Subiektywny wymiar ubóstwa” (prof. TARKOWSKA, Instytut Filozofii i Socjologii PAN).

Już w trakcie obrad stało się jasne, że referat prof. W. WARZYWODY-KRUSZYŃSKIEJ z Uniwersytetu Łódzkiego *Wielkomięska bieda – mechanizmy utrwalania biedy w cyklu życia i międzypokoleniowym przekazie* skoncentruje uwagę uczestników dyskusji. Wysłuchaliśmy bowiem informacji o „mieście, które upadło pierwsze”. Opisano nam jego podział na strefy biedy i bogactwa. Ta pierwsza zaistniała w osiemnastu enklawach, dziś pozostało ich jeszcze dwanaście, ale w każdej z nich bieda jest już dziedziwna, bo co drugie dziecko musi otrzymywać posiłki w szkole.

Podobny kontakt z egzystencjalnymi realiami umożliwiło uczestnikom wystąpienie posła J. WIDACKIEGO na temat: „Czy bieda generuje przestępczość”? Początkiem refleksji była egzegeza myśli T. Morusa nazwanego „socjalistą i świętym”, a puentą refleksją, że beneficjentami przemian powinni być młodzi, lecz nie są. Z tego faktu nie można wyciągać wniosku, że byłby możliwy czy celowy powrót do tego, co było.

Dyskusja z udziałem młodych uczestników skoncentrowała się nie na diagnozie skali zagrożeń ubóstwem oraz na ściśle z nim związanym wykluczeniem społecznym lecz na problemie skutecznego im przeciwdziałania. Padły opinie innego niż obecne spojrzenia na rolę szkoły oraz uczestnictwa w kulturze jako na instrumenty bez użycia których kwestia pogłębiającego się rozwarstwienia społeczeństw pozostanie jedynie powodem natarczywych wyrzutów sumienia, a nie otwarciem drogi prowadzącej do skutecznego przeciwdziałania zagrożeniom. A jest to ryzyko realne nie tylko dla Europy lecz całego świata. Problemem najtrudniejszym pozostaje brak perspektyw dla młodego pokolenia. Niejednego słuchacza zaskoczyła informacja, że w Stanach Zjednoczonych obecne pokolenie młodych będzie biedniejsze od pokolenia swoich ojców. Z czymś takim Amerykanie nie mieli do czynienia przez ostatnie 150 lat swojej historii.

Dużo do myślenia dało zebranych pytanie studenta: „Czemu nie mówi się o pracującej biedocie”? Praktyczne znaczenie tej kwestii student uzasadniał nekającą go myślą, że ukończenie studiów zmusi wielu do emigracji w poszukiwaniu pracy. Takiego myślenia częścią stały się także moje ogólniejsze refleksje na – w istocie dramatyczny – temat konferencji.

Jej tytuł miał nie narzucający się lecz bardzo ważny walor informacyjny. Zwracał uwagę, że bieda jest zjawiskiem, nekającym nie tylko polskie społeczeństwo. To polityczny problem ważny

dla całej Unii Europejskiej. **Powiem wprost, bieda jest widmem krążącym po całym świecie. To swoiste „memento mori”, które ideologicznym i politycznym liderom kapitalizmu globalistycznego odsłania prawdę o realnych stosunkach społeczno-ekonomicznych.** Świat jaki jest każdy widzi. Równocześnie niemal każdy człowiek ma kłopoty z jego zrozumieniem. Uspakajam czytelnika, iż moim zamiarem nie jest przeprowadzenie w tym tekście dowodu, że ja ten świat zrozumiałem i mogę go objaśnić. Zamierzam przedstawić tylko dwa przyczynki do problemu biedy i społecznego wykluczenia.

Pierwszy dotyczy Kościoła katolickiego i jego roli w walce z ubóstwem i społecznym wykluczeniem nie (świecie w ogóle lecz przede wszystkim w Polsce).

Przed paru laty opublikowano testament prymasa Stefana Wyszyńskiego, który przedstawił on w maju 1981 roku, żegnającym się z nim członkom Episkopatu, Opublikowany tekst poprzedzono zwięzłym komentarzem, którego autorzy powtórzyli główną myśl ostatniego słowa Prymasa: „Kościół ma być silny wiarą, nadzieją i miłością. Wszystko inne jest płynne i trzeba umieć podejmować decyzje na bieżąco”.

Autorzy komentarza przedstawili swój pogląd na owe zmienne warunki. Odwołali się do doświadczeń stanu wojennego oraz ich konsekwencji dla narodu, Napisali: „Do późnych lat osiemdziesiątych władza dbać będzie o funkcjonowanie państwa socjalistycznego - ich państwa- Kościół zaś nie mógł przysmykać oczu na głód, biedę, krzywdzenie niewinnych i negowanie podstawowych zasad prawa naturalnego i Bożego”. To piękne słowa lecz jakże silnie kojarzą się one z zakłeciami szamana. Przecież fakty były i są inne. Prymas S. Wyszyński, witając zgromadzonych przy gołżu biskupów powiedział biskupowi z Gdańska: „Jestem wdzięczny za tak wspaniałe przeprowadzenie problemu stoczni Gdańska, „Solidarności” w kraju i w Rzymie”. Do biskupa ordynariusza diecezji łódzkiej skierował słowa o pracowitej Łodzi, która jest jakimś sercem ładu pracy w Polsce i tej ludności, która dała wzór w swoich kołach pracowniczych jak po chrześcijańsku rozwiązywać problemy społeczne, ażeby były w duchu Ewangelii i sprawiedliwości ewangelicznej”.

Od pierwszych dni transformacji Kościół nie tyle przymknął, co wręcz zamknął swoje oczy na gospodarcze realia kraju i socjalne położenie ludzi pracy najemnej. Upadły stocznie w całym pasie sześciuset kilometrowego Wybrzeża. Zniknął przemysł bawełniany i wełniany nie tylko w Łodzi lecz w kraju. Ludzi, co jeszcze pracują, pozbawiono prawa do zawodowego zrzeszania się, a prawne szanse obrony interesów robotnika i urzędnika pozbawiono realnego znaczenia. A Kościół milczy. Gdy wydarzenia są dramatycznością wymuszają komentarz to swoim słowom nadają taki sens, że tylko bieda występuje pod własnym imieniem. Natomiast wszystkie jej czynniki sprawcze występują pod sympatycznie brzmiącymi pseudonimami. Wypowiada się dużo ogólnych słów i powtarza tak często, by opinię publiczną zwie zorientować i czynić bezbronną. Słowa moralistycznych deklaracji nie nabierają żadnego znaczenia. Nie są nawet dobrym tłem dla apeli o przeciwdziałanie biedzie.

Treść drugiego z przyczynków, który przedstawiam zasygnalizuje pytanie: „Co sprzyja epidemii biedy, niedostatek uregulowań prawnych czy manipulatorski stosunek do tych już istniejących”? Dla mnie odpowiedź wydaje się prosta. Za epidemiczny wzrost zagrożenia biedą oraz za rosnącą jak lawina praktyką wykluczania społecznego odpowiada zły, instrumentalny stosunek rządów do uregulowań prawnych, zwłaszcza do trzech wielkich aktów o znaczeniu ustrojowym: Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 roku, Karty Atlantyckiej z 1941 roku oraz do Poszechnej Deklaracji Praw Człowieka z 1948 roku.

Podstawą, na której Europa budowała demokrację, nie w antycznym lecz nowoczesnym sensie tego słowa, była Deklaracja z 1789 roku. W artykule pierwszym postanawiała: „Ludzie rodzą się i pozostają wolni również z punktu widzenia prawa. Różnice społeczne mogą się opierać tylko na użyteczności wobec społeczeństwa”. Logiczną konsekwencją tej ustrojowej zasady ma być zapewnienie przez prawny porządek państwa każdemu człowiekowi stosownego statusu w organizmie społecznym, co wymaga odrzucenia istoty rozumowania liberałów, że każdy człowiek jest co prawda wolny lecz im jest bogatszy tym bardziej ma być wolny, bo przecież bogactwo potwierdza dojrzałość jednostki do wolności. Dla demokratycznego państwa wolność i sprawiedliwość są dwoma stronami jednego medalu. Ich nierozdzielność potwierdza antropocentryczny charakter stosunków międzyludzkich. On jest kryterium ich humanistycznego charakteru.

Drugim z wielkich aktów prawnych, którym państwa powinny się kierować, jeśli chcą skutecznie walczyć z biedą, była i jest Karta Atlantycka z 1941 roku. W sytuacji zagrożenia stworzonego przez faszyzm autorzy Karty i jej sygnatariusze (a byliśmy jednym z pierwszych), tak ujęli cel i sens ogromnego wysiłku wojennego. „Wszyscy ludzie we wszystkich krajach będą mogli pędzić swe życie wolni od strachu i niedostatku”.

Doświadczenie toczącej się wtedy wojny przekonywało, że podstawą egzystencji wspólnot narodowych, jedynym sensem wojny możliwym do zaakceptowania przez zwykłego człowieka stała się i powinna pozostać równoczesna wolność od strachu i od niedostatku. Nie wystarczy formuła wyłaniania władzy przedstawicielskiej. Konieczna była i jest właśnie nierozdzielność dwóch wolności: od strachu i od niedostatku.

Trzecim aktem prawnym, który powinien stymulować energię walczących z biedą i wykluczeniem jest nadal Powszechna Deklaracja Praw Człowieka z 1948 roku. W artykule 23 postanawia ona: „Każdy człowiek ma prawo do pracy, do swobodnego wyboru pracy oraz do ochrony przed bezrobociem”.

Ludzie polityki, zwłaszcza jej lewicowej opcji, przyjąć powinni to postanowienie jako najbardziej stabilne kryterium demokratycznego charakteru ustroju. Uzasadnia go dostępność zatrudnienia oraz kondycja pracy ludzkiej weryfikowana realnym wpływem pracownika na dostęp do pracy na ustalanie w rokowaniach jej ceny oraz poręczone przez państwo warunki jej wykonywania.

Roli przypominanych tu wielkich uregulowań polityczno-ustrojowych nie można zastąpić mglistymi apelami o postawy filantropijne i sentymentalnymi wezwaniami do moralnej wrażliwości. Moje rozumienie wielkich wezwań do walki z biedą i wykluczeniem opieram na przekonaniu, iż ta walka powinna być, co do celów, strategii i środków, proporcjonalna do rozpoznanych zagrożeń jakie nieuchronnie rodzi globalizm. Nie chcemy jałowej moralistyki ludzi władzy wobec biednych, bo w większości przypadków sprowadza się ona do diagnozy, że każdy biedny jest sam sobie winien. Zwolennicy takich konferencji jak ta, o której piszę, powinni konsekwentnie odrzucać petryfikowanie podziału na bogate metropolie i bezwzględnie plądrowane terytoria zależne.

Chcemy świata, w którym praca nie jest dobrem reglamentowanym a warunki jej wykonywania nie zależą od kaprysu pracodawcy. W centrum uwagi musi się znaleźć, praca ludzka, a nie kapitał.

Do Konferencji, która wywołała moje refleksje chciałbym skierować propozycje takiej oto końcowej konkluzji.

Skuteczne przeciwdziałanie biedzie, ubóstwu i społecznemu wykluczeniu zależy od tego, by zawsze sprzeciwiać się oswajaniu nas z postawą opartą na przekonaniu, że każde z tych zagrożeń możemy porównać, do trzęsienia ziemi. Powinniśmy więc nauczyć się żyć z nim, koncentrując się na leczeniu skutków. To błąd! A już zdecydowanie odrzucam powtórzony na konferencji pogląd części amerykańskich liberałów, by wszystkie środki na walkę, z biedą przekazać, ludziom realnej gospodarki. Oni wykorzystają je najlepiej. Każdą z klęsk, o której dyskutowaliśmy, trzeba zwalczać, tak długo i na tyle skutecznie, by filantropijne postawy stały się w praktyce życia wspólnotowego po prostu zbędne lub regulowały jedynie sąsiedzkie, niestandardowe sytuacje.

Na pytanie, które postawiłem w tytule tej relacji: „**Czy biedę można przeczekać?**” **odpowiadam zdecydowanie: „Nie, należy ją przewyciężyć”.** Bieda i społeczne wykluczenie wzywają nie tylko do akcji charytatywnych. One wołają coraz głośniejszą mądrość i odpowiedzialność polityków. Epidemie wymagają nie współczucia i łez. Wymagają innej organizacji życia. Musi się ona różnić od tej w której zostaliśmy zaatakowani i sterroryzowani, właśnie rosnącą biedą i groźbą społecznego wykluczenia.

SPIS TREŚCI

Od redakcji	I
Henryk DOMAŃSKI	II
Leszek GILEJKO	VII
Tadeusz KOWALIK	XII
Maria SZYSZKOWSKA	XV
Omówienie dyskusji	XVI
Władysław LORANC	
Czy biedę można przeczekać?	XVIII

Wacław SADKOWSKI

Oplątywani czarną nicią

Garść refleksji o nowej książce Eugeniusza Kabatca



Źle, źle zawsze i wszędzie
Ta nić czarna się przedzie.
Ona za mną, przede mną i przy mnie...

Wydawca słowa dotrzymał: na wieczorze zorganizowanym przez Polski Oddział SEC, a poświęconym setnej rocznicy zgonu Stanisława Brzozowskiego i zarazem takiejże rocznicy urodzin Czesława Miłosza, można już było nabyć nową książkę Eugeniusza Kabatca *Ostatnie wzgórze Florencji*. Autor opatrzył ją podtytułem „Opowieść o Stanisławie Brzozowskim. Apokryf”; jej narratorem jest mnich prawosławny, który – po dłuższym pobycie w Warszawie – zetknął się z Brzozowskim w ostatnich latach jego życia we Florencji, gdzie twórca *Legandy Młodej Polski* – jak wiadomo – swego żywota dokonał.

Stało się to przedwcześnie, nawet jak na ówczesne statystyczne przeciętne długości życia mężczyzny. Brzozowski był schorowany, niewdrożona w porę kuracja nie zdołała już pokonać trawiącej go gruźlicy. Zwłaszcza że sprzymierzyła się z tą, najgroźniejszą w tamtej epoce chorobą dolegliwość osobna: wyczerpanie nerwowe spowodowane wytrwałymi dążeniami wrogów do odebrania temu bezkompromisowemu myślicielowi i pisarzowi do-

brego imienia, uporczywym ciągnięciem go po „sądach partyjnych” i zjadliwą kampanią prasową.

Podobną kampanię rozpętano w stosunku do Czesława Miłosza. Jego również oskarżono o „zdradę Ojczyzny” i nawet po śmierci nie chciano uwolnić go od stygmatu „kolaboranta komunistycznego reżimu”.

Obaj podejmowali różne próby obrony swego dobrego imienia. Ten drugi napisał był w swoim czasie – nawiasem mówiąc, w studium o swym poprzedniku w tej nierównej walce, zatytułowanym *Człowiek wśród skorpionów* – olśniewające trafnością i przejmujące goryczą zdania: „...wszelkie oskarżenia o współpracę z tajną policją mają to do siebie, że nie da się ich nigdy definitywnie obalić; diabeł nie zjawi się, by zaświadczyć o niewinności czarownicy, a gdyby nawet się zjawił, jego zeznanie tłumaczono by na odwrót.”

Miłoszowi jednak pośpieszył z pomocą Jerzy Giedroyc i wpływowa *Kultura*, a następnie potężna Akademia Szwedzka, która przyznała mu nagrodę Nobla. Ale i ci obrońcy nie zmusili oskarżycieli do poniechania prób narzucenia san benito – pokutnej szaty – choćby zwłokom poety, by udaremnić pochowanie ich Na Skalce w Krakowie.

Zastanawia wytrwałość, jaka cechuje podobne wysiłki, jakże nieczęste u współrodaków, słynących ze „słomianego zapachu”, charakteryzującego większość podejmowanych przez nich (nie nazbyt zresztą często) działań konstruktywnych. Ileż wybitnie zasłużonych, niepospolitych osobowości poddawano takim inkwizycyjnym procedurom! „Rozpracowywano” Maurycygo Mochnackiego, który wprawdzie jakiemuś nieprzemyślanemu incydentowi z lat studenckich „zawdzięczał” nakaz pracy w cenzurze (gdzie oceniał publikacje niemieckojęzyczne), ale w latach popowstańczej emigracji sam uległ istniej manii podejrzliwości i rozpętywał przeciw niewinnym ludziom iście lustracyjne dochodzenia, jak gdyby dla odreagowania własnych, dawnych upokorzeń. Dłubano w życiorysowych meandrach Józefa Ignacego Kraszewskiego, skądinąd zresztą ojca chrzestnego „polityki historycznej” w naszym kraju. Juliuszowi Słowackiemu wypominano ojczyzna – ale z drugiej strony nikt nie miał żalu do Zygmunta Krasieńskiego za to, iż w takim aż stopniu uległ antysemitkiej indoktrynacji wsączanej mu przez ojca. Na szczęście jednak niemal nikt nie ośmielił się wypominać Joachimowi Lelewelewi i Adamowi Mickiewiczowi „lojalni” podpisanej po sankcjach, jakie spadły na wileńską studenterię. Ten starannie wystylizowany dokument zobowiązywał sygnatariusza nie tylko do wyrzeczenia się nieakceptowalnych dla władzy poglądów, ale także do informowania teje władzy o wszelkich dostrzeżonych przejawach antypaństwowych „spisków”. Drugiemu z nakłonionych do tak pojmowanej lojalności, późniejszemu wieszczowi, udało się w dodatku zatrzeć ślady młodzieńczych powiązań z wolnomularstwem. Tylko od czasu do czasu dawały się dosłyszeć pomruki wydawane przez „docieklivych”, sugerujące, iż stosunkowo łagodną karę, jaką wymierzono Mickiewiczowi (zesłano go przecież nie „na Sybir”, lecz do Petersburga i Odessy), zawdzięczał on temu, że Nowosilcow także był masonem. „*Il y a de quoi oszaleć*” – zwykł był mawiać ten ostatni na „salonach warszawskich” w trzeciej części drezdeńskich *Dziadów*, napisanej przez Mickiewicza już po opuszczeniu przezeń terytorium Imperium carskiego, i to nie przez „zieloną granicę”, ale legalnie, za okazaniem wydanego mu przez władze paszportu.

Te wszystkie jawdowite poszeptowania obezwładniał jednak nimb otaczający wieszca narodowego od pierwszych lat jego emigracyjnego losu. W jakiejś mierze podobny nimb pozwolił Miłoszowi zyskać odpuszczenie grzechów nawet przez stosunkowo szerokie kręgi „nieprzejednanych” wrogów wszelkiej lewicy. Skądinąd jednak niczyjej uwagi nie wydaje się zaprzętać fakt, że wiersze Miłosza z różnych okresów zachowują wartość pomimo zmienności (a może czasem i wymienności) tychże okresów, co zdawałoby się świadczyć o ich nieprzemijalnej, chciałoby się powiedzieć – uniwersalnej wartości. Najwyrazistszym tego przykładem jest wiersz rozpoczynający się frazą „Który skrzywdziłeś prostego człowieka...”, a zamknięty przestroją „Poeta pamięta”. Umieszczono go na pomniku stoczniovców poległych w Gdańsku w roku 1970. Ale prawie nikt nie wie, że poeta napisał go jeszcze w czasie swej misji dyplomatycznej w Waszyngtonie; miała to być odpowiedź na dobiegające z kraju pomruki niezadowolenia z „formalizmu”, „hermetyzmu” i „eskapizmu”, rozplenionego rzekomo w twórczości poetyckiej. Głównym celem ataków stał się Mieczysław Jastrun jako autor prowokacyjnie wręcz zatytułowanego tomu *Sezon w Alpach*. Miłosz najwidoczniej chciał zapobiec tego samego typu atakom; nie uniknął ich jednak po opublikowaniu w *Twórczości* poematu *Traktat moralny*.

Polemik literackich, występujących w każdej epoce, nie porównuję oczywiście do akcji dyskryminacyjnych, opartych na kalumniach i fałszywych oskarżeniach. Zastanawiając się jednak nad notorycznością, z jaką te ostatnie pojawiają się w naszym życiu, nie tylko literackim, ale w ogóle publicznym, dochodzę do wniosku, że są one pochodną jakiegoś, dość rozpowszechnionego kompleksu, którego nie zaważałbym się nazwać kompleksem narodowym. Byłby to kompleks mniejszej wartości, poczucia niższości dławionego dulszczyzną, wynoszeniem siebie i „swoich” ponad innych, „obcych” – i grubo ponad własne zasługi i przymioty. Wiąże się ten kompleks oczywiście z wnikliwie przez Gombrowicza przeanalizowaną niedojrzałością naszej kultury intelektualnej, a także z napiętnowanym przez Wańkowicza „kundlizmem”, szerzącym się w sferze obyczajowości publicznej. Zjawiska te zwalniają z wszelkich prób stawienia czoła wyzwaniom losu w otwartym współzawodnic-

twie twórczym, zachęcają natomiast do eliminowania zdolniejszych i wytrwalszych pod pozamerytorycznymi, czysto pretekstowymi zarzutami.

Umacnia się w ten sposób prowincjonalna tępota i konformizm, koniunkturalizm i partykularyzm, przybierający często formy najprymitywniejszego partyjniactwa i klikowości. Te właśnie zjawiska tępił Brzozowski w swych prometejskich porywach i bezkompromisowo kwestionował Miłosz, od samych początków swej działalności.

I to właśnie dlatego za oboma snuła się – i snuje nadal – ta czarna nić potępienia i dyskryminacji.

Swą powieścią–apokryfem, której narrator jest w ewidentny sposób tożsamy z jej autorem – jest jego *alter ego* – Eugeniusz Kabatc również wystawia się na kontratak ze strony ciemnych mocy wojującego anty-ekumenizmu. Nie tylko dlatego, że tak wnikliwie i z pełną empatią kreśli sylwetkę duchową bohatera swej powieści. Wystawia się na ciosy ze strony rzeczników „okopów Świętej Trójcy” przede wszystkim dlatego, że nie utożsamia się nawet z Brzozowskim, lecz z ortodoksyjnym mnichem – budowniczym cerkwi poza ich prawosławnym matecznikiem. I za pośrednictwem narratora swej powieści zadaje jej autor swym czytelnikom kłopotliwe pytania: dlaczego nie dotrwała do naszych czasów cerkiew – wedle zgodnego świadectwa współczesnych będąca wspaniałym przykładem nowoczesnej architektury Kościoła Wschodniego, wyposażona w wiele cennych dzieł nowoczesnej sakralnej sztuki prawosławia – wzniesiona w ostatnich dekadach XIX wieku na Placu Saskim w Warszawie? Czy daje się pogodzić jej zniknięcie z deklarowanymi nieraz wręcz natrętnie deklaracjami o ekumenii? A nawet z samą definicją Kościoła katolickiego, czyli Powszechnego? I z istnieniem po dzień dzisiejszy wzniesionej niewiele później od warszawskiej (i pod okiem tego samego, powieściowego mnicha) cerkwi florenckiej, usytuowanej również w katolickim kraju?

Ekumenia i ekumenizm jest *sui generis* obsesją intelektualną i etyczną Kabatca. Trwa przy tej obsesji w imię tego, co nazywa „wschodnim obliczem polskości”. I stara się nas przestrzec, że bez tego oblicza Polska stracić może w ogóle wszelkie oblicze godne szacunku.

Janusz TERMER

Im memoriam.

Marian

Pankowski (1919–2011)



Zmarł wybitny pisarz polski (w listopadzie ukończyłby 92 lata), mieszkający od 1945 roku w Brukseli, piszący i wydający swe książki zarówno na Zachodzie, jak i po 1956 r. w kraju. Twórca, który jest bardziej znany i doceniany tam, niż w swojej ojczyźnie. A na dodatek nie lubiący, gdy mówiło się o nim „pisarz emigracyjny”! Jest w tym wszystkim jakiś widoczny na pierwszy rzut oka paradoks. Jakże to tak? Pisarz stamtąd, na dodatek – w zgodnej i niekwestionowanej opinii krytyków – wybitny, a pozostający w głębokim cieniu innych emigracyjnych wielkości (jak np. Witold Gombrowicz), z rzadka tylko wydawany w kraju. Dlaczego pisarska sława krąży czasami u nas tak kapryśnymi i krętymi ścieżkami?

Paradoks pierwszy – biograficzny – polega na tym, że już sam życiorys **Mariana Pankowskiego** (bo o nim tu oczywiście mowa: ur. 9 XI 1919 w Sanoku; prozaik, poeta, dramaturg, eseista, który studia rozpoczął w 1938 w Krakowie, brał udział w kampanii wrześniowej 1939, należał do ZWZ-AK, aresztowany w 1942 trafił do Oświęcimia, od 1945 mieszka w Brukseli, gdzie ukończył studia na Université Libre, objął w 1963 katedrę polonistyki), wykracza poza przyjęte schematy w rzekomo powszechnie obowiązującym kodeksie „etosu” polskiego pisarza emigracyjnego. Pisarza, który nie krył – o, zgrozo – swych lewicowych sympatii, wynikających z przedwojennych doświadczeń życiowych (a nadto ojciec jego był robotniczym działaczem PPS). Pisarza, który odważył się drukować swoje utwory w kraju – po październiku 1956 – wbrew srogim zakazom emigracyjnych organizacji. Co przyplącił kłopotami z drukiem w paryskiej „Kulturze” (mimo, iż był laureatem nagrody tego pisma za tom prozy poetyckiej *Smagła swoboda* w 1955 r.) oraz w londyńskich „Wiadomościach”. Na szczęście znalazł wydawnicze oparcie w słynnej nie tylko z tolerancji, ale i z dobrego literackiego gustu twórców londyńskiej Oficyny Malarzy i Poetów, państwa Bednarczyków, a także i (choć nie bez licznych przeszkód cenzuralnych) kilku edytorów polskich (Wydawnictwo Literackie w Krakowie i Wydawnictwo Lubelskie).

Marian Pankowski – jak trafnie zauważa Krystyna Ruta-Rutkowska we wstępie do rozmowy z nim w książce wydanej przez Instytut Badań Literackich w 2000 roku w Warszawie – „nigdy właściwie nie opowiedział się po stronie emigracyjnej opozycji politycznej, a jego częste wizyty w PRL, choć nie wynikały z sympatii do systemu, pogłębiały nieufność emigracyjnych decydentów. Także swoją twórczością nie włączał się do obowiązującego kanonu tematów, które winien na różne sposoby podejmować polski pisarz na obczyźnie”.

Marian Pankowski, pisarz i człowiek niezależny (profesor katedry polonistyki w Brukseli, którą objął po słynnym belgijskim poloniście, Claude Bakwiście), chadzał od początku własnymi drogami. I to takimi, które nie przypadają specjalnie do gustu ani ówczesnym literackim „emigracyjnym decydentom”, ani też dziś ich krajowym następcom z prawej czy z lewej strony sceny politycznej.

Sam pisarz tak oto we wspomnianej rozmowie komentował swoją postawę światopoglądową i społeczną, swój sprzeciw wobec dominacji w literaturze polskiej jednej tylko tradycji, tej szlachecko-inteligenckiej: „Od zawsze miałem poczucie przynależności do środowiska uboższego, podmiejskiego, robotniczego. To chyba wpłynęło na moją późniejszą ideologię socjalistyczną i na wybór postaci, które czytelnik spotyka w moich tekstach... To, co wnosi spojrzenie plebejusza na świat, to pewne inności, to znaczy rzeczy, które są pomijane w literaturze zwanej piękną”. Innymi słowy, by posłużyć się pewną analogią literacką, Pankowskiemu bliższy od *Kordiana* jest *Cham*.

Zaręczam jednak, że w pisarstwie Mariana Pankowskiego nie ma nic z dawnych tołstojowskich czy młodopolskiej proveniencji idei chłopomańskich (obecnych choćby jeszcze w *Soli ziemi* Józefa Wittlina). Nie tylko uwzniośla on chłopów, ale nie jest też bezkrytycznym piewą klasy robotniczej, ani żadnej innej! Mógłby jednak za wielkim Antonim Czechowem, tak genialnie wydobywającym z losów swych bohaterów tony społecznego bólu, śmiało powtórzyć to, co autor *Trzech siostr* zarzucał Tołstojowi: „Tołstojowska moralność przestała mnie wzruszać. W głębi duszy czuję do niej niechęć... W żyłach moich płynie chłopska krew, nie imponuje mi więc chłopska cnota... Rysujmy życie tylko takim, jakim jest, i dalej ani rusz”. Otóż to. Bo jak każdy wielki twórca Marian Pankowski w centrum swej pisarskiej uwagi stawia nie abstrakcyjne pojęcia, tylko rysuje człowieka i życie „takim, jakim jest”, jakie zna z własnego bezpośredniego doświadczenia. Co wcale nie znaczy, że odwraca się od spraw narodowych i społecznych, lecz widzi je na swój własny – często przekorny i polemiczny, zawsze oryginalny – sposób!

Paradoks drugi – związany jest już z samą jego twórczością prozatorską. Powieści i opowiadania Mariana Pankowskiego zaliczane bywają do najbardziej kontrowersyjnych zjawisk polskiej literatury powstałej na emigracji. Jego postawa odbierana jest częstokroć przez pryzmat nieprzejednanej krytyki „narodowych świętości” i rozmaitych zatwardziały rodziwych mitów, prześmiewczego obrazoburcy tradycyjnych obyczajów i bezrefleksyjnych religijnych uczuć, a wiązana jest z postawą Witkacego, a zwłaszcza Gombrowicza. I poniekąd dzieli ich los. Los pisarzy, owszem, „czczonych” oficjalnie, ale tak naprawdę to mało, coraz dziś mniej, znanych i rozumianych, często wręcz świa-

domie odrzucanych przez rozmaitej maści ksenofobów. Marian Pankowski nadto, chyba także i za sprawą specyficznych form jego prozy i jej niekonwencjonalnego języka, do którego nie przywykli jeszcze czytelnicy polscy, nie znalazł prawdziwego smaku sławy w kraju ojczystym, należytego uznania ze strony czytelników, nie znalazł też większego wsparcia ze strony przyjaznych interpretatorów krytycznych.

Oto na przykład bohater luźnego narracyjnie cyklu powieściowego *Matuga idzie* to plebejusz Władziu Matuga, emigrant z Kartoflandii wywodzący się z lwowskiego Łyczakowa, gdzie zdobywał swą językową i życiową edukację. Przypomina bohaterów gombrowiczowskiego *Transatlantyku*. Pisarz podejmuje tu „otwartą walkę z patosem i zarozumiałością klasyków” – pisała na emigracji Maria Danilewicz-Zielińska, wytykając mu zarazem „czarny erotyzm made in France – śmiało eksploatujący bogactwo tajnego rodzimego słownictwa porno. *Paraśka, co ją Tiutiun uwiódł* zasługuje na honorowe miejsce w przyszłej antologii polskich opowiadań pornograficznych”. Miano też za złe Pankowskiemu i innego typu drastyczności (np. homoseksualizm obozowy w *Rudolfie* czy pedofilstwo w *Putto*), jak i parodystyczne tony w opisach dętych uroczystości narodowo-patriotycznych. Nadmierne jednoznacznie utożsamiano najczęściej postawy bohaterów i samego autora, a nie dostrzegając tonów przestrogi czy bolesnej ironii wobec „idących” właśnie czasów i poglądów, których reprezentantami są ludzie tacy jak Władziu Matuga czy plebejscy bohaterowie *Granatowego Goździka* (lwowski złodziej Maniuś Smorodin i granatowy policjant o nazwisku Goździk). „Wszystko to powoduje, że pisarstwo Pankowskiego – jeśli nawet jest czytane przez tzw. szerokiego odbiorcę – to w specyficzny sposób, jako obrazoburcze i skandalizujące obyczajowo. Ogromna większość tych opinii wynika po prostu z trudności ze zrozumieniem (a czasem z przyjęciem) tego pisarstwa, które nie dość, że pozostaje na uboczu i pielęgnuje swoją osobność, to jeszcze burzy powszechnie przyjęte u nas normy pisania i czytania utworów literackich; wyłamuje się z powszechnie akceptowanych kanonów” (Krystyna Ruta-Rutkowska).

Paradoks trzeci, związany jest przede wszystkim z inną dziedziną jego dorobku – dramaturgią. Polega na tym, że i ona nie mogła się z podobnych, co wyżej, powodów przebić w znaczniejszym stopniu w kraju do teatrów, znaleźć należne jej ze wszech miar miejsce pośród najciekawszych zjawisk polskiej literatury scenicznej powstałej na emigracji po II wojnie światowej. Do postawy prześmiewcy „narodowych świętości”, krytyka konserwatyizmu myślowego i rozmaitych rodzimych mitów „inteligentkich”, dochodzi tutaj sceptycyzm wobec współczesnych tendencji i kierunków ewolucji europejskiej kultury i cywilizacji, wiązany z doświadczeniami lat pobytu na Zachodzie, jak i wpływami tradycji flamandzko-belgijskiej kultury oraz z postawą twórców różnych odmian nowoczesnego teatru europejskiego (od Alfreda Jarry’ego do Fernando Arrabala, w tym i teatru belgijskiego – Michael de Ghelderode), a także nawiązaniem do rodzimych nowatorów – Wyspiańskiego, Witkacego i Gombrowicza. Konstrukcja i postawy wielu postaci ze sztuk Pankowskiego – bohaterów buntujących się przeciwko prowincjonalizmowi, zaściankowości siermiężnej Macierzyzny czy jałowej pustce konwencji hurra czy pseudopatriotycznych uroczystości rocznicowych, np. kombatanckich (sztuka *Teatrowanie nad świętym barszczem*); przeciwstawiających się naiwnej monumentalizacji i „brązownictwu” postaci romantycznych twórców (np. Słowackiego w *Nasz Julio czerwony*). Marian Pankowski i tutaj jest sobą, czyli rogatą duszą, pisarzem uciekającym od stereotypów myślowych i językowych.

Charakterystyczne dla jego dramatopisarstwa jest zwłaszcza uwrażliwienie na rozmaitego typu drastyczności obyczajowe współczesności (patologie egzystencjalne często wplecione w realne tło historyczne, jak refleks dramatu żydowskiego czasu holocaustu w *Chrabąszczach* czy problematyka cynicznego wykorzystywania przez władzę anarchizującego buntu młodzieży w karykaturze scenicznej *Brandon, Burbon i Spółka*) oraz parodystyczne tony wobec pustej pompacyjnej celebry obchodów narodowo-patriotycznych czy tendencji do heroizacji tragicznych postaci historycznych oraz szersze i znamienne zainteresowanie dla „ciemnych” i skrywanych pod korcem stron historii narodowej, krytycznie pesymistyczne widzenie legend przeszłości (np. „gwałt” Jagiełły na 12-letniej królowej Jadwidze w *Śmierci białej pończochy*), jak i historii powszechnej

Dokończenie na s. 34

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Zawstydzające ubóstwo

W myśl obiegowych poglądów sprawą wstydliwą jest bycie człowiekiem biednym. Jest to całkowite nieporozumienie, bowiem umiejętność gromadzenia pieniędzy nie powinna być traktowana jako miernik wartości człowieka. Na poziomie materialnym i biologicznym żyje większość ludzkości. Osiągając stan kultury nędzy bywa, że owa bieda łączy się z radością istnienia, bowiem nie ma dostępu do innych wartości niż biologiczne. Ale takie przypadki umiejętności radosnego istnienia mimo nędzy i niedostatków zdarzają się raczej na innych kontynentach.

Michał Boni dzieli nasze społeczeństwo na generacje roszczeń oraz generacje aspiracji. Socjologowie chętnie dzielą społeczeństwo na producentów i konsumentów. Takie podziały zamazują faktyczny obraz sytuacji jednostek żyjących we współczesnej Polsce. Owa wymieniona wyżej generacja roszczeń wywołuje – jeśli posługiwać się tym terminem – negatywny stosunek do osób pobierających renty czy emerytury. Wszak uzyskiwane przez tę grupę świadczenia nie są wyrazem roszczeń lecz swoistym zwrotem tego, co wpłacali na miesięczne składki zdrowotne i emerytalne. Ponadto wśród tzw. generacji roszczeń jest wiele jednostek twórczych, które wykonywały znacznie lepiej swoją pracę niż przedstawiciele generacji aspiracji. Tyle, że przepisy emerytalne, bądź niechęć pracodawców do zatrudniania osób po czterdziestce wyrzuciła ich na margines życia.

Niepokojąco narasta u nas liczba banków, a więc zarazem zadłużenie jednostek, co zdarza się, że prowadzi do samobójstw i to osób w wieku sędziwym. Państwo nie podejmuje działań, które prowadziłyby do zmiany sytuacji tych, którzy głodują, bądź doznają ukrytego głodu.

Nie jest prawdą, że troska o przedsiębiorców, czyli ludzi bogatych, zamożnych, prowadzi do zmian korzystnych dla całego społeczeństwa. Jest iluzją przeświadczenie, że swoje dochody przedsiębiorcy będą przeznaczać na tworzenie nowych miejsc pracy. Należałoby więc zwiększyć opodatkowanie najbogatszych i nie oczekiwać, by płacili podatki najbiedniejsi. Nie tylko jest mitem, że dochody przedsiębiorców są siłą napędową gospodarki, ale również mitem jest pogląd, iż poprawi się sytuacja, gdy będzie się rodzić więcej dzieci w Polsce. Od urodzenia do rozpoczęcia pracy mija przeciętnie dwadzieścia lat, więc gdyby ten pogląd byłby prawdziwy, to otworzono by granice Polski po to, by zjechało tu wielu dwudziestoletnich migrantów z rozmaitych kontynentów.

Pragnę zwrócić uwagę na to, że faktycznie bezrobotnych jest znacznie więcej niż około dwa miliony. Do bezrobotnych należy zaliczyć także około cztery miliony polskich emigrantów, którzy opuścili ojczyznę w poszukiwaniu pracy. Emigracja osłabia

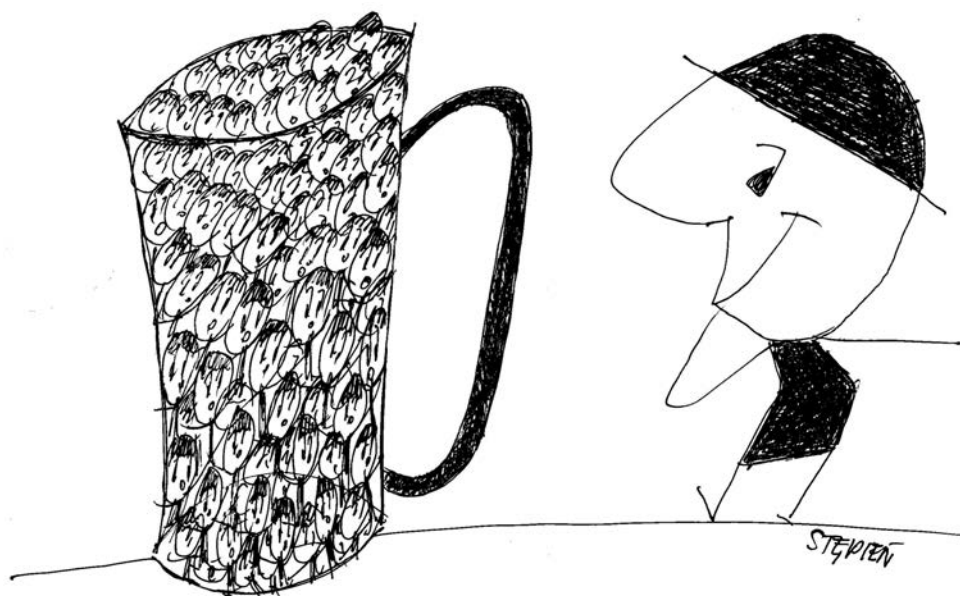
nie tylko nasz naród, ale także budżet, bowiem pracujący emigranci nie zasilają naszego budżetu. To bardzo efektywne ustalać na przykład rok 2010 Europejskim Rokiem Walki z Ubóstwem i Marginalizacją. Nic z tego nie wynika, jedynie pozór działań na rzecz tych, którzy wymagają jakiejś formy opieki ze strony państwa.

Niepokojące jest ośmieszanie opiekuńczej roli państwa. Jeżeli ma ono sprowadzać się do pobierania podatków oraz ich podnoszenia, to staje się całkowicie zbędne. Zbędne tym bardziej, że koszty reprezentacji i utrzymywania rządu oraz parlamentu są wysokie. Dziwnym trafem kraje skandynawskie nie wstydzą się opiekuńczej roli państwa. U nas wiąże się stan ubóstwa z głupotą, co działa uspakajająco. Znane jest porzekadło: biedny, bo głupi.

Tym obszarom obojętności wobec niepokojących zjawisk ekonomicznych i społecznych towarzyszą deklaracje o wolności oraz godności człowieka. Wciąż propaganda donosi, że żyjemy nareszcie w wolnej Polsce mimo rosnącej inwigilacji, mnożenia tajemnic państwowych, bezkarności części przestępców powiązanych z politykami i faktycznej cenzury. Ponadto o człowieku mówi się używając terminów: kapitał ludzki, kapitał społeczny, a feministki domagają się praw dla reprodukcji, co narusza szacunek dla człowieka.

Kapitalizm, a raczej neoliberalizm, nie jest koniecznością dziejową. Nie poszukaliśmy innej niż zachodnia drogi wyjścia z problemów ekonomicznych. Utrudnia ten proces nie tylko niechęć rządzących, ale także brak rzetelnych informacji oraz bierność społeczeństwa, które utraciło nadzieję na zmianę. Nie można liczyć także na uczonych, bowiem wielu z nich pracuje dla przemysłu lub polityków, co powoduje brak niezależności.

Mickiewiczowski nakaz, by mierzyć siły na zamiary jest coraz mniej rozumiany. Większość społeczeństwa zamyka się w domach z włączonym telewizorem i Internetem. Jeśli protestuje, to w rozmowach prywatnych z poczuciem własnej bezsily.



Rys. Jan Stępień

Lęki śródziemnomorskie

Książka, po którą Profesor sięgnął na półkę swojej biblioteki, nosiła tytuł *Diario mediterraneo*, a jej autorem był Raffaele Nigro z włoskiej Apulii, która jako obcas półwyspu Apenińskiego wbija się w morze Śródziemne między swymi spływami Adriatyckim i Jońskim.

- Lgniemy wszyscy do tamtej strony świata, jak do rajskich pieleszy - powiedział bez entuzjazmu. - A tam *mare nostrum* krwią się barwi.

- Ale to na drugim brzegu - zauważył Przyjaciel, jakby kurczowo trzymając się krawędzi europejskiej łajby. Usiłował odepchnąć od siebie narastającą niepokojem świadomość, że coś mu jednak wymyka się z rąk, że wiosła są spróchniałe, a widok na południe grecko-rzymskie, zwykle pełen sztuki i słońca, nieoczekiwanie się zmacił.

- Nasza chata skraja - przytaknął Profesor, usiłując ułożyć się z takim punktem widzenia. Ale nie na wiele to się zdało. - Jednak coraz bliżej innych - westchnął, zerkając na książkę. - Autor tego *Dziennika* - zaczął powoli, z namysłem, jakby bez pełnego przekonania wprowadzając niezbędne poprawki do odwiecznego paradygmatu polskości [tak właśnie pomyślał w nadmiarze samokrytycyzmu] - najpierw poukładał sobie wszystko jakby po polsku, to znaczy po włosku, wygodnie, nawet z pewną śródziemnomorską dumą...

- Skądże w nim ta дума, skoro tam wszystko tak się kitwasi? - przerwał mu niecierpliwie Przyjaciel. - Czy to nie przesada?

- Przesada - zgodził się Profesor. - Taka sama, jak ta nasza: „Niech na całym świecie wojna, byle nasza wieś spokojna”. Ale na dobrą sprawę całe nasze życie i nasze poglądy opierają się na kolumnach przesady, między którymi obijamy się od bezwolnych urodzin po bezradną śmierć, od przesady rozumu po przesadę wiary... Był czas - uściślał Profesor - gdy wybrzeża cofały się przed morzem, wielka woda była wrogiem człowieka także dlatego, że przyplýwali nią inni ludzie, zaborcy i zabójcy, przed którymi miejscowi uchodzili w głąb lądu, w lasy, w góry, tam fortyfikując swoje siedziby... Aż człowiek przełamał swoją nieufność wobec człowieka, zainteresował się jego innością, jego odmienną pomysłowością. Handlowe łodzie fenickie ożywiły wody i wybrzeża tego morza ułatwionym życiem, otwierając porty na nowe cywilizacje - pokoju i podboju...

- No właśnie - wtrącił Przyjaciel - nie było się z czego cieszyć.

- Nie było i było - wyważał Profesor racje, snując głośno tę myśl nigdy nie zwycięską. - Wielka Grecja swoją harmonię filozofii i sztuki rozstrzelała na rzymskie południe, Rzym ujmował ją w karby prawa, nawet przemocą...

- Ejże, przemoc prawa? A cóż to takiego? - zaniepokoił się Przyjaciel, teraz już niemal demonstracyjnie. - Nie zżera ono siebie?

- Przeciwnie, stanowi jego podstawę. - Profesor wydawał się jednak zbity nieco z pantafyku. O czym innym chciał mówić: o latach ciszy na morzach włoskich, o nadziejach na trwałe pokój po wiekach dzikiej przecież w tej pięknej części świata, czego mógł spodziewać się także autor *Dziennika śródziemnomorskiego*, dopóki nie zakipiowało wokół w porywie przemian, a polityczność świata nie odezwała się echem przeszłości, podbijana bębenkiem ekonomicznego kryzysu, gdy na Adriatyku zakotłowało się od wydarzeń albańskiego exodusu. Wyciągnięte przyjaźnie ramiona dość szybko opadły, fala migracyjna nie była do opanowania, nielegalność zakwitła cuchnącym kwiatem przestępczości i prostytucji. I wtedy to właśnie prawo wkroczyło do akcji z całą mocą przemocy.

- Prawo przeciwko wolności - zmartwił się Przyjaciół nie na żarty. - Zupełnie jak teraz, gdy na Lampedusę, Malte, Sycylię, odbywa się inwazja ludzi niewolnych.

- Szkopuł w tym, że oni naruszają prawo innych do wolności. - Profesor usiłował wyjaśnić niewyjaśnialne. - Wciąż chodzi o równowagę faktów i intencji.

- Do urzeczywistnienia coś takiego?

- Nie. Ale próby trwają...

Przyjaciół przyjrzał się Profesorowi podejrzliwie.

- Odpowiadasz jak Radio Erewań - ocenił.

Profesor uśmiechnął się krzywo.

- Prawdy o człowieku są właśnie takie. Kultura śródziemnomorska od tysiącleci kleci swoje kodeksy praw: babilońskie, greckie, rzymskie, bizantyjskie, włączane w religijność judejską, chrześcijańską, mahometańską. I co? Jak to widzisz?

- Widzę, że prawo nadal nie może sobie poradzić z bezprawiem - odpowiedział Przyjaciół prostodusznie.

- Ba! - stęknął Profesor jakby ugodzony boleśnie. - I nadal prawo występuje przeciwko prawu. Namnożyło się ich ponad miarę: narodowe, regionalne, religijne, społeczne i ekonomiczne, naturalne, biologiczne, ekologiczne, prawa przyrody, ale i człowieka, prawa obywatela, ale i władzy, porządku domu i państwa, a wszystkie źródła biją tam właśnie, w odwiecznym basenie Śródziemnomorza...

- Burząc się dzisiaj jak zepsute wino - skwitował po swojemu Przyjaciół.

Profesor nie odpowiedział. Pomyślał tylko z pewnym lękiem, że dziś już burzy się krew, a nasze europejskie filozofie umiaru i pojednania stają bezradne wobec ogromu ludzkiego i boskiego zła.

- Groźne były te wiosenne mrozy - powiedział Przyjaciół, wychylając się przez okno - ale Twój ogród znowu kwitnie nam bratersko...

Lamberto Pignotti z „Minibajek”

Była kiedyś piękna cesarzowa, która niepokoiona brakiem zmysłowych satysfakcji postanowiła opowiedzieć o tym wszem i wobec. Opowiedziała zatem, jak zaczęła pojawiać się wokół w coraz skromniejszych strojach, co jej sprawiało ogromną przyjemność, a co poddani posłusznie przyjmowali do wiadomości, wychwalając coraz jawniej odkrywane piękno ciała swojej cesarzowej. Trwało to tak długo, dopóki jakiś niesforny chłopak nie wykrzyczał na głos, że ich cesarzowa jest po prostu naga!

Skandal to był niemały, więc szczeniaka przykładowie skarcono, ukarano różgami, zamykając w końcu w poprawczaku i wtedy dopiero cesarzowa i jej podwładni mogli żyć długo i szczęśliwie.

Wacław SADKOWSKI

Lektury nieobowiązkowe

Przyczynek do genealogii naszej teraźniejszości

„Gazeta Wyborcza” zamieściła niedawno temu reportaż, a mówiąc ściślej - relację z serii wizji lokalnych, dokonanych przez jednego z jej współpracowników w miejscach, w których mogła odbyć się scena uwieczniona na fotografii, a którą Jan Gross uznał w swej słynnej książce - napisanej wspólnie z Ireną Grudzińską - *Złote żniwa* za dokumentującą haniebne „wykopki” w Treblince. Te wizje lokalne dowiodły niezbitcie, że

ta fotografia nie mogła być dokonana w żadnym miejscu położonym w bezpośrednim sąsiedztwie tego obozu zagłady; wykluczały taką możliwość trwałe elementy krajobrazu, uwidocznione na tym zdjęciu (budynki, wzgórze), których to elementów nigdy w tej okolicy nie było.

Jeszcze tego samego weekendu, w którym „Gazeta” ów tekst opublikowała, w audycji jakiejś, najpewniej lokalnej rozgłośni radiowej, jaką złapałem w podróży, w samochodowym radiu, usłyszałem czyjeś westchnienie ulgi: a nie mówiłem, że to fałszywka? To się u nas zdarzyć nie mogło, to absolutnie wykluczone! Nie miałem możliwości dociec, jaka treść konkretna mieściła się w określeniu „u nas”; z ogólnego toku wywodów zdawało się wynikać, że nie chodzi tylko o lokalne sprostowanie „adresowe” – owa wypowiedź radiowa (zbieżna z wieloma podobnymi protestami przeciw książce *Złote żniwa*) zawierała też ostry protest przeciw „pomawianiu” naszej społeczności o haniebne ograbianie zwłok ofiar Holokaustu, i to zarówno niemal nazajutrz po dokonaniu przez hitlerowców zbrodni, jak i niekiedy po dłuższym upływie czasu, już po zakończeniu wojny.

I oto pojawiły się dwie książki, które tę gorzką, trudną do przyjęcia prawdę dokumentują z naukową ścisłością. Pierwszą z nich jest publikacja pióra prof. Jana Grabowskiego *Judenjagd*, opatrzona podtytułem: *Połowanie na Żydów 1942–1945*, będąca przeglądem zachowanych w różnych archiwach, a także w pamięci ludzkiej, świadectw o dokonywaniu aktów czynnego (a w każdym razie „sprawczego”) współuczestnictwa licznych Polaków w realizowaniu „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska, potraktowanego oczywiście przykładowo. Druga zaś – książka Barbary Engelking opatrzona jest tytułem *Jest taki piękny słoneczny dzień*, dramatycznie skontrastowanym z podtytułem: *Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945*. Obie publikacje powstały i ukazały się staraniem Stowarzyszenia Centrum Badań nad Zagładą Żydów, w Warszawie, w roku 2011.

Nie są to książki do przedsennej lektury, błędną przy nich wszelkie „czarne kryminały”. Przypominane w nich zdarzenia porażają prostą natężeniem grozy i nieczemnością. Oto próbka, wybrana z przyczyn, o których za chwilę, z książki Barbary Engelking (str. 163):

We wsi Kropy (gm. Bor, pow. Węgrów), ukrywał się Pejsach Szczur, który „był znanym krawcem w naszej wsi, gdzie mieszkał od dawna”. Jesienią 1943 r. Szczur został pobity przez sołtysa, miał połamane ręce (według niektórych świadków także nogę), (...) sołtys kazał go odwieźć do Grębkowa, skąd policja [polska, zwana potocznie „granatową” – W.S.] przewiozła go na pole i strzeliła do niego. Nie został od razu zabity, żył jeszcze jakiś czas. Świadkiem jego agonii był Wacław Polkowski, któremu kazano wykopać dla Pejsacha Szczura grób. Polkowski rozmawiał z umierającym i na procesie zeznał, że ten „nie został zabity, żył jeszcze. Wówczas rozwiązałem mu ręce i kazałem uciekać, on odpowiedział, że nie może tego uczynić, ponieważ jest bardzo pobity, prosił tylko o wodę. Wybrałem wówczas łód, który już pokrył wodę w rowie, z którego ja nabrałem i podałem mu wodę. (...) Następnie zapytałem Szczura, kto go pobił. Odpowiedział, że zrobił to sołtys, który następnie kazał go odwieźć na posterunek [policji „granatowej”] do Grębkowa. (...) Ja wówczas zaproponowałem Szczurowi, by jakiś czas poleżał, a potem uciekał, on jednak prosił, by wykopać mu głęboki dół, by go psy nie pożarły i pochować go. (...) Szczur, rozmawiając ze mną, rzeźił i mówił z wielkim wysiłkiem.” Po jakimś czasie policjanci wrócili i go dobili.

Wybrałem ten fragment – dość wprawdzie reprezentatywny – z powodów poniekąd osobistych; zdarzyło mi się być w tym Grąbkowie parokrotnie w ostatnich latach, poznać kilka osób zamieszkałych w tej okolicy, rozmawiać z nimi na różne tematy. Nikt spośród nich nie mógł – ze względu na wiek odległy od sędziwego – być świadkiem tamtych zdarzeń. Otwarta pozostawała natomiast kwestia, czy ktoś z nich jest ich świadomy, czy wie, co się na tych ziemiach działo przed niewiele ponad półwieczem. Ale nie wiem, czy się przy następnych z nimi spotkaniach odważę o te sprawy zapytać,

dowiedzieć się, czy w ogóle o podobnych zdarzeniach słyszeli, czy cokolwiek mówią im nazwiska ludzi w tych zdarzeniach uczestniczących. Przyznać się muszę, iż lękam się, że usłyszę coś w rodzaju cytowanej na wstępie wypowiedzi nadanej przez anonimowe dla mnie radio.

Nielatwo bowiem przychodzi ludziom – nawet nie ponoszącym za tamte sprawy moralnej odpowiedzialności – pogodzić się z myślą o ciąży na nich dziedzictwie okrucieństw i nikczemności popełnianych przez ich bezpośrednich antenatów, krewnych i powinowatych, sąsiadów i kumów, a przyjmowanych biernie (niekiedy wręcz z aprobatą) przez ich środowisko. Wezwania do prawdy jako jedynej drogi do moralnego odrodzenia narodu są dla nas z reguły jedynie abstrakcyjnymi hasłami – konkretyzują się dopiero wtedy, kiedy można je wykorzystać dla własnych celów, najczęściej do obrachunków z kimś niewygodnym czy też rywalizującym z nami w jakiejś dziedzinie lub sprawie. Nawet sama świadomość o dawnych „zaszłościach” jest dla nas często krepująca i wcale jej sobie nie życzymy, nie dopuszczamy jej do siebie. Na szczęście są od tego przygnębiającego konformizmu wyjątki; w książce prof. Grabowskiego opisana jest starsza już wiekiem kobieta, która zapamiętała z dzieciństwa morderstwo popełnione przez sąsiadów ma młodej kobiecie (kiedy wyczerpały się już pieniądze, jakimi opłacała schronienie u nich) i nigdy nie mogła uwolnić się od tego koszmaru.

Jaką osiągnął on skalę? Barbara Engelking określa ją dość ściśle (str. 258):

Przeanalizowałam 300 spraw sądowych, w których była mowa o 281 przypadkach denuncjacji (ofiara tych doniesień padło 701 Żydów) oraz o 130 mordach, w których zginęło 473 Żydów. W 174 spośród 500 relacji dotyczących ukrywania się na wsi jest mowa o wydawaniu (230 przypadków, 858 ofiar) i mordowaniu (142 przypadki, 542 ofiary). W sumie więc w 511 incydentach wydano 1559 Żydów, a w 281 mordach zabito ich 1015. W omawianych dokumentach jest zatem mowa o 2574 wydanych i zabitych przez Polaków Żydach.

Profesor Grabowski w Zakończeniu swej pracy (traktującej – na przykładzie jednego wybranego powiatu – ogólnie o mechanizmach zagłady Żydów w okupowanej Polsce) pisze o „setkach tysięcy Żydów, którzy stojąc w obliczu śmierci, postanowili – nieraz w ostatniej chwili – szukać ratunku wśród ludności aryjskiej bądź też salwować się ucieczką do lasu. Jak dziś wiadomo, bardzo nielicznym – około 40–60 tys. – udało się dotrzeć do końca okupacji niemieckiej w ukryciu. Jeżeli założymy (a w tej mierze wśród badaczy panuje konsensus), że ucieczką ratowało się około 10 procent ludności żydowskiej (w skali całej Generalnej Guberni chodzi tu o 250 tys. ludzi), to pozostaje pytanie, czy te 200 tys. późniejszych ofiar Judenjagd [polowania na Żydów – W. S.] było od początku bez szans? (...) Gdyby nie to, że w oczach znacznych odłamów społeczeństwa polskiego życie żydowskie przestało w pewnym momencie przedstawiać jakąkolwiek wartość, gdyby nie to, że wszelkie próby pomocy Żydom były tak bardzo niebezpieczne, gdyby nie to, że udzielenie pomocy Żydowi przez wielu poczytywane było za grzech lub gorzej – za przestępstwo, wielu spośród żydowskich rozbitek mogłoby dotrzeć do końca okupacji.”

Nie można trafniej scharakteryzować stopnia przygotowania ludności Polski do tej, bodaj najtrudniejszej próby moralnej, jakiej ta ludność poddana została po niemal tysiącleciu zbożnego dzieła chrystianizacji.

P.S. Już po napisaniu powyższego przypomniałem sobie, że w przeczytanej przed laty książce Stanisława Łukasiewicza *Okupacja* (PIW, Warszawa 1958), będącej zbeletryzowanym wspomnieniem z pierwszej połowy lat czterdziestych, spędzonych przez autora na wsi w powiecie garwolińskim (Łukasiewicz pracował tam jako urzędnik gminny), znajduje się ciekawy przyczynek do wiedzy o sprawach, podjętych przez oboje historyków w omówionych wyżej publikacjach. Otóż w miejscowości opisanej przez Łukasiewicza getto „zlikwidowano” w końcu września roku 1943, ale w listopadzie tegoż roku utworzono je ponownie, na tym samym terenie, splądrowanym

tymczasem dokładnie. Miało to dopomóc w wyłapaniu niedobitków wrześnie akcji anihilacyjnej. Istotnie też, zbiegowie ukrywający się przez kilka tygodni – jak pisał autor *Okupacji* – „ściągali przeważnie nocą z lasów, wykrotów, z najprzeróżniejszych jam”, a także „z kryjówek u chłopów, którym oplacali się sowicie.”

Na takich właśnie powracających do spustoszonego getta „troje Żydów napadło w celach rabunkowych dwóch chłopów. Tradycyjną, wiejską bronią – siekierami – zarażali ich na drodze. Uważali, że nawet nie potrzebują zbytnio zacierać śladów swojej zbrodni, więc pozostawili ciała w tym samym miejscu.

Ale – i tu chciałoby się zacytować wiersz Stefani Ney-Grodzieńskiej: „Niech sprawiedliwość potężnej Rzeszy w pamięci ludzkiej długo zostanie”... Sprawców odnalazła żandarmeria niemiecka. „Chłopów ujęto przy oglądaniu jakichś szmat i złotych kolczyków, załadowano do samochodu, przewieziono na posterunek i tego samego dnia wieczorem rozstrzelano opodal budynku żandarmerii, na gliniankach.(...) Motywy wyroku rozplakatowano w osadzie; oznajmiały one, że dwaj wieśniacy skazani zostali na śmierć za mord rabunkowy na przedstawicielach ludności żydowskiej.”

Przytaczam te relacje, by uzupełnić fakty przedstawione przez Barbarę Engelking i prof. Jana Grabowskiego. Być może, udałoby się jeszcze znaleźć w archiwach dokumenty potwierdzające to świadectwo, którego autentyczność jest skądinąd nie do zakwestionowania.

W.S.



Janusz TERMER

MYŚLI HUMANISTYCZNE

Im memoriam.

Marian Pankowski (1919–2011)

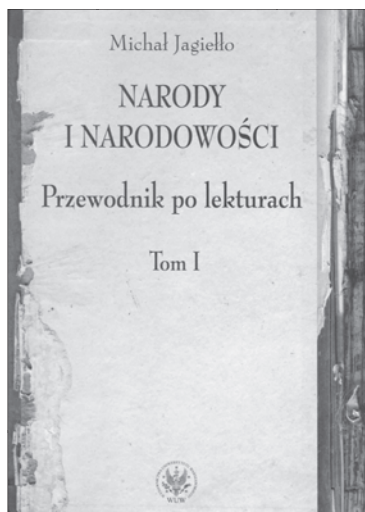
Dokończenie na s. 27

wo wariant tradycyjnych jasełek w Biwaku pod gołym niebem) oraz niewesołe refleksje dotyczące przyszłości kierunku marszu cywilizacji, kultury i obyczajowości zachodnioeuropejskiej (np. *Złote szczęki, Książka Helena*).

Toteż dlatego – a nie tylko za sprawą istotnie specyficznych form wyrazu: łączenie tonacji surrealistycznego kabaretu z poetyckim obrazem lirycznym, przewrotnej ironii i intelektualnej zgrywy z elementami erotyzmu, dyskretnego sarkazmu z jawnym szyderstwem, realizmu psychologicznego z walką z mistyfikacjami historycznymi (jak próba demitologizacji obiegowych poglądów wobec Barbary Radziwiłłówny czy królowej Bony w *Zygmuncie Augustcie*) – autor ten także jako dramaturg nie znalazł, jak dotąd, należytego zrozumienia i oddźwięku zwłaszcza w kraju (choć parę jego sztuk grano we Wrocławiu i Katowicach); nie spotkał na swej drodze jak dotąd nazbyt wielu wnikliwych i przyjaznych interpretatorów spośród naszych scenicznych inscenizatorów.

PS. W październiku 2003 roku Marian Pankowski odebrał w Warszawie – za upowszechnianie kultury polskiej za granicą – nagrodę polskiego oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej SEC (Société Européenne de Culture z siedzibą w Wenecji), o której to uroczystości nie zająknęły się prawie nawet słowem polskie media!

WŚRÓD KSIĄŻEK



Nieoczekiwany dramat pogranicza

Kiedy oblicze naszej współczesnej polskości mroczna chmura zaciąga, dobrze jest sięgnąć pamięcią do wydarzeń sprzed stu lat, gdy jeszcze odrodzonego państwa naszego nie mieliśmy, a już odbyliśmy wielką lekcję nowej historii Europy z jakże dramatycznym udziałem narodowego losu Polaków. Chodzi o prawdziwy koniec Rzeczypospolitej Obojga Narodów. O rozpad ostateczny unii polsko-ruskiej, polsko-litewską zwanej, w której rzeczywistą litewskość zepchnięto niemal od razu w głęboki kąt Żmudzi.

Tej mało obecnej w naszej świadomości społecznej sprawie – o nieocenionym wprost znaczeniu – poświęcił Michał JAGIELŁO swoje archiwalne poszukiwania, uwieńczone niewątpliwym sukcesem historiograficznym i wydawniczym. Umocnił je swoją pasją literacką i doświadczeniem politycznym [pisarz, v. minister kultury, dyrektor Biblioteki Narodowej], a może i poczuciem szczególnej odpowiedzialności etycznej, wyniesionej z młodości

w tatrzańskim GOPR. Nazwał swoje dzieło *Narody i narodowości*, dopisując wyjaśniająco, że jest to *Przewodnik po lekturach* i ogłosił jego tom I zawierający plan i omówienia kwerend dotyczące czasu historycznego od końca wieku XVIII po początek XX, a dokładniej do roku 1906. Zapowiadany tom II obejmie lata następne aż do powstania nowego państwa polskiego i będzie miał tytuł zapytujący *Zarem czy osobno?* We wstępie do I tomu, „Przed podróżą”, przedstawia swoją książkę jako „opowieść o postrzeganiu Rusinów [Ukraińców], Litwinów i Białorusinów przez polską publicystykę – w kontekście zagadnień narodowościowych”. Uprzedza skromnie, że stara się „to czynić w miarę dyskretnie, bez rzutowania dzisiejszych opinii na sprawy dziejące się w przeszłości”, ale przyznaje się też do czegoś, nad czym warto zastanowić się w historycznej skali problemu akceptacji lub negacji tego deprymującego zjawiska, jakim był etniczny rozpad dawnej Rzeczypospolitej: „Ponieważ nie wiem, jak bym sam zachował się w danej sytuacji, tym bardziej chce oddać sprawiedliwość ludziom, którzy umieli zrezygnować z określeń takich, jak rodowość, plemię, szczep, narodowość [...] – i przyznać, że Litwini, Białorusini, Ukraińcy to odrębne narody z wszelkimi z tego faktu wypływającymi skutkami.”

Autor nie ujawnia tego wprost, ale obdarzając nas arcybogatym zestawem cytatów z całego stulecia branego pod uwagę tematu, odkrywa to coś jeszcze raz, jako ów powtarzający się motyw w zdziwieniu, a nawet zaskoczenia, jakie towarzyszy tej bolesnej wprost publicystyce. Poczucie niemal krzywdy przenika nasz głos polski, rozważający ten wtórny upadek idei unijnego państwa. Nie dość, że tak haniebnie zostało rozparcelowane między zdradzieckich sąsiadów, to jeszcze i od środka zaczęło się sypać wiórami tej katastrofy. A miała przecież łączyć nasze patriotyczne siły i sumienia, jak to drzewiej w biedzie bywało. Nagle [?] okazało się, że nasi bracia kresowi – Litwini, Białorusini, Ukraińcy – zupełnie inaczej myślą o swojej przyszłości niż koroniarze i polska inteligencja pogranicza, że mają już dość wspólnej Rzeczypospolitej, dość polonizowania ich dusz i wiary, że chcą mieć „swoje dla siebie”. Nieoczekiwanie [?] z narodowości przerośli w narody – autonomiczne, dysponujący własną kulturą, językiem, a nawet historią. Jakże to tak? – pytano między nami, Polakami – Toż to nasza wspólna historia, wszak razem ją przeżywaliśmy, razem wznosiliśmy potęgę państwa Jagiellonów, unii dającej przykład Europie...Nie? To tylko

mit polskiego zaścianka? To nie była wielowiekowa prawda o jedności Polaków różnej narodowości? Jakież to niesprawiedliwe, jak gorzko się robi na duszy, kiedy się słyszy, że Polacy byli kolonizatorami ziem wschodnich i północnych, że złudzeniem była ich wyższość i ofiarność. Łaskawość panów na pstrym koniu przybyła, ze swobodą niosąc wyzysk. Katolicki Bóg nie zawsze był tu przyjacielem, nie lubił prawosławia...Tak oto gniazda polskości w Wilnie i Lwowie poczuły się oszukane – ale, co za okrutna ironia dziejów – przez siebie samych, przez wiecznie fałszywą rodziną historiozofię.

Czas dookolny niósł przebudzenie narodowe w całej Europie, poczucie odrębności językowych jeszcze nie przesądzało o samoistnej państwowości, ale już domagało się autonomii w sposobie myślenia i porozumiewania się, w budowaniu struktur społecznych, ekonomicznych i administracyjnych. Na pograniczach zawrzało. Gdy narodowa myśl polska burzyła się przeciwko rozbiorcom, ci odpowiadali rosochatej ojczyźnie naszej izolacją odrośli etnicznych, ich odmiennym traktowaniem, ich życzliwym zwłaszcza zaniem. Poczuły się one w podwójnym uścisku zachłannego braterstwa. Gdy próbowały się z tego otrząsnąć, usłyszały z polskiej strony, że nie godzi się kwiatom buntować się przeciwko swoim korzeniom. A dzieciom przeciwko rodzicom?

Bardzo splątały się losy, myśli i racje. W środku tych przełomowych wydarzeń na Litwie także dwie mądre Konstancje zabrały na ten temat głos, podejmując – z uczuciem szczerzego zaniepokojenia – mało znane wątki wielkiej sprawy. Skirmunttowa, na przykład, podkreśla swoją polską „tutejszość”, która „wraża serdeczny związek z ziemią, z jej tysiącletnimi dziejami, z uśpionymi w niej prochami przodków”, gdzie „każdy z nas, chłop czy szlachcic, na ziemi Litwy czy Białorusi, równie godnie ma prawo zwać się Litwinem, Polakiem czy Białorusinem”. Przypominam, że „tutejszość” to przede wszystkim etnograficznie zauważana cecha ludu białoruskiego... Romerowa natomiast, odwołując się do faktu, że „niektórzy Litwini są aż nadto żarliwi”, toteż „fanatykami ich zwą”, wczuwa się w ich trudną sytuację, jak notuje Jagiełło, cytując jej zdanie, że „pierwszymi apostołami ludu litewskiego byli księża, którym przy wstępowaniu do seminarium nazwiska litewskie kazano zmieniać. Oni to pierwsi zaczęli odczuwać, że się im krzywdza dzieje, zaczęli wsłuchiwać się w ojczystą mowę swoją i oni pierwsi ujeli się za tą mową – prastarą pamiętką Litwy ukochanej”. Przypominam, że to Kościół właśnie na kresach miał być ostoją polskości...

Podobnie było na Białorusi, choć odbywało się to mniej fanatycznie, mniej *szowiniście*, jakim to słowem szermować po obu stronach narastającego konfliktu. Tu dłużej rodziła się narodowo białoruska tożsamość, paternalistyczny stosunek Polaków do rodzącej się świadomości odmiennej mowy początkowo łagodził naturalne zadry, kierując siłę oporu przeciwko panowaniu Rosjan, co też – ze względu na naturalną tutaj obecność prawosławia – nie było łatwe. I tu bardzo ciekawe są materiały o „przepychaniu się” polsko-białoruskim na dużej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej na wschodzie, czemu to Jagiełło, jak to Jagiełło, poświęca swoją uwagę jako nowym wydarzeniom na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego. Do dziś aktualnym...

Najbardziej dramatyczne przemiany notują wypisy z obszaru Galicji i Ukrainy, gdzie zbiegły się mity i marzenia całkowicie ze sobą sprzeczne, nieporozumienia historyczne i współczesne, konfliktki rozbudzone nienawiścią klasową, jak i prowokowane przez władze austriackie. Przytomnie Wilhelm Feldman zwraca Polakom uwagę: „Zapomina się [...], że kraje ruskie zostały do Korony wcielone, że Litwa charakteru udzielnego państwa w zupełności nigdy nie utraciła”, że Rusinom, których jest 20 milionów braci, „dzieje się krzywdza”, że jeśli nie zmienimy swojej wobec nich postawy, to przyjdzie czas, że „walka rozgorze, a w niej, jak w wielkich zapasach dziejowych, które naród polski wcześniej czy później czekają, będzie on miał przeciw sobie oszalałą z wściekłości armię Chmielnickiego”.

Tego rodzaju przestrogom odpowiadano nieraz naszą narodową megalomanią: „Utrzymanie wpływu polskiego to [...] nie tylko nasz interes, ale i nasza misja cywilizacyjna w walce kultury zachodniej z pierwiastkami bizantyjsko-wschodnimi”, ale też roztropnością takich socjalistów, jak Władysław Gumplowicz, który z przenikliwością wręcz nowoczesną zapowiadał: „Niezbędną przesłanką utrwalenia demokracji w Polsce

jest wywalczenie niepodległości trójzaborowej Polski w granicach etnograficznych. [...] Mijemy odwagę zajrzeć prosto w oczy prawdziwej współczesnej i uznać, że w okresie zwycięskiego pochodzenia demokratyzacji dawne placówki panującego ongi żywiołu polskiego na Litwie i Łotwie etnograficznej, na Białorusi etnograficznej i na Ukrainie etnograficznej już żadnej przyszłości nie mają. Oparły się one stuletniemu prześladowaniu przez zaborcze państwo rosyjskie, ale ulegną niechybnie budzącej się samowiedzy społeczeństw miejscowych.”

Michał Jagiełło nie ukrywa swoich sympatii dla takich poglądów, wiedząc zapewne więcej od nas, co działo się po drugiej stronie narastającej barykady, lecz nazbyt skąpo wzmiankując nam o tym, byśmy nie chcieli sprawdzić tego w „przewodniku po lekturach” publicystyki budzących się do życia kulturalnego i politycznego sąsiadów. Może się da namówić i na taką eskapadę?

Eugeniusz KABATC

Edukacja w dobie przemian kulturowych. Księga Jubileuszowa dedykowana prof. Januszowi SZTUMSKIEMU pod redakcją Kazimierza Rędzińskiego i Mirosława Łapota, Częstochowa 2009, s. 642+ aneks.

Myśli o edukacji i kulturze

Różne bywają losy książek jubileuszowych, jak różnym dedykowane są osobom czy wydawnictwom i jak różną wagę ma przesłanie, które

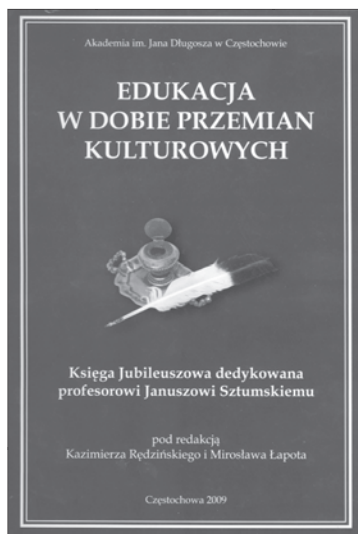
niosą ich karty z myślą o jego utrwaleniu dla potomnych.

Księga Jubileuszowa dedykowana profesorowi Januszowi Sztumskiemu, znanemu socjologowi od lat związanemu z ośrodkami naukowymi Częstochowy i Katowic, osobie wielce zasłużonej dla nauki, autorowi cenionych dzieł i nauczycielowi akademickiemu – to ujmujące świadectwo pamięci tych wszystkich, którym utorował drogę do wielu karier w nauce czy życiu społecznym lub tych, którzy go po prostu cenią. I to oni właśnie dzielą się na kartach tej książki darami inspirowanymi niespożytych trudem Jubilatą.

To dary wiedzy o różnych istotnych fragmentach ludzkiej i społecznej rzeczywistości, zwłaszcza o edukacji w dobie tylu rozległych co nowych procesów czy zjawisk, które narzucają potrzebę takiej ich eksplikacji, aby czyniła nas zdolnymi do sprośnięcia współczesnym wyzwaniom. To ambitne przesłanie tomu uporządkowały, starannym wysiłkiem jego redaktorów, poszczególne części książki poświęcone kolejno teoretycznym problemom współczesnej edukacji, kwestiom wychowania i jej socjologii, dziejom oświaty i uwarunkowaniom edukacyjnym przedsiębiorczości zamknięte obszerną rozmową z Jubilatą.

Niepodobna z wielości wątków i myśli tego dzieła przytoczyć na tym miejscu nawet niewielkiej ich części. A jednak nie sposób nie wspomnieć przynajmniej o dwóch tekstach, które wydają się najbardziej reprezentatywne dla całości tego cennego przedsięwzięcia naukowego i edytorskiego: o szkicu ks. prof. Janusza MARIĄŃSKIEGO, najbardziej znanego dziś i cenionego katolickiego socjologa religii i Kościoła na temat edukacji religijnej w szkole oraz studium prof. Tadeusza MICHALCZYKA o nierównościach społecznych jako istotnym czynnikiem selekcji szkolnych.

Obaj autorzy, wnikliwie badając podjęte kwestie, nie uchylają się od wskazania na trudne problemy, które stwarzają te kwestie. „Można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać – konkluduje ks. prof. J. Mariański – że w bliższej lub dalszej przyszłości katecheza szkolna nie będzie tak masowym zjawiskiem jak obecnie. Z jednej strony będą



oddziaływać procesy sekularyzacyjne w społeczeństwie polskim, z drugiej zaś strony pojawiają się nowe oferty konkurencyjne wobec nauki religii (np. etyka, religioznawstwo)”. Z kolei w tekście o nierównościach społecznych i ich wpływie na obecny stan selekcji szkolnych mamy okazję poznać różne interpretacje tego zjawiska: albo „wkomponowane” w różne dystynkcje charakteryzujące społeczne nierówności albo będące bezpośrednim odzwierciedleniem tych nierówności. Z chłodnej do pewnego stopnia teoretycznej analizy tego problemu wyłania się wołanie o potrzebie pilnych działań obniżających istniejące obecnie progi dostępu do edukacji wielu młodym generacjom Polaków.

Jeśli do przytoczonych tutaj, tytułem przykładu, testów dodać jeszcze świadectwo szczególne: szkic prof. Władysława MARKIEWICZA na temat znaczenia międzynarodowej wymiany doświadczeń edukacyjnych na przykładzie działalności polsko-niemieckiej komisji do spraw podręczników szkolnych czy studia prof. Józefa BANIAKA i prof. Henryka BEDNARSKIEGO na temat różnych aspektów nauk o wychowaniu – to z pełnym przekonaniem wolno uznać tę księgę jubileuszową dedykowaną prof. Januszowi Sztumskiemu za dzieło znacznie przekraczające zwyczajowy charakter takich inicjatyw, za dzieło, które do polskiej nauki i kultury wnosi wiele nowych istotnych walorów poznawczych, wielce przydatnych dla współczesnej praktyki edukacyjnej.

U ich początku jest oczywiście sam Jubilat, który dzieli się taką oto refleksją jakby zwięźszającą cały omawiany tom: „Mając jedno życie przed sobą trzeba dokonywać takich wyborów, aby zachować pewien umiar między tym, co łączy się z powtarzalnymi okazjami, a tym, które ma efemeryczny charakter... A im więcej wartości udaje się osiągnąć, tym bogatsze jest życie i pełniejsze z niego zadowolenie, gdy oceniamy je z perspektywy minionego czasu”.

Profesor Janusz Sztumski ma pełne budzące szacunek powody do takiego zadowolenia.

Zdzisław SŁOWIK

Maria SZYSZKOWSKA

Na każdy temat, rozmawia ze Stanleyem Devinem, Wydawnictwo HELION, Gliwice 2011, s. 112.



Myśli o ludzkich rzeczach

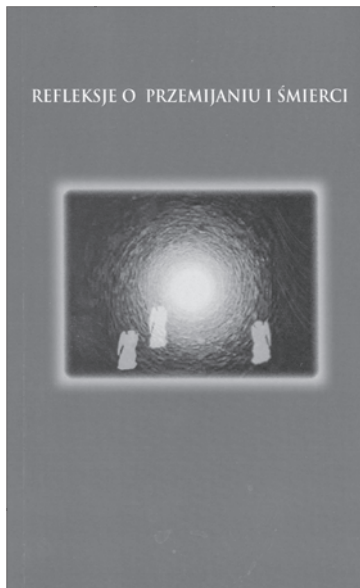
Ukazały się ostatnio drukiem dwie książki osób nam bliskich, które od wielu lat znamy, cenimy i czytamy ich teksty, płynące z budzącego szacunek trudu dzielenia się z innymi tym, co myślą o świecie spraw i wartości fundamentalnych, o świecie ludzkich spraw, nieobojętnych dla nikogo, także o kwestiach granicznych.

Bo nie mogą nie być takimi ani refleksje o „przemijaniu i śmierci”, ani myśli o tym, jak żyć, jakich dokonywać wyborów w przestrzeni czasu współczesnego, który jakby zaprzeczał w ogóle sensowności takich i podobnych pytań. Ale obie Autorki, Anna MARZEC (to pseudonim literacki przyjęty na użytek tej książki osoby, doktor filozofii, znanej szerokiej opinii publicznej) i Maria SZYSZKOWSKA, której na tym miejscu nie trzeba przedstawiać, które nie należą do tych, które lękają się stawiać trudne pytania czy boją udzielać na nie odpowiedzi przekraczające najczęściej uladzoną poprawność obowiązującą w różnych polskich salonach.

Spśród wielu spraw czy narracji obu tych książek zatrzymam się na tym miejscu jedynie na niewielu z nich, lecz takich, które wydały mi się najbardziej charakterystyczne dla ich wspólnego obrazu.

Anna MARZEC

Refleksje o przemijaniu i śmierci, Warszawa 2011, s. 145.



Przesłaniem zbioru tekstów o przemijaniu i śmierci było danie świadectwa. „Najsilniejszym bodźcem do podjęcia trudu jego stworzenia był moment - czytamy Annę Marzec – kiedy moje życie zawisło na włosku. Później przeczytałam bardzo mądrą książkę węgierskiej pisarki, Anny Jókai, zatytułowaną *Nie lękajcie się...*”, a to wołanie stało się wezwaniem do przygotowania się każdego z nas do wkroczenia „w ostatni etap życia człowieka, jakim jest jego śmierć. Ważne jest to, że żyliśmy, trując się i pokonując przeciwności losu. To co po nas pozostaje może posłużyć innym do refleksji nad życiem”.

Z benedyktyńską cierpliwością i niełatwym wysiłkiem zgromadzone w zbiorze teksty wybitnych myślicieli, uczonych, pisarzy i poetów na temat końca ludzkiej drogi życia, zamykają fragmenty wypowiedzi różnych autorów na temat katastrofy smoleńskiej, tego szczególnego doświadczenia ostatniego polskiego czasu. Z tej całości, podzielonej na cztery części, wyłania się najpierw pochwała życia i godności ludzkiego życia, jego niepowtarzalnej wielkości, a zarazem ukazuje się jego tragizm, jego kres, granica trudna do zaakceptowania, a jednak nieunikniona, bo już milcząco wpisana każdemu w świadectwo jego urodzenia.

Ten tragizm ludzkiego losu, „budowany jak mówi poeta – na piasku ruchomych chwil”, z nieuświadomianym do końca przeświadczeniem, że trzeba stawiać „gmach wieczności”, to myśl przewijająca się z kolei u Marii SZYSZKOWSKIEJ, w jej zapisie rozmowy z młodym, utalentowanym dziennikarzem i twórcą

kolejną książkę tej autorki.

Czytamy Marię Szyszkowską, jej odpowiedź na pytanie czy boi się śmierci: „Oczywiście. Chcę żyć wiecznie. Najsilniejszy w nas jest instynkt samozachowawczy. Tu Freud popełnił omyłkę. Mogę konstruktywnie działać tylko dlatego, że nie wierzę we własną śmierć. To jest jedyne zakłamanie, na które sobie pozwalam. I zastanawiam się dlaczego Bóg w rozmaitych religiach jest przedstawiany jako uosobienie dobra, skoro skazuje na śmierć”. Refleksje te dopełnia pytanie o samym Bogu: czym on w ogóle jest? „Przypuszczam, że Bóg istnieje, ale nie jako osoba podobna do człowieka, lecz przepotężna siła przenikająca wszystko, cokolwiek istnieje”. Można się domyślać, że myśli takie wywoływać muszą różne reakcje, że mogą nie budzić entuzjazmu, a wywoływać niechęć czy krytykę, choć zdarzyło się też Marii Szyszkowskiej doświadczyć aktów godzących w jej osobistą uczciwość.

Tym większy szacunek budzą jej kolejne uwagi, którymi się dzieli o naszym czasie, zwłaszcza myśli o tolerancji i kiedy wyjaśnia, że „tolerancja to zgoda na istnienie nawet takich poglądów, które w kimś wzbudzają protest”. To nieczęsty dziś akt intelektualnej i moralnej odwagi w obronie humanistycznych wartości ludzkich.

Oto dwie książki, które w ostatnich tygodniach powiększyły przestrzeń myślenia o sprawach istotnych dla człowieka, książki powstałe z potrzeby służby, ważne w rozwijaniu naszej samoświadomości. I jeszcze jedno – obie wydane w szatach edytorsko pięknych. Zaslugują na to, aby były blisko każdego z nas.

Wacława MIELEWCZYK

Stanisław FRAN CZAK

Krajobrazy tańczące. Wydawca: Rada Wojewódzka TKŚ w Krakowie. Kraków 2010 s. 124.

O urodzie świata

Poetę, o którym piszę już znamy. Zapamiętaliśmy wiele jego wierszy, bo odnawiały naszą wrażliwość tłumioną jazgotem cywilizacyjnych zmian i niepokojącą uległością

miast wobec żywiołu który czyni je sobie podobnymi. Do ich opisu wystarczą wielkie liczby. Miasta rywalizują, które z nich największe a nie najbardziej przyjazne człowiekowi. Budynki mieszkalne przypominają kopce termitów. Inne budowle mają formę tak niezwykłą, że kojarzą się nie z potrzebami ludzi lecz z „oryginalnością” oryginała, które je zaprojektował. W konsekwencji życie ludzi spełnia się w środowisku co prawda stworzonym przez człowieka i w tym stosie naturalnym, ale w istocie zimnym, hałaśliwym, sztucznym. Gmachy publiczne podporządkowano celom innym niż wyższe potrzeby ludzi, potęga, prestiż, konkurencja, sukces, zysk a nie praca, współdziałanie solidarność, sąsiedztwo.

Stanisław Franczak udowodnił nowym zbiorem swych wierszy, że tak rozrastający się świat niepokoi go. Jeszcze raz przekonuje swoich czytelników, taktownie lecz sugestywnie, że istnieje rzeczywistość zastana, wciąż piękna część świata, którą wskazują proste słowa: „ziemia rodzinna”. Opatrzył ten wybór wierszy tytułem zagadkowym: „Krajobrazy tańczące” Autor nie powielił niepokojów właściwych ekologom. Nie szuka pątników, co razem z nim powędrują w okolice w Polsce najpiękniejsze, do Beskidów. Poeta chce pojednać swego czytelnika z zastanym światem, nie tylko przyrodniczym lecz i tym kulturalnym. Zjednuje go bardzo intymnymi zwierzeniami. Całym sobą: pamięcią, zmysłami, świadomością wchłania i przeżywa niezwykłość i urodę rodzinnej ziemi. W jego wierszach świat jest nie tylko piękny. Ta część jemu najbliższa jest matczynikiem ludzi uczciwych, mądrych i pracowitych. Zachęca, by szerzej otworzyć oczy i dojrzeć te właśnie cechy, bogactwo i trwałą wartość doświadczenia ludzi, którzy w małej ojczyźnie kształtowali swój los. Jak pisarz to robi czytelnik może podpatrzeć uważnie czytając wszystko, co wiersze mówią o rodzinnym domu, o ludziach wśród których żył, odkrywając głęboki i trwałe sens słowa: Świat. Krajobraz to nie jest obserwowana część pejzażu, zewnętrzna do człowieka, który go opisuje. Oddzielona od postrzegającego obserwatora. To zawsze jest integralne sąsiedztwo dwóch podmiotów: świat postrzegany oraz świat postrzegający. S. Franczak oryginalnie i mądrze opowiada o tej nierozdzielności, Istnieje ludzka świadomość, świat poety i czytelników, oraz świat kosmosu – natury. Rozdziela je umowna linia, niemożliwa do wykreślenia. Możemy ją sobie tylko wyobrażać, przeżywając to czego doświadczamy. Poeta biologicznie i psychicznie jest z tej rodzinnej ziemi. Jest cały z niej. Po cywilizacyjnych centrach porusza się swobodnie, jak tubylec. Gdy trzeba interesująco o nich opowiadać. Tworzy subtelne obrazy mieszkańców oraz ich przeżyć, ale zawsze jest tu wędrownikiem. Wyzwała się tam gdzie się urodził. Tylko w tej scenerii – opowiada o miłości ze zniewalającym mistrzostwem. Oba światy przedstawione w wierszach są nierozdzielne. Można powiedzieć, że istnieje jeden monistycznie pojmowany świat. Poeta jest w nim jednym z ludzi. Przeczytajmy uważnie fragment wiersza „Przemiany”. „Siedzę na miedzy zagonu gdzie /sejmikują wróble i gawrony /piszę w mozole wiersz gdy /Maciej zaorał już całe pole”. Autor zachęca by tą miedzą, którą ciągnie się jego i nasze życie iść razem odkrywając zastany świat i bez lęku zadowolić się w nim.

Powiem jeszcze krótko o jednej, pięknej właściwości nowego tomu wierszy. Umieszczono w nim dziewięć, grafik Barbary Pietryki. Są świetną puentą tej poetyckiej książki. Każda w naturalny sposób dialoguje z poetyckimi obrazami wierszy. Pobudza naszą wyobraźnię. Jest bodźcem, by w trakcie lektury toczyła się gra, w której symbol energii i potęgi tego co przyrodnie, sąsiadowało z subtelnymi śladami obecności człowieka, tworząc związki z obrazami układanymi ze słów. Grafiki w tej książce są zespolone z wierszami lecz zachowują autonomię, osobność i samodzielność. To nie są obrazki czy tak onegdaj

modne ilustracje. Każda z grafik tego tomiku jest malarsko zbudowanym ekwiwalentem krajobrazu, wyrazem emocji ludzi, ich tęsknot i wielkich nadziei. Podobnie jak wiersze opowiadają o świecie tak, by chcieli się nam w nim żyć.

Rozmiarami skromna książeczka ujawnia czytelnikowi urodę życia. Odnawia zachwyty do wciąż istniejącego piękna; gór, lasów, zbóż i traw. Umacnia szacunek do prostych i uczciwych ludzi, którzy przecież nie zniknęli i nie stali się mniejszością.

Oni tylko zostali onieśmieni. Warunkiem czającego się w tym fakcie dramatu jest przywrócenie im partnerskiej roli w życiu.

Nowy tom wierszy S. Franczaka powstał w tym właśnie celu.

Władysław LORANC

W CZASOPISMACH



Skupiamy dziś naszą uwagę na najnowszych numerach tygodnika opinii PRZEGLĄD, bo warto wiedzieć coś więcej niż ponad to, co serwują nam polskie media wciąż zapatrzone w newsy, słupki oglądalności czy poczytności tego, pod ciężarem czego uginają się półki kiosków i rozgrzewają do czerwoności łącza stacji radiowo-telewizyjnych. Ruch w interesie jest więc wielki lecz korzyści tego wszystkiego są więcej niż mierne.

Toteż warto czytać PRZEGLĄD (numer z 12 maja 2011), a w nim rozmowę dziennikarza Krzysztofa Pilawskiego z prof. Henrykiem DOMAŃSKIM, znanym socjologiem, cenionym badaczem struktury i ruchliwości społecznej. Najpierw o nierównościach społecznych: „Pytania: «Czy Pani! Pana zdaniem nierówności w Polsce są zbyt duże?» i «Czy rząd powinien coś zrobić, żeby te nierówności zmniejszać» – czytamy tekst rozmowy – zadawane są na cały świecie. W Polsce dezaprobatą dla nierówności wzrosła i jest bardzo wysoka. Około 90% Polaków twierdzi, że są za duże lub raczej za duże”. Porównując stosowne dane Profesor stwierdza, poparcie dla egalitaryzmu

jest obecnie dużo większe niż u schyłku PRL, co odzwierciedla rosnące dziś nierówności klasowe, związane z różnym stosunkiem do własności, usytuowaniem na rynku pracy a w konsekwencji z nierównym choćby dostępem do edukacji czy służby zdrowia. Ale co ciekawe: „Polacy odrzucają nierówności na poziomie normatywnym (v. aksjologicznym – dop. red.), ale w wymiarze pragmatycznym akceptują je, bo zdają sobie sprawę, że one muszą być... bo system rynkowy opiera się na tych nierównościach”. I dalej: „Paradoksalnie, umacnianiu przeświadczenia o braku alternatywy dla kapitalizmu towarzyszy deklarowanie niechęci do nierówności”.

Takich paradoksów jest więcej. Rozmówca PRZEGLĄDU nie ukrywa ich, gdy stwierdza: „Nierówności są wbudowane w każdy system i – co gorsza dla tych, którzy są na dole – one są funkcjonalne dla systemu. To znaczy, że nierówności muszą być, aby stosunki, więzi i relacje między ludźmi były stabilne. Nierówności są konieczne dla zapewnienia porządku i ładu, a w systemach rynkowych stanowią jeden z czynników motywujących do wysiłku, kształcenia się i efektywnej pracy”. To zła, a nawet bardzo zła wiadomość dla wszystkich egalitarystów, a także dla społecznych demagogów. Ale pomijając ich, co nie znaczy lekceważąc, co pozostaje w zamian. Prof. H. Domański wskazuje na społeczeństwo amerykańskie, jego „otwartość”, to znaczy stwarzające ła-

twość pokonywania barier społecznych. „American dream – mówię – to sukces osiągnięty własnym wysiłkiem, a nie dzięki przynależności do uprzywilejowanej grupy społecznej. To był wzorzec dla społeczeństw europejskich. My do niego – po 1989 r. – próbujemy dążyć, rzecz jasna, w sferze deklaracji życzeń”. I jeszcze jedna wiadomość pocieszająca: społeczne rozwarstwienie Polsce, mierzone indeksem Giniego, wykazuje obecnie pewną stabilność, waha się między 0,35 a 0,37, co oznacza, że nierówności społeczne nie wzrastają, ale i tak jest jak na Unię Europejską są wysokie.

Co więc zrobić, aby nierówności społeczne, przynajmniej na ich „poziomie normatywnym” zmniejszać. Głównym narzędziem ich zmniejszania, zgodnie uważają rozmówcy PRZEGLĄDU, jest edukacja. „Systematyczne badania potwierdzają, że brak wykształcenia to jeden z głównych czynników ubóstwa. To jest uniwersalny mechanizm”. Ale i ten mechanizm zawodzi, jeśli napotka na dysfunkcyjny z poziomem wykształcenia rynek pracy, zderzy z wysokim wskaźnikiem bezrobocia czy stagnacją gospodarczą państwa. I zawodzi też wtedy, jeśli uzyskane wykształcenie nie przekłada się na zmianę statusu społecznego, nie wiąże z obejmowaniem stanowisk czy funkcji specjalistów czy kierowników, a więc z wejściem do inteligencji.

To ważne, jeśli nie arcyważne problemy, w krąg których wprowadza przytoczona tutaj fragmentarycznie poważna rozmowa czasopisma z wybitnym znawcą tych problemów.

A tak a propos polskiego rynku pracy przeczytaliśmy dobrą wiadomość: oto na terenie upadłej Stoczni Szczecińskiej dzieją się



ważne rzeczy – dzięki aktywności prywatnych spółek majątek potężnej niegdyś firmy jest zagospodarowywany, nie niszczone, staje się miejscem pracy dla setek, jeśli nie tysięcy osób, w tym byłych pracowników stoczni, i co więcej – buduje się tam nadal jednostki morskie. „Tam powstają nawet stumetrowe statki – czytamy, przecierając oczy, tekst Andrzeja KRAŚNICKIEGO JR, schowany na stronie 4 dodatku do „GAZETY WYBORCZEJ” zatytułowanym „Możliwości bez granic. Zachodniopomorskie”(z 26 maja 2011 r.) – które są wodowane za pomocą pontonów”. Tę wiadomość dedykuję Karolowi Guzikiewiczowi, bossowi związkowemu z Gdańska, i podobnym do niego, aby przestali w końcu lamentować czy podburzać, lecz aby w końcu zabrali się za przyzwoitą pracę, tak jak to zrobili ludzie w Szczecinie.

I jeszcze na chwilę wracamy ponownie do PRZEGLĄDU do tekstu red. Roberta WALENCIĄKA „Ostatnia rozmowa” (numer 22 z 5 czerwca 1011). Chodzi o rozmowę (rozmowy) obu braci Kaczyńskich w czasie lotu prezydenta do Katynia. Ma rację autor tekstu pisząc, że treść tych rozmów może mieć kluczowe znaczenie dla wyjaśnienia przyczyn katastrofy (i oby tak się stało), choć nie wydaje się, aby szansą poznania ich treści była WikiLeaks, choć kto wie. Świetnie udokumentowany tekst przeczytałem z uwagą, więcej, nadzieją na ujawnienie prawdy, a zdemaskowanie kłamstwa i kłamców.

Wybrał
Ksawery S. PIWOCKI



O nierównościach społecznych i demokracji w Polsce

Pod takim hasłem przewodnim, z inicjatywy Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego, Redakcji RES HUMANA i wsparciu Fundacji im. Róży Luksemburg, odbyło się 27 kwietnia 2011 r. spotkanie panelowe, które w jednej z sal audytoryjnych Uniwersytetu Warszawskiego zgromadziło liczne grono osób zainteresowanych tą ważną kwestią społeczną Polski współczesnej.

Gośćmi panelu byli profesorowie: Maria SZYSZKOWSKA, Henryk DOMAŃSKI, Leszek GILEJKO i Tadeusz KOWALIK, który – nie będąc w stanie przybyć osobiście na spotkanie – przekazał swoją wypowiedź na piśmie.

Materiały tego spotkania zostały zamieszczone w suplemencie do niniejszego numeru RES HUMANA.

W opinii uczestników spotkania problematyka panelu odzwierciedliła sprawy, niezwykle istotne w perspektywie wartości humanistycznych, krzewionych m.in. przez środowiska świeckich humanistów.

Profesor Jerzy J. Wiatr wyróżniony Kowadłem krakowskiej „Kuźnicy”

Stowarzyszenie „Kuźnica”, zasłużona wspólnota ludzi nauki, kultury i sztuki, bliskich wartościom lewicy, uczyniła w tym roku prof. Jerzego J. WIATRA laureatem swojego wysoko cenionego wyróżnienia – Kowadła „Kuźnicy”.

Podczas uroczystego spotkania z tej okazji, które odbyło się 24 maja 2011 r., laudację skierowaną do Laureata wygłosił prezes „Kuźnicy” prof. Hieronim KUBIAK, który podkreślił wielkie zasługi prof. Jerzego J. Wiatra dla polskiej nauki, jego godną najwyższego szacunku wierność wartościom lewicy, i jego wieloletni aktywny udział w działalności państwowej, politycznej i społecznej.

W swoim wystąpieniu Laureat, dziękując za to prestiżowe wyróżnienie, podzielił się z licznie zebranymi uczestnikami uroczystości refleksjami na temat obecnej sytuacji w Polsce oraz miejscem i rolą polskiej lewicy w perspektywie najbliższych wyborów parlamentarnych. Spotkanie przebiegło w szczególnej atmosferze wynikającej z faktu nieodległego Jubileuszu Osiemdziesięciolecia Laureata tegorocznego wyróżnienia Kowadłem.

Radujemy się bardzo tym zaszczytnym wyróżnieniem prezesa Rady Krajowej naszego Towarzystwa i nieocenionego dla RES HUMANA życząc najserdeczniej wszelkiego dobra.

**Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej
im. Tadeusza Kotarbińskiego
Zespół Redakcji RES HUMANA**

Krakowskie korzenie Jerzego Wiatra

Z okazji nadania przez Stowarzyszenie „Kuźnica” profesorowi Jerzemu Wiatrowi honorowej nagrody kowadła Krakowskie Towarzystwo Edukacyjne wydało niewielką książeczkę Hieronima KUBIAKA pt. „Kraków w biografii Jerzego Józefa Wiatra” (Kraków 2011, stron 51). Autor – prezes „Kuźnicy” a zarazem wieloletni przyjaciel Jubilata – wydobyl z archiwów Uniwersytetu Jagiellońskiego nieznanne dokumenty dotyczące studiów jego ojca i stryja Wilhelma (1901–1905) i Józefa (1908–1913) Wiatrów, przedstawił dzieje sześćdziesięciu lat pracy Jerzego Wiatra na UJ (1959–1965), zakończył zaś przypomnieniem jego głośnego wystąpienia na spotkaniu w „Kuźnicy” 4 grudnia 1981, gdy opowiedział się on za porozumieniem opartym na wyrzeczeniu się przez PZPR „monopolu władzy” i prognozował, że w razie załamania się porozumienia narodowego Polskę przed interwencją zewnętrzną uratują wojskowi. W zakończeniu autor podkreśla, że w biografii Jerzego Wiatra widzi „ważny przyczynek do dziejów inteligencji polskiej w trudnym okresie przejścia od nowoczesności do ponowoczesności”.

Z.S.

Wyróżnienie redaktora naczelnego RES HUMANA

Redaktor naczelny naszego czasopisma dr Zdzisław SŁOWIK, z okazji przypadającej w tym roku 68. rocznicy wybuchu Powstania w Getcie Warszawskim wyróżniony został, w gronie kilkunastu osób, Medalem poświęconym tej rocznicy i nadawanym osobom „okazującym życzliwość, zainteresowanie i pamięć” o tym, którzy podjęli heroiczną walkę w imię ludzkiej godności.

Uroczystość wręczenia Medalu i dyplomu odbyła się 17 kwietnia 2011 r. w warszawskim Teatrze Żydowskim, w której udział wzięli przedstawiciele władz państwowych i korpusu dyplomatycznego oraz liczni goście. Po części oficjalnej wypełnionej ujmującym w swej treści i formie wystąpieniem prezesa Stowarzyszenia Żydów Kombatantów Poszkodowanych w II wojnie światowej Tomasza MIEDZIŃSKIEGO, zebrani wysłuchali spektaklu słowno-muzycznego wykonanego przez aktorów Teatru Żydowskiego poświęconego pamięci bohaterów powstania i wyreżyserowanego przez Goldę TENCER, wybitną aktorkę tego teatru.

Katowice W połowie maja 2011 r. minęła dwudziesta rocznica powstania Klubu Kultury Współżycia i Tolerancji im. Tadeusza Kotarbińskiego działającego pod patronatem Śląsko-Zagłębiowskiej Rady Towarzystwa Kultury Świeckiej.

Nieprzerwanie aktywna działalność Klubu, którego współzałożycielem i niezmordowanym prezesem był mgr Joachim PATRYAS, zmarły pod koniec ub. roku, wpisuje się wieloma cennymi inicjatywami do dziedzictwa życia naukowego i kulturalnego tego regionu i jest jedną ze szczególnie ważnych form działalności polskiego humanistycznego ruchu świeckiego.

Do dorobku Klubu powrócimy w jednym z najbliższych numerów RES HUMANA.

A.B.

Radom Rada Radomska TKŚ dokonała ostatnio podsumowania swojej działalności w minionych trzech latach. Uznano za celowe kontynuowanie działalności w formie spotkań klubowych z ludźmi nauki, kultury i działaczami społecznymi, organizowanie odczytów i dyskusji w różnych środowiskach miasta Radomia i regionu, poświęconych m.in. wyjaśnianiu i krzewieniu idei tolerancji, wolności światopoglądowej i neutralności światopoglądowej państwa.

Na spotkaniu Rady 9 marca 2011 r. dokonano też wyboru jej władz: prezesem został ponownie wybrany mgr Napoleon KOSIŃSKI, wiceprezesem – mgr Anna ADACH, sekretarzem – Roman JAGIEŁŁO a skarbnikiem Maria ROZESŁANIEC; przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został wybrany mgr Mieczysław ŻELAZNY.

Mgr Napoleon KOSIŃSKI

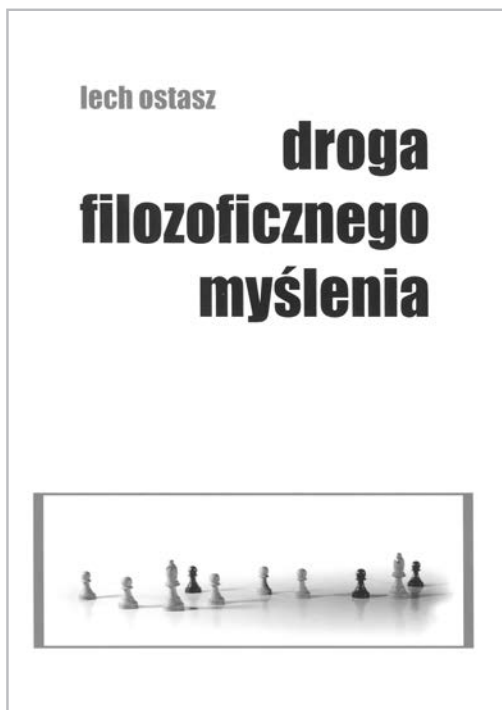
Radzie Radomskiej naszego Towarzystwa i jej wybranym władzom życzymy sukcesów w ważnej i cennej działalności, którą rozwija z powodzeniem od wielu lat.

Redakcja RES HUMANA



Rys. Marek Chaczyk

Zaproszenie do filozofii



Kolekcję BIBLIOTEKI „RES HUMANA” powiększyła kolejna książka prof. Lecha OSTASZA – DROGA FILOZOFICZNEGO MYŚLENIA.

Autor, profesor filozofii w Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie, w swojej najnowszej pracy podejmuje śmiały trud osobistego rozumienia i ujmowania filozofii, trud „wprowadzenia do filozofii – jak zauważa – z jej dość zaawansowanym uprawianiem”. Książka podzielona jest na pięć części, z których pierwsza jest próbą odpowiedzi na pytania „czym jest i po co filozofia”; część kolejna to wyjaśnienie natury zadawanych pytań oraz istota racjonalności i jej granic; także objaśnienie istoty prawdy i innych fundamentalnych kategorii filozoficznych – ontologii, epistemologii, filozofii nauki, życia i etyki, języka i myślenia; wreszcie część końcowa książki to refleksja nad przyszłością świata i człowieka zdefiniowana pytaniem: „Dokąd wiedzie droga?”.

Wszystkich zainteresowanych „przyjaciół mądrości”, a twierdzimy, że są nimi nie tylko Czytelnicy naszego czasopisma, zachęcamy do lektury tej książki. Można ją będzie niebawem nabyć w salonach EMPiK w całym kraju, lub przekazując już teraz na adres i konto redakcji (nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146) kwotę 20 złotych, w której mieści się koszt przesyłki książki drogą pocztową na wskazany adres.

Zapraszamy.
Redakcja RES HUMANA

LEKCJE SOKRATESA

Dokończenie z IV str. okładki

I kiedy Glaukon milczał, zastanawiając się, od czego ma zacząć, Sokrates zabrał się do wykazywania, że – od sfery finansowej po urzędniczą – Glaukon nie przemyślał spraw państwa i się na nich nie zna. Glaukon bronił się powtarzając raz za razem:

– Zbyt wielkie stawiasz mi wymagania, Sokratesie, jeżeli i o to miałbym się troszczyć. Aż w końcu zmiękł i ustąpił.

Można tak ująć konkluzję, do której zmierzał Sokrates: Glaukonie, państwo bardzo potrzebuje cię w tym sensie, abyś się nim nie zajmował.

Powyższe fragmenty pochodzą z przygotowywanej przez Lecha Ostasza jego nowej książki pt. *Dowcipy filozoficzne i z pogranicza*, a zostały zaczerpnięte z tekstów Ksenofonta wydanych w Polsce: *Biesiady, Apologii i Wspomnień o Sokratesie*.

LEKCJE SOKRATESA

(Nieco na wesoło)

Sokrates uwielbiał dyskutować i prowokować wszystkich do dyskusji, ale podczas pewnej biesiady miarka się przebrała. Sokrates rzekł wtedy do współbiesiadników: „Kiedy już wszyscy pragniemy mówić, to może byśmy coś razem zaśpiewali”.



Za życia Sokratesa i po jego śmierci dowcipkowano na temat jego żony, Ksantypy i jego relacji z nią. Ksantypa była kłótniwa, gdy stał przed domem i rozmawiał potrafiła w złości wylać mu na głowę pomyje itp. Raz spytano wprost, czemu ma taka żonę, a on na to:

„Chcąc żyć w towarzystwie ludzkim, taka sobie wzięłem żonę w tej myśli, że jeśli z nią wytrzymam, to już z wszystkimi ludźmi bez najmniejszej trudności będę mógł przestawać”.



Jak wiadomo Sokrates został skazany na śmierć za „nieuznawanie bogów, które uznawali Ateńczycy” Ateńczycy za „psucie młodzieży”. Miał 70 lat i był pogodzony ze śmiercią; śmierć przez wypicie cykuty uważano za najłagodniejszą w jego czasach (mógł łatwo przy pomocy moźnych przyjaciół uciec z ateńskiego więzienia i zamieszkać w innym mieście – państwie, ale już nie chciał, uznał, że wypicie cykuty to rodzaj eutanazji). Sokrates do ostatnich chwil dyskutował z uczniami i zachowywał swoje dotychczasowe poczucie humoru. Ksenofont, uczeń Sokratesa, zanotował:

„A był przy nim obecny niejaki Apollodor, gorący jego wielbiciel, zresztą prostoduszny pocziwina. Ten wyrwał się tak:

– Ale to, Sokratesie, sprawia mi największą przykrość, że widzę, jak niewinnie musisz umierać. – On wtedy pogłaskawszy go po głowie odpowiedział:

– Więc ty, najdroższy Apollodorze, wolałbyś widzieć raczej, że sprawiedliwie ponoszę karę śmierci niż że niesprawiedliwie?”



Sokrates ostudza polityczne ambicje Glaukona.

„Glaukon, syn Aristona, nie mając jeszcze dwudziestu lat (w Atenach korzystano z pełni praw obywatelskich od osiemnastego roku życia) próbował już występować przed ludem, ponieważ chciał zdobyć kierowniczą pozycję w państwie, żaden z przyjaciół ani krewnych nie mógł go odwieść od tego zamiaru, choć go (nadzorujący debaty) siła ścigała z mównicy i naśmiewano się z niego”

Z misją wyruszył Sokrates. Rozmawiał z nim po swojemu. Zaczął tak:

– „Czy to prawda, Glaukonie, że zamierzasz zdobyć kierowniczą rolę w państwie?”

– Prawda, Sokratesie!

– To ci się chwali, naprawdę trudno sobie wyobrazić wspanialsze zamierzenie,... A czy to, Glaukonie, nie jest oczywiste, że jeśli chcesz doznawać czci na wysokim stanowisku, musisz także jakiś pożytek przynosić państwu?

– Ależ oczywiście.

– Na Herę! – zawołał Sokrates. – Nie ukrywaj więc prawdy, ale powiedz mi szczerze, od czego zaczniesz swoją działalność dla dobra państwa?

Dokończenie na III str. okładki